

M A R G I N P E Ł K A

Pogięte bajki
Spokój grabarza



BAJKI
TYLKO DLA
DOROSŁYCH

NOVAE RES

M A R C I N P E Ł K A

Pogięte bajki
Spokój grabarza



NOVAE RES

Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

Co za debil!

Adam i Ewa

Piroman

Zjazd

Pasja

Myśliwy

Może za rok, dwa...

Wybór

Awantura

Ranking

Praca

Remont

Piękna nieznajoma

Rurowaty świat

Impreza w plenerze

Show must go on

Nagranie

Rum

Dżin

Spokój grabarza

Przekleństwo Elzy

Karta redakcyjna

Co za debil!

Filemon przez moment przyglądał się, jak kłaczek kurzu sunie po podłodze. Niewielki przeciąg w głównej izbie kołysał nim raz w prawo, raz w lewo. Kot w tym samym rytmie, raz w prawo, raz w lewo, poruszał białym łebkiem. W pewnej chwili podjął decyzję i skoczył. Kłaczek nie miał szans, ale nie poddał się bez walki. Wystając częściowo z kociego pyszczka, połaskotał znajdujący się tuż nad nim różowy nosek.

Filemon kichnął. Zrobił to odruchowo, mocno przy tym potrząsając łebkiem. Wszystko to zdarzyło się zaś w niefortunym miejscu – tuż przy stole. Obrazowo rzecz ujmując, kotek wyrznął głową w masywną nogę dębowego mebla. Rozjechały mu się łapki i zamroczony uderzeniem pacnął na podłogę.

Leżący na zapiecku Bonifacy obserwował całe wydarzenie spod nieznacznie przymkniętych powiek.

– Co za debil! – westchnął zde gustowany i przeciągle ziewnął.

Jego biały kolega wstał na chwiejne nogi i niepewnie poczłapał przed siebie. Kręciło mu się i szumiało w głowie, więc nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, co robił. Potknął się o kuwetę i wyłożył po raz drugi. Wypełniający plastikowy pojemnik granulat rozsypał się szeroko po izbie z cichym grzechotem. W stronę drzwi potoczyła się większa zbrylona kulka – efekt przemiany materii Bonifacego. Pech chciał, że w tym właśnie momencie drzwi uchyliły się i do izby weszła babcia. Świadcstwo sprawności procesów wydalania starszego kota zostało przez nią rozdeptane.

– Skaranie boskie z tym kotem! – westchnęła starsza kobieta, krzywiąc nos z powodu ostrej woni. – Wynocha na dwór! – dodała i pogo niła Filemona miotłą.

Wciąż jeszcze nieco skołowany biały kot czmychnął przez uchylone drzwi na zewnątrz. Schował się pod ogrodową ławką i tam poczekał, aż wszystko dookoła przestanie wirować i szumieć.

Jakiś czas później na podwórze przed chatą dostojnym krokiem wyszedł Bonifacy. Niespiesznie przeciągnął się, po czym usiadł i zaczął wylizywać futro na łapie.

– Bonifacy, a co to jest? A co to jest tamto? A to? A to tam? – Filemon zalał starszego kolegę potokiem pytań.

– Moment, zaraz, po kolei – czarny kocur zastopował te zapędy. – Czego konkretnie nie wiesz?

– O! To, co leży przy stodole. – Filemon wskazał łapką.

– To jest rura od chłodnicy. Stara i dziurawa. Dziadek rzucił ją tu wczoraj po tym, jak w zestawie destylacyjnym założył nową.

– Aha, to dlatego dziadka nie widać dziś od rana – olśniło małego kotka. – Pewnie siedzi zamknięty w stodole i pędzi bimber. A tamto? To długie, czarne i poskręcane? – ciekawość była niezaspoko jona.

– To są kable energetyczne – Bonifacy odpowiedział znużonym głosem. – Dziś w nocy zabrakło prądu, więc dziadek z babcią musieli podłączyć generator. Inaczej cała uprawa by im padła.

– Uprawa? Chodzi ci o te roślinki w szopie za studnią?

– Tak.

– A co to właściwie za roślinki?

– Konopie indyjskie.

– Aha! – znów wykrzyknął młodszy kot, jakby nagle wszystkie zagadki świata rozwiązały się dzięki tym dwóm słowom.

– Co, aha? – zgryźliwie zapytał kocur. – Wiesz, co to za zioło?

– A wiem! – zaperzył się Filemon. – Z tego zioła pochodzi maruchaina.

– Sam jesteś maruchaina – ofuknął go Bonifacy.

Kociak był przyzwyczajony do protekcyjnego tonu, więc nie obruszył się.

– Bonifacy, a dlaczego dziadek i babka parają się takim nielegalnym procederem?

Czarna kocur ciężko westchnął, zanim odpowiedział.

– Życie ich do tego zmusza.

– Życie? Ale jak to? – ciekawość Filemona zdawała się być bezkresna.

– Widzisz, młody... – starszy kolega rozpoczął wyjaśnienia – nasi opiekunowie całe życie mozolnie pracowali na roli. Sadzili, pielili, żęli zboże, wykopywali ziemniaki, zwozili siano i słomę dla gospodarskich zwierząt. Robili jeszcze dziesiątki innych rzeczy. Życie na gospodarstwie jest ciężkie, zwłaszcza gdy nie ma maszyn i wszystko trzeba robić ręcznie. Dziadek i babka jednak nie narzekali. Pracowali uczciwie, płacąc co miesiąc składki na ZUS i podatki. Skrycie liczyli na spokój i chwilę oddechu na emeryturze, myśleli, że ta emerytura będzie godziwa na stare lata. Cóż... – Bonifacy nieznacznie wzruszył ramionami. – W układzie człowiek–ZUS tylko człowiek ma szansę być uczciwy. Państwo systematycznie okradało naszych żywicieli. Oczywiście na starość dało im emeryturę, z tym tylko, że zamiast godziwych okazały się głodowe. Dziadek i babka muszą do nich dorabiać, żeby przeżyć.

Biały kotek zasmucił się, słysząc te wyjaśnienia.

– To niesprawiedliwe! – miauknął.

– No! – enigmatycznie zgodził się z nim starszy kolega.

– A jak dziadek i babka wpadną w ręce policji, to co? To pójdą do więzienia?

– Chyba za starzy są na więzienie, ale pewnie jakiejś kary nie unikną.

– A nie mogliby powiedzieć, że to na ich własne potrzeby?

Bonifacy parsknął śmiechem.

– Pięćdziesiąt litrów bimbru tygodniowo? A paczkowanego suszu mają pewnie ze sto kilogramów. Zapomnij, młody! To by mogło starczyć na własne potrzeby całej wioski.

– Trzeba coś z tym zrobić! – Filemon był wyraźnie zły, że życie zmusiło jego opiekunów do działań poza granicami prawa.

– Całkowicie się z tobą zgadzam, młody – cynicznie odparł czarna kocur. – Mamy tylko pewien problem.

– Jaki?

– Nie bardzo wiemy, co możemy zrobić.

– Wymyślmy coś! – Entuzjazm Filemona był proporcjonalny do jego ciekawości.

– No to wymyślajmy! – zgodził się Bonifacy, po czym zwinął się w kłębek na ogrodowej ławce i usnął.

– Znalazł się myśliciel! – Kociak nie był pocieszony postawą kolegi.

Zanim jednak zdążył cokolwiek dodać, na podwórze wjechało wielkie czarne auto. Zahamowało z chrzęstem na żwirowym podjeździe, wzbijając tuman siwego kurzu. Ledwie kurz opadł, z samochodu marki BMW wygramolił się kierowca.

– Ale wielkolud! – westchnął Filemon, patrząc rozszerzonymi oczami na potężne bicepsy i szeroką klatkę nowo przybyłego. Owa klatka zdawała się przez ciągłość przechodzić od razu w głowę.

Mały kotek z przestrachem patrzył na człowieka bez szyi. Ale dziwy! A ten łańcuch! Ostre słońce prowokowało liczne refleksy odbijające się od ozdoby, która kołysała się na piersi kierowcy. Jest tak gruby, że nie zerwałaby się z niego nawet nasza Mućka.

Jakby na potwierdzenie tej oceny w pobliskiej oborze zamuczała krowa.

– Oho! – rezolutnie stwierdził Filemon. – Dziadek tak się skupił na bimbrownictwie, że nie wyprowadził krasuli na pastwisko.

Kociak z niesłabnącą ciekawością obserwował wielkoluda. Tym razem zafascynowała go jego łysina. Wszyscy, których znał, byli czymś pokryci – krówka i konik miały sierść, kurki miały pióra, indyk też, a dziadek i babka mieli włosy. Co prawda siwe i rzadkie, ale jednak. Wielkolud był zaś kompletnie łysy. Bonifacy nazwał go kiedyś BMW z ABS-em. Wytłumaczył, że skróty te oznaczają bardzo mało włosów i absolutny brak szyi. Z tym drugim Filemon się zgadzał, z tym pierwszym nie. To nie bardzo mało włosów, to był zupełny ich brak.

Wielkolud przez chwilę rozglądał się po podwórku, po czym wydarł się na całe gardło:

– Dziadeeeek!

Przestraszony Filemon skulił uszy po sobie. Wyrwany z drzemki Bonifacy uniósł głowę, spojrzął na sprawcę hałasu i standardowo westchnął:

– Co za debil!

– Dlaczego on tak krzyczy? Przecież stodoła jest kilka kroków dalej i można tam pójść, zamiast się wydzierać. – Postępowanie człowieka było niezrozumiałe dla kociaka.

Starszy kot pokręcił zde gustowany łebkiem i powiedział:

– Nie spodziewaj się po tym młocie logicznego postępowania. Spójrz na tęsknotę za rozumem malującą się na jego twarzy! Od razu widać, że ma pustkę w głowie. Jakby mu do środka przez ucho wepchnąć kilka kamyków i kazać podskakiwać, to byłaby z niego śmieszna grzechotka.

Filemon przez moment skupił się na roztoczonej przed chwilą wizji, ale doszedł do wniosku, że taka grzechotka byłaby niepraktyczna ze względu na duże rozmiary.

– A dlaczego ten człowiek ma pustkę w głowie? – Znów do głosu doszła jego nienasycona ciekawość.

– Żarł za dużo sterydów, a wtedy komórki nerwowe z głowy przemieszczają się w niższe partie ciała i przekształcają w mięśniowe. Tak właśnie powstaje wewnątrzgłówna próżnia – oznajmił Bonifacy tonem wszechwiedzącego nauczyciela akademickiego.

– Sterydy? Chodzi ci o anaboliki i testosteron? – zapytał kociak.

– O! A skąd ty znasz takie trudne słowa? – zdziwił się czarny kocur.

– Słyszałem, jak babka rozmawiała z dziadkiem na ten temat wczoraj wieczorem. Zastanawiali się, czy nie poszerzyć dotychczasowej działalności o handel prochami. Dziadek był za, zwłaszcza za handlem jakimiś niebieskimi tabletkami, ale chyba nie podjęli w tej kwestii żadnej decyzji.

– Dziaadeeeeeek! – O ile to możliwe, po podwórku przetoczył się jeszcze głośniejszy wrzask wielkoluda.

– Co za tępy burak! – prychnął Bonifacy.

Łysol spojrział na miauczące przy ogrodowej ławce koty, ale zignorował je. Z przejmującym skrzypieniem otworzyły się drzwi do stodoły i stanął w nich staruszek w watomanej kufajce i słomianym kapeluszu na głowie.

– Nie drzyj tak ryja, bo zaraz pół wioski się tu zlezie! – warknął.

Filemon wiedział, że choć w głębi duszy dobry i poczciwy, dziadek potrafił być także zgryźliwy. Zwłaszcza wtedy, gdy męczył go kac. Wczoraj miała miejsce wymiana chłodnicy w aparaturze pędzącej bimber, więc pewnie trzeba było sprawdzić efekty pracy nowego podzespołu. Przekrwiony nos i zaszklone oczy dobitnie świadczyły o tym, że dziadek sprawdzał owe efekty długo i wnikliwie. Najwyraźniej zależało mu na wysokiej jakości wyrobu, a to z kolei wymagało wielokrotnego powtarzania prób. W każdym razie do takich właśnie wniosków doszedł biały kotek.

– Masz towar? – bez ogródek zapytał Łysol.

– A masz pieniądze? – Dziadek był równie bezceremonialny.

– Nie bój żaby! Forsa będzie.

– Jak będzie forsa, to będzie towar.

– Co? – Łysol przybrał na twarz czerwony kolor i teraz rzeczywiście, zgodnie z wcześniejszą oceną Bonifacego, przypominał buraka.

– Jajco! – dziadek nie dał sobie w kaszę dmuchać. – To nie instytucja charytatywna. Ja tu na godne życie zarabiam i nie daję na krechę. Przyjdziesz z pieniędzmi – dostaniesz towar. Bez pieniędzy możesz co najwyżej dostać w ryj za zakłócanie spokoju.

Trzeba przyznać, że dziadek prowadził negocjacje w bezkompromisowy sposób. Filemon był świadkiem, jak drobny i lekko przygarbiony staruszek postawił się napakowanemu sterydami bykowi. Jego gospodarz miał jaja, choć jak kiedyś podsłuchał komentarz babki, były one nieco obwisłe.

– Ty dziadzie pierdolony! – warknął wkurzony Łysol. – Będziesz mi tu fikał? – Równocześnie z pytaniem zza paska wyszarpnął teleskopową pałkę. Rozłożył ją błyskawicznie z suchym trzaskiem i uniósł w górę w groźnym geście.

– A będę! – hardo odparł dziadek, sięgając w głąb stodoły i chwilę później wydobywając z niej na dzieńne światło trójzębne widły. Ich ostre końce po niedawnym sprzątaniu obory nadal uwalane były gnojem.

Wielkolud zbladł nieco i zatrzymał się w pół kroku. Wobec takiego układu sił ochota na konfrontację wyraźnie się z niego ulotniła. Staruszek parsknął śmiechem i kpiącym głosem zapytał:

– Co ty chciałeś, dzieciaku? Już kilku takich jak ty pływa w gnojówce za stodołą. Na wiosnę rozwiozę ich resztki na pole. Będzie dobry nawóz pod kartofliisko.

Łysol po chwili zawahania odzyskał jednak rezon. W trzech susach dobiegł do samochodu i z bagażnika wyjął bejsbolową pałkę.

– Już ja cię urządzę! – krzyknął. – W dupę ci te widły wsadzę!

Konflikt narastał w błyskawicznym tempie. Filemon postanowił, że najwyższy czas na jakąś interwencję. Ile sił w łapkach pobiegł do obory. Skoczył w górę najwyżej, jak potrafił, i uwiesił się na skobelku. Przez moment kołysał się na nim, aż wreszcie udało mu się go przesunąć. Drzwi stanęły otworem.

– Mućka! Mućka! – zamiauczał. – Gospodarz w opałach. Pomóż!

Pocziwiej krasuli nie trzeba było powtarzać. Kołysząc pełnymi mleka wymionami, wypadła na podwórze i ruszyła z kopyta na intruza. Tego Łysol zupełnie się nie spodziewał. Stanął jak wryty, upuścił pałkę i rozdziawił w niedowierzaniu gębę. To była ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobił. Mućka wpadła na niego z impetem, obaliła na ziemię, a kiedy już leżał, stratowała wszystkimi czterema kopytami. Jedno z nich rąbnęło łusą głowę, wgniatając ją jak pingpongową piłeczkę.

Był wielkolud i nie ma wielkoluda, filozoficznie pomyślał Filemon.

Dziadek podrapał się po tyłku, po czym podszedł do krasuli i poklepał ją z wdzięcznością po szyi.

– Moja Mućka! – powiedział. – Moja prywatna krowa bojowa!

Mućka zamuczała zadowolona z pieszczoty.

Filemon podszedł do martwego Łysola i obwąchał go. Mokra plama w okolicach krocza okropnie śmierdziała.

– Bonifacy! Bonifacy! – zamiauczał. – Dlaczego ludzie sikają po śmierci?

Czarny kocur nie odpowiedział. Spał w najlepsze, w głębokim poważaniu mając niedawne wydarzenia. Dziadek pochylił się nad trupem i odsunął kociaka na bok.

– Zmykaj stąd! – powiedział. – To nie jest miejsce dla maluchów.

Wprawnie obszukał kieszenie skórzanej kurtki i wydobył z nich kluczyki do auta, telefon i portfel. Przez chwilę próbował odblokować iPhone'a, ale nie potrafił odgadnąć kodu i po kilku nieudanych próbach poddał się.

– Babka! – zawołał. – Daj no mi moją komórkę! Trzeba do Mareczka zadzwonić.

Filemon miauknęła z zadowolenia. Lubił Mareczka, bo ten zawsze, gdy przyjeżdżał, głaszał go i rzucał piłeczkę. Bonifacy powiedział mu kiedyś, że to lokalna gwiazda paserstwa, ale kociak nie poznał jeszcze znaczenia tego słowa, więc nie miał w tej kwestii własnego zdania. Ważne było to, że ktoś go dzisiaj pomizia za uszkami.

Babka wyszła na podwórze i podała mężowi telefon. Przez chwilę stała, spoglądając na ciało Łysola i leżącą obok drewnianą pałkę. Wreszcie zde gustowana pokręciła głową i westchnęła pod adresem trupa:

– Co za debil!

– Oho! – rezolutny Filemon od razu podchwycił zbieżność. – Już wiem, od kogo swoje powiedzenie ściągnął Bonifacy.

Dziadek przyłożył aparat do ucha i po chwili przywitał się:

– No cześć, Mareczku! Mam dla ciebie nowe autko. Tym razem terenówka, nowa beemka. Tak, tak, standardowy zestaw z komórką i złotym łańcuchem. Jaki łańcuch? – Dziadek pochylił się nad Łysolem.

– Powiem ci, że solidny. Mućka by się z niego nie zerwała. O której będziesz? Dobrze, świetnie! Do zobaczenia o szesnastej!

Filemon był zachwycony perspektywą popołudniowego głaskania i zabawy z piłką. Z radości miauknęła i podskoczył. Zapomniał, że przed chwilą ponownie usiadł pod ogrodową ławką. Drugi raz

w tym dniu wyrzwał głową w coś twardego. Obudził tym samym Bonifacego. Czarny kocur leniwie otworzył oczy i z niesmakiem spojrzął na młodszego kolegę.

– Co za debil! – mruknął i poszedł dalej spać.

Adam i Ewa

Już od dłuższego czasu unosiłem się cudownie nieważki i rozkoszowałem w pełni tym odczuciem. To było naprawdę niesamowite wrażenie! Od zawsze o czymś takim marzyłem. Masa mojego ciała wynosiła średnio siedemdziesiąt pięć kilogramów, w porywach osiągała osiemdziesiąt. W chwili obecnej nie ważyłem nic. Wszechświat majestatycznie wirował dookoła mnie, widziałem wszystko jak na zwolnionym filmie. Na idealnie czarnym tle przesuwały się olbrzymie słońca, kolorowe planety, ich księżycy i najróżniejsze, próżniowe wytwory ludzkiej cywilizacji. Było w tym wszystkim coś zadziwiającego. Kosmos był przecież nieskończenie wielki, jego pustka nie miała granic, a tu, gdziebym nie rzucił okiem, coś właśnie się działo.

Poruszyłem nieznacznie rękami i przestałem w końcu obracać się dookoła własnej osi. Spróbowałem przyjąć moją ulubioną pozycję – leżeć na wznak z dłońmi pod głową i założonymi na siebie nogami. Z rękoma udało mi się bez problemu. Z nogami niestety nie. Mój próżniowy skafander ograniczał nieco swobodę ruchów. Przyjrzałem się mu przez moment, zastanawiając się, skąd go mam, ale zaraz potem szybko wzruszyłem ramionami. Nieważne skąd. Ważne, że działał i mogłem w nim spokojnie oddychać. Szkoda mi było czasu na poświęcanie mu uwagi, gdy dookoła działy się te wszystkie cuda i osobliwości.

Spojrzałem nieco w prawo i aż oniemiałem z zachwytu. Dwie duże, idealnie okrągłe i identycznie błękitne planety wirowały wokół siebie w niewielkiej odległości. Dokoła nich po eliptycznej orbicie poruszał się maleńki, także błękitny księżyc. W życiu nie widziałem czegoś równie pięknego! Patrzyłem na ten niesamowity taniec przynajmniej kilkanaście minut i doszedłem do wniosku, że mógłbym to robić do końca życia. Wcale by mi się to nie znudziło. Obiecałem sobie, że za jakiś czas wrócę do kontemplacji tego niezwykłego, błękitnego układu, i przeniosłem wzrok jeszcze bardziej w prawo.

Majestatyczna, ciemnoszara planeta wpłynęła dostojnie w moje pole widzenia. Ona też mi się podobała. Przypominała pod pewnym względem Saturna z Układu Słonecznego – miała pierścień, tylko że jej pierścień był o wiele piękniejszy. Iskrzył się wprost tysiącem kolorów i odcieni. Ta niespotykana feeria barw aż raziła w oczy intensywnością. To, że planeta była olbrzymia, nie miało już dla mnie żadnego znaczenia. Liczył się tylko jej cudowny pierścień. Brakowało mi słów, żeby go opisać. Nie pamiętałem, ile czasu minęło, zanim w końcu udało mi się oderwać od niego wzrok.

Przekręciłem się jeszcze bardziej w tym samym co uprzednio kierunku i kolejny raz oniemiałem z zachwytu. Znowu widziałem olbrzymią, szarą planetę, taką jak przed chwilą, ale tym razem miała ona aż trzy wielobarwne pierścienie, przecinające się pod różnymi kątami. Ten widok przeszedł moje najśmielsze oczekiwania. Przy nim nawet układ wirujących dookoła siebie błękitnych planet z okrążającym je księżycem był mało ciekawy. I niech mi ktoś powie, że wszechświat nie jest piękny!

Dla odmiany spojrzałem przez lewe ramię. Olbrzymi wahadłowiec o wdzięcznej nazwie Stokrotka zmierzał prosto, w sobie tylko wiadomym kierunku. Jego ostry dziób łagodnie przechodził w część

pasażerską, upstrzoną licznymi, okrągłymi okienkami widokowymi. Przez moment wydawało mi się, że ktoś się w nich porusza, i zastanowiłem się, czy lejący wahadłowcem podróżni są w stanie mnie zauważyć. Odległość co prawda była dość duża, ale to niczego nie wykluczało, więc na wszelki wypadek, nie chcąc uchodzić za niekulturalnego kosmonautę, pomachałem im ręką.

Za ogonem wahadłowca, na cieniutkiej jak włos lince poruszał się jeszcze jeden pojazd. Oczywiście linka ta miała średnicę przynajmniej dziesięć razy grubszą niż ludzkie ramię, ale z mojego punktu obserwacyjnego była ledwo widoczna. Holowany na niej pojazd był automatyczną kapsułą ładunkową przewożącą bagaże pasażerów. Uśmiechnąłem się lekko, gdy uzmysłowiłem sobie, co mi ten widok przypomina. Przypominał mi mianowicie olbrzymiego pana, który wyprowadził na spacer swojego malutkiego pieska.

Kiedy tylko sylwetka Stokrotki opuściła moje pole widzenia, znowu ujrzałem coś, co swoim pięknem odjęło mi zupełnie mowę. Wokół żółto-zielono-czerwonej planety krążyły jeden za drugim cztery śnieżnobiałe księżycy. Ustawione były na tej samej orbicie, a ich wielkość malała ku ostatniemu. Można było odnieść wrażenie, że pierwszy księżyc ciągnie za sobą warkocz złożony z trzech mniejszych. To było niesamowite! Nigdy nie sądziłem, że coś takiego może w ogóle istnieć. Moja wymarzona wyprawa w próżnię sprawiała mi tak fantastyczne niespodzianki, że to, iż nie wiedziałem, w której części kosmosu się znajduję ani skąd akurat właśnie tu się wziąłem, przestało być istotne. Kto w takiej chwili zwracałby sobie głowę jakimiś drobiazgami?

Zmieniłem pozycję na leżącą na brzuchu. Teraz mogłem obserwować tę część przestrzeni, która do tej pory znajdowała się przede mną. Ujrzałem kolejne mrowie światów, pojedynczych i mnogich, w najprzeróżniejszych układach i kombinacjach. Wprost nie mogłem się na nie napatrzeć!

Nieco z boku intensywną zielenią emanowała kosmiczna stacja przekaźnikowa. Nigdy bym nie przypuszczał, że będzie tak śmiesznie wyglądać z góry. Talerze jej anten stały się płaskimi, białymi kółkami, które z powodu swojego chaotycznego na pierwszy rzut oka rozmieszczenia oraz dzięki różnej wielkości mogłyby komuś głodnemu skojarzyć się z oczkami tłuszczu pływającymi w jakiejś zielonej zupie. Znowu uśmiechnąłem się do swoich skojarzeń. Jedno wiedziałem na pewno – nie byłem głodny. Nawet jeśli bym był, to nie zamierzałem niczego jeść. Szkoda mi było czasu na jedzenie. Teraz? Przy tych wszystkich cudach dookoła? Mowy nie ma!

Nie byłem pewien, czy przez przypadek nie zakłócam swoją obecnością jakości nadawanych i odbieranych przez stację sygnałów, więc na wszelki wypadek postanowiłem oddalić się. Zamachałem trochę nieporadnie rękami i nogami i zauważyłem, że wszechświat przesunął się w tył.

Tak jakbym płynął, pomyślałem i kolejny raz uśmiechnąłem się do siebie.

– O rany! – wykrzyknąłem, gdy w końcu to do mnie dotarło. – Ja pływam!

Tym razem sprawniej niż poprzednio poruszyłem kończynami, naśladując ruchy pływania, i przyniosło to jak najbardziej spodziewany efekt. Śmiejąc się na głos ze szczęścia, zacząłem rozcinać otaczającą mnie czarną niby-toń, zmieniając co chwila style. Raz płynąłem żabką, raz kraulem, co jakiś czas naśladowałem styl grzbietowy lub delfina i znowu wracałem do mojej ulubionej żabki. To było cudowne! Pływałem w próżni! Guzik obchodziło mnie to, że jest to teoretycznie niemożliwe. Nie wiem, w jaki sposób, ale praktyka na szczęście rozminęła się w tym przypadku z teorią, a ja tym szczęściem byłem prawie pijany. Leniwie unosząc się w otaczającej mnie pustce, co jakiś czas wybierałem na chybił trafił jeden kierunek i płynąłem tam w poszukiwaniu nowych, wspaniałych wrażeń.

Gdzieś podę mną uchwyciłem niewielki ruch. Spojrzałem w dół i zobaczyłem całe mrowie statków wojennych. Ciężkozbrojne krążowniki ustawione były w idealnie równym szyku bojowym, a dookoła nich w błyskawicznym tempie uwiły się myśliwce, torpedowce oraz dwu- i trzysobowe ścigacze. Cały szyk zamykały opasłe cielska pancerników przestrzennych. Imponująca armada, nie da się ukryć.

Tknięty nagłym przeczuciem, odwróciłem głowę w drugą stronę i zobaczyłem, jak z przeciwnego kierunku nadlatuje równie wielka flota wojenna. Ach, ci ludzie! Ciągłe o coś walczą. Wszechświat jest taki wielki, taki piękny, tyle nowego można w nim odkrywać każdego dnia, a im tylko jakieś kosmiczne bitwy w głowach.

Nie byłem zainteresowany oglądaniem jednej z nich, więc czym prędzej opuściłem ten obszar przestrzeni. Na przemian kraulem i żabką popłynąłem w stronę niedalekiego pomarańczowego słońca. Takie całkiem niedalekie to ono znowu nie było i zmęczyłem się gdzieś w połowie drogi. Skierowałem się ku pobliskiej, całkiem sporej asteroidzie. Po chwili wgramoliłem się na nią i rozsiadłem wygodnie, żeby trochę odpocząć. Z boku śmignęła przepiękna, czerwona kometa, ciągnąc za sobą zdumiewająco długi ogon. Czuję się jak ktoś, kto poszedł do kina i widzi właśnie najlepszy film w życiu. Jak ja żałowałem, że nie mam kamery, jakiegoś aparatu fotograficznego albo czegokolwiek, co pozwoliłoby mi uwiecznić te wszystkie widoki! To jednak i tak był maleńki, nic nieznaczący minus w całym tym bezkresnym oceanie plusów.

Pomachałem przelatującemu nieopodal pocztowemu liniowcowi. Byłem prawie pewien, że ktoś mi odmachał. Chwilę później równie szybko jak niedawna czerwona kometa przemknął jaskrawy pojazd policji międzygwiazdnej. Policjantom nie pomachałem. Nie dlatego, że ich nie lubię. Lecieli po prostu tak szybko, że pewnie by tego nie zauważyli.

Podniosłem się ze swojego miejsca, stanąłem na szczycie asteroidy i dałem ostrego nura głową w dół. Przez chwilę przemknęło mi przed oczami morze gwiazd w postaci cienkich, świecących kresek. Wytraciłem powoli prędkość i rozejrzałem się dookoła. W tej części przestrzeni jeszcze nie byłem. Właśnie z zapartym tchem obserwowałem fantastyczny wybuch odległej supernowej, gdy kątem oka wyłowilem niewielki ruch. Spojrzałem w tamtym kierunku i ujrzałem... ją. Miała na sobie taki sam skafander jak ja. Przyciemniona bańka hełmu utrudniała mi dokładne zobaczenie jej twarzy, ale i tak skądś wiedziałem, że jest to najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu spotkałem.

Nie miałem pojęcia, jak ma na imię, a ponieważ ani ja, ani ona nie posiadaliśmy na wyposażeniu skafandrów żadnych układów umożliwiających nam komunikowanie się, nadałem jej imię Ewa. Podpłynęliśmy do siebie i przez chwilę zwyczajnie unosiliśmy się naprzeciw, nic nie robiąc. Wreszcie złapaliśmy się za ręce i pełni szczęścia zawirowaliśmy dookoła w cudownym tańcu. Zakochałem się w Ewie w mgnieniu oka i skądś wiedziałem, że ona zakochała się we mnie równie szybko. Wiedziałem też, że nadała mi imię Adam. Czemu nie? Prawdę mówiąc, nie pamiętałem swojego imienia, a Adam było całkiem niezłe.

Mocno przytuleni, oddzieleni jedynie próżniowymi skafandrami, przyciskając do siebie bańki hełmów, przemierzaliśmy czarną toń kosmosu, nie bacząc na nic. Nauczyłem Ewę pływać w próżni i pokazałem jej najładniejsze planety, jakie do tej pory widziałem. Ona pokazała mi jeszcze piękniejsze. Byliśmy najszczęśliwszymi ludźmi we wszechświecie i nic prócz nas i piękna tego wszechświata po prostu nie istniało.

I nagle ktoś wyłączył światło. Wszystko gwałtownie pociemniało i zniknęło.

– Dzień dobry, panie Wolański! – usłyszałem kobiecy głos. Wystraszony otworzyłem gwałtownie oczy i zobaczyłem pochyloną nade mną kobietę. Miała krótkie, lekko kręcone, ciemnorude włosy i czarne oczy. Była ładna, nawet bardzo ładna, ale do Ewy się nie umywała. Skądś ją chyba znałem. Uśmiechnęła się do mnie i zapytała: – Jak się pan czuje?

– Sam nie wiem – odpowiedziałem jej zgodnie z prawdą.

– Och! Proszę się tym nie przejmować, to normalna reakcja – powiedziała kobieta, a ja przypomniałem sobie nagle, że była lekarką. – Właśnie wybudził się pan z narkozy. Mam dla pana same dobre wieści. – Jej szeroki uśmiech powiększył się jeszcze bardziej. – Operacja udało się, usunęliśmy guz w całości i nie stwierdziliśmy nigdzie przerzutów. Tego oczywiście nie możemy zagwarantować ze stuprocentową pewnością. Sądzę jednak, że może być pan dobrej myśli i że niedługo będzie pan mógł opuścić szpital całkowicie wyleczony.

Guz? Szpital? – przemknęło mi przez myśl. A gdzie te wszystkie planety i księżycy? A kosmiczne statki? Gdzie jest moja Ewa?

Pani doktor nieustannie trajkotała jak nakręcona, a ja powoli dochodziłem do siebie i niestety wracała mi pamięć. Podałem się operacji w związku z wykrytym niedawno nowotworem żołądka, a teraz wróciłem do normalnego świata. Życie jest niesprawiedliwe!

Zostałem dokładnie osłuchany, opukany i nawet obmacany po tkliwym brzuchu przez paplającą wciąż panią doktor, która w końcu pobrała mi krew na jakieś badania i dzięki Bogu wyszła. Stojąc w progu, zdążyła mi jeszcze powiedzieć, że jeżeli nie wystąpią jakieś komplikacje, a takowe były według niej mało prawdopodobne, to za dwa dni zostaną przeniesiony z sali pooperacyjnej na zwykły, szpitalny oddział. Uśmiechnęła się na sam koniec tak szeroko, jak to tylko było możliwe, i wreszcie zostawiła mnie samego.

Cisza, jaka zapadła po jej wyjściu, przerywana była jedynie rytmicznym pikaniem i szumem jakiegoś aparatu. Rozejrzałem się dookoła mojego łóżka. Nie byłem do niczego podłączony. Odgłosy te dochodziły zza stojącego obok parawanu. Ostrożnie wyciągnąłem rękę i pokonując ostre ukłucia bólu w brzuchu, odsunąłem na trochę jego białe płótno. Na sąsiednim łóżku w otoczeniu najróżniejszych medycznych urządzeń leżała moja Ewa. Miała bladą i wymizerowaną twarz, ale i tak była to najpiękniejsza twarz, jaką w życiu widziałem. Nawet jakieś paskudne rurki wystające z ust i nosa nie były w stanie przyćmić jej urody. Patrzyłem na nią przez chwilę i wtedy w mojej głowie zrodził się pewien pomysł.

Posyukując z bólu, usiadłem na łóżku. Czulem ostre pieczenie w ranie, ale zignorowałem je. Sięgnąłem po wiszącą z boku swoją kartę informacyjną i rzuciłem okiem na wypisane na niej leki. Wykaz uwzględniał całkiem sporo pozycji, a ich nazwy były dla mnie co najmniej niezrozumiałe i trudne do wymówienia. Tylko jedna brzmiała znajomo. Po olbrzymim wysiłku, równie wielkim bólu brzucha i fali upiornych zawrotów głowy udało mi się w końcu wstać i drobnymi kroczkami podejść do łóżka Ewy. Wziąłem do ręki jej kartę informacyjną. Znów cała masa leków i znów jedna jedyna, znajoma nazwa – morfina. Może jednak życie nie jest takie niesprawiedliwe, jak mi się wcześniej wydawało?

Ściągnąłem prześcieradło ze swojego łóżka, owinąłem nim pięść i nie zwlekając, uderzyłem w szybę szafki z lekarstwami zamkniętej na nieosiągalny dla mnie klucz. Mimo że byłem znacznie osłabiony, udało mi się ją zbić. Przypłaciłem to kolejną porcją potwornego bólu i nudności. Kiedy

przestało mi być niedobrze i gdy znów zacząłem widzieć w miarę wyraźnie, zauważyłem, że mój opatrunek na brzuchu przesiąknięty był świeżą krwią. Nie przejąłem się tym za bardzo.

Odszukałem w szafce odpowiednie pudełko. Z półki niżej wygrzebałem jakąś strzykawkę i założyłem na nią igłę. W strzykawce zmieściło się sześć ampulek morfiny. Podeszedłem do Ewy, podwinąłem rękaw jej szpitalnej koszuli i zrobiłem zastrzyk. To był pierwszy i zarazem przedostatni zastrzyk w moim życiu. Ponownie napełniłem strzykawkę i powtórzyłem wszystkie czynności sprzed chwili, ale tym razem na sobie. Dowlokłem się do swojego łóżka i zwałem bezwładnie na jego brzeg. Byłem potwornie zmęczony. Silnie pulsujący ból zaczął po chwili słabnąć, a kontury widzianych przeze mnie przedmiotów zaczęły się powoli rozmywać.

– Do zobaczenia, Ewo! – powiedziałem, a chwilę później światło zwyczajnie zgasło.

Znowu unosiłem się otoczony czarną pustką. Znowu to cudowne wrażenie nieważkości! Rozejrzałem się niecierpliwie dookoła w poszukiwaniu mojej ukochanej. Była tam! Uśmiechając się promiennie, wyciągnęła ku mnie delikatne dłonie, a ja podpłynąłem do niej tak szybko, jak tylko potrafiłem.

– Dlaczego tak długo zwlekałeś, Adamie? – zapytała mnie dźwięcznym, ciepłym głosem.

– Nieważne! – odpowiedziałem, przyciągając ją bliżej. – Ważne, że już jestem!

Przytuleni do siebie popłynęliśmy razem przez przestworza wszechświata, podziwiając jego piękno. Byliśmy szczęśliwi i tylko to się liczyło. Zauważyłem też jeszcze jedno – tym razem nie mieliśmy na sobie próżniowych skafandrów. Przelatująca obok wspaniała, zielona kometa aż prosiła, żeby się z nią ścigać. Nie pozwoliliśmy jej długo na siebie czekać.

Piroman

Krecik spał w jednym z bocznych korytarzy swych podziemnych włości. Było mu ciepło, sucho i wygodnie. Posapywał z cicha, pochrapywał, śnił o tym, że kiedyś spotka piękną krecicę i razem, pazur w pazur, drążyć będą podziemne korytarze. Błogi sen przerwał przytłumiony huk. Krecik uniósł nieco główkę i przez chwilę nasłuchiwał.

Co to by mogło być? – zastanowił się. Pierdnąłem?

Nie zdążył wyciągnąć w tej kwestii jakichkolwiek wniosków, gdy huk powtórzył się. Był głośniejszy i doszedł z bliższej odległości. Towarzyszyło mu lekkie drganie ziemi. Teraz krecik był pewien, że to nie on jest autorem hałasu. Przez moment myślał, o co w tym wszystkim chodzi. Wtedy pierdyknęło po raz trzeci.

– Ach joj! – westchnął, gdy wreszcie domyślił się, co zakłóciło mu sen. – To znowu Zdenek Procházka i ten jego cholerny karbid!

Krecik nie miał bladego pojęcia, dlaczego człowiek tak się zachowywał. Po co wpuszczał gaz do wydrążonych przez niego tuneli? Śmierdziało to jak nie wiadomo co i wywietrzyć przez parę dni nie było można. I jeszcze te podpalenia! W dupę kopany piroman się znalazł!

Krecikowi bardzo podobała się łąka Procházki. W zadbanej, równiutko przyciętej trawie pełzały wyjątkowo tłuste dżdżownice i ślimaki, lubił też myć swoje czarne futerko w wieczornej rosie. Szorował wtedy brzuchem, grzbietem i bokami po mokrym zielonym dywanie, bez obaw, że natknie się na jakiś oset czy pokrzywę. W ramach wdzięczności dla człowieka za dbałość o trawnik krecik ozdabiał go najładniej, jak tylko potrafił. Kopce, które formował, były naprawdę okazałe i idealnie równe. Zdenek najwyraźniej jednak tego nie doceniał. Właśnie kopce obrał za cel swojego głośnego hobby.

Następny wybuch był wręcz ogłuszający. Wstrząs ziemi rzucił krecika najpierw w górę – uderzył się w głowę, a następnie w dół – wtedy uderzył się w brzuch.

– Dość tego! – warknął rozeźlony. – Trzeba coś z tym zrobić! Nie będę dłużej tolerował takiej sąsiedzkiej uciążliwości!

Wypelzł z bocznego tunelu i podreptał szerszym, głównym na powierzchnię. Wyrżał ostrożnie z kopca i zobaczył, jak człowiek pochyla się nad jednym z jego ziemnych arcydzieł i chwilę później niszczy je w głośnym wybuchu. Śmierzący, siwy dym zalegał nad większością łąki. Procházka wyprostował się i zaciśniętą pięścią wygrażał trawnikowi.

– Już ja cię załatwię, jebany szkodniku!

– Ach joj! – westchnął krecik, widząc, że Zdenek ma jeszcze spory zapas karbidu i że nie wygląda na zmęczonego. Znaczyć mogło to tylko jedno – tego dnia nie przetrwa żaden z jego pięknych kopców.

Łąka Procházki przylegała do niewielkiego lasku. Krecik podreptał tam i wcisnął się pod pień brzozy, którą zeszłej jesieni powaliła wichura. Na razie nie mógł bezpiecznie wrócić do swoich tuneli,

musiał przeczekać pirotechniczny atak szafu Zdenka Procházky.

Na łąkę wrócił dopiero po zmroku. Wybuchowa działalność człowieka skończyła się jakiś czas temu, jednak nad trawą długo jeszcze unosił się drażniący dym. Tego akurat dnia pechowo było bezwietrznie. Krecik rozejrzył się dookoła i smutno westchnął. Zdenek Procházka okazał się skrupulatny. Nie tylko wysadził w powietrze, ale też rozdeptał, a następnie rozgrabił wszystkie kopce. Tym samym efekty kilkudniowej pracy krecika zrównane zostały z ziemią.

Mały ryjek przesunął się to w prawo, to w lewo w poszukiwaniu choć jednej malutkiej, nietkniętej górki ziemi – na próżno. W świetle wschodzącego właśnie księżyca w małych czarnych oczkach zalśniły łzy.

– A to niewdzięcznik! – Krecik nie mógł zrozumieć zachowania człowieka. – A przecież tak się starałem! Tyle pracy włożyłem w te kopce! A on co? On je wszystkie zniszczył... – Pograżony w żalu wykopał sobie małą jamkę i ułożył się w niej, patrząc na rozgwieżdżone niebo.

Następny dzień nie okazał się jednak wcale lepszy. Słońce zaczęło od samego rana mocno przygrzewać. Jego promienie wpadły do wygrzebanej w ziemi jamki i przypaliły czarne futerko.

– Łoj! – Krecik gwałtownie zerwał się na cztery łapki, czujnie węsząc dookoła. Słońce prażyło wręcz niemiłosiernie, dodatkowo go oślepiało. Normalnie przeczekałby jego wzmożoną aktywność w jednym z tuneli, te jednak zostały wczoraj dokładnie zrujnowane. Poranek pod gołym niebem i gorąca pobudka okazały się jednak dla krecika zbawienne.

Zdenek Procházka wkroczył bowiem na łąkę w morderczym nastroju. Najpierw pchał przed sobą jakieś dziwne ustrojstwo. Było ciężkie, a nienaoliwione kółka skrzypiały przy tym przeraźliwie. Następnie owe kółka zostały odcepione. Do umieszczonego w tylnej części maszyny zbiornika człowiek wlał płyn o ostrym aromacie. Swego czasu krecik mieszkał w pobliżu stacji paliw i wiedział, jak pachnie benzyna. Zdenek coś przełączył, coś dokręcił, po czym z głośnym warkotem uruchomił urządzenie. Ono zaś zagłębiło swe żelazne szpony w ziemię i zaczęło ją metodycznie mielić.

– A to gnojek! – Nie na żarty wkurzył się krecik. – To ja tu do ciebie z sercem na dłoni, a ty do mnie z głębogryzarką? Poczekaj, łajzo! Już ja ci pokażę, co znaczy ze mną zadzierać!

Przebierając szybko łapkami, przebiegł po obwodzie łąki do szopy, w której człowiek trzymał ogrodnicze narzędzia i materiały. Na jednej z zakurzonych półek stała puszka z karbidem. Krecik wgramolił się na półkę, a następnie stękając z wysiłku, zepchnął puszkę na ziemię. Szczęśliwie dla niego przy upadku odpadło wieczko i szara masa w środku stała się dostępną bez żadnych przeszkód.

W szopie było też ujęcie wody. Krecik czasami korzystał z jego nieszczelności i po upalnych dniach przychodził tu, by schłodzić się w wolno kapiących, zimnych kroplach. Przeturlał puszkę z karbidem w stronę kranu i ustawił tak, aby woda skapywała do wnętrza. Zasycało już po pierwszej kropli, w szopie rozszedł się gryzący zapach. Po kilkunastu kolejnych śmierdziało już tak, że sprawa chemicznej reakcji powstawania acetylenu uciekł z piskiem z szopy.

Destrukcja na łące trwała w najlepsze. W donośnym warkocie silnika głębogryzarka połykała kolejne połacie trawy. Pchający ją człowiek miał zacięty wyraz twarzy i nic nie wskazywało na to, że w najbliższej przyszłości zakończy swój proceder.

Krecik podbiegł do kanistra z benzyną. Był zbyt duży, aby go przewrócić, ale po podkopaniu ziemi przy jednej krawędzi krecik osiągnął cel w miarę łatwo. Stuknęło głucho, etylina zabulgotała w środku, ale oba te hałasy skutecznie zagłuszone zostały przez warczącą maszynę Procházky. Przyszła pora na decydującą część planu. Krecik obawiał się, czy da radę, ale los tego dnia wyraźnie się do niego

uśmiechnął. Okazało się bowiem, że korek w kanistrze zakręcony był tylko trochę. Pewnie Zdenek liczył się z tym, że za jakiś czas będzie musiał uzupełnić paliwo w zbiorniku, i nie chciał zbytino siłować się z zakrętką.

Krecik pospiesznie wykopał wąski rowek w stronę szopy, pogłębiając go w miarę zbliżania się do niej. Był mistrzem w precyzyjnych robotach ziemnych, więc uzyskany spad okazał się idealny. Wrócił do kanistra i bujając się na zakrętce niczym na kołowrotku, odkręcił ją. Chlusnęła benzyna, jej wąska strużka popłynęła w stronę drewnianego budynku. Krecik stanął w połowie długości specyficznego strumyka i ocenił efekty swojej pracy. Był w pełni usatysfakcjonowany. Pokiwał z zadowoleniem główką, po czym pobiegł w stronę wysypanej żwirem alejki przed domem.

Znalezienie wśród kamyków dwóch odpowiedniej wielkości krzemieni zajęło chwilę, powrócił w stronę rowka z benzyną drugą. Pod drzwiami do szopy utworzyła się w tym czasie spora kałuża. Krecik postanowił nie czekać dłużej. Skrzeszał iskry i ile sił w łapkach rzucił się do ucieczki.

Ponieważ zapalił strumyk benzyny w części bliższej kanistra, ten wybuchł pierwszy. Większość paliwa zdążyła się już z niego wylać, więc tylko z niezbyt głośnym pyknięciem pofrunął na parę metrów w górę. Zdenek Procházka kątem oka uchwycił ten krótki lot i zwrócił się w jego stronę akurat w momencie, w którym z donośnym jebut w powietrze wyleciała jego szopa. Acetylen plus benzyna plus ogień to prosty przepis na malowniczą katastrofę. Wystarczyłby sam acetylen i ogień. Wówczas jednak krecik musiałby skrzesać ogień w szopie lub tuż przy niej, a tego mógłby nie przeżyć. A tak, schowany pod ogrodową ławką, patrzył, jak przestrzeń dookoła bombardowana jest szczątkami desek i narzędzi, które Procházka do niedawna przetrzymywał w drewnianym składziku.

Opadły cięższe szczątki, potem lżejsze, opadł kurz, a stojącemu nieopodal na łące Zdenkowi opadły ręce i żuchwa. Człowiek odruchowo wyłączył glebogryzarkę i w ciszy, która po tym zapadła, stał i z niedowierzaniem patrzył na pobojuwisko.

Krecik wyszedł zaś spod ławki, zatrzymał się naprzeciw oniemiałego Zdenka, po czym jak gdyby nigdy nic wykopał dziurę w ziemi i zniknął w niej. Tym razem nie starał się i kopiec, który wykonał, z symetrią był wyraźnie na bakier. Wybuch szopy okazał się całkiem niezły, choć nie umywał się do tego, w którym przestała istnieć pewna stacja paliw, w pobliżu której kiedyś mieszkał. Mimo to krecik uznał, że całkiem przyjemnie pierdyknęło.

Zjazd

Na sali obrad panował gwar. Licznie zgromadzeni uczestnicy zjazdu pogrążeni byli w intensywnej wymianie najnowszych plotek. Tu i ówdzie wybuchał gromki śmiech, co jakiś czas słychać było ochy i achy zachwyków. Oko postronnego obserwatora zauważyłoby również wcale nierzadkie, lekceważące machnięcia rękami.

Stojący na mównicy odchrząknął kilka razy w znaczący sposób, ale bez żadnego skutku. Odczekał chwilę i odzianymi w czarną, skórzaną rękawicę opuszkami palców energicznie postukał w mikrofon. Odgłos, który w ten sposób wywołał, również utonął w ogólnym zgiełku. Dopiero gdy po naciśnięciu kilku guzików na sali pogasły światła, harmider zmniejszył się i wreszcie ucichł. Uwaga zebranych skupiła się na mównicy. Postać w czerni westchnęła z zadowoleniem i przemówiła:

– Witam wszystkich serdecznie na corocznym zjeździe Stowarzyszenia Manów. Cieszy mnie tak liczny udział stałych bywalców oraz to, że nasze szeregi nieustannie powiększają się. Wszystkich nowych uroczystie przywitamy na wieczornym bankiecie. Plan obrad wisi w gablocie przed wejściem do sali. Mam nadzieję, że wszyscy zapoznali się już z porządkiem wykładów i seminaryjnych warsztatów. Niniejszym ogłaszam Czternasty Światowy Zjazd Stowarzyszenia Manów za otwarty!

Nie było braw. Nie było okrzyków radości. W zasadzie nie było niczego. Na sali obrad panowała grobowa cisza. Uniesione w triumfalnym geście ramiona mówcy łączyły się z tułowiem czarną błoną skrzydeł. Falowała ona przez moment, po czym złożyła się w ślad za opuszczonymi w geście bezradności ramionami. Zasłonięta maską głowa pochyliła się, czarną sylwetką targnął spazm bezgłośnego płaczu.

– A nie mówiłem? – zakrzyknął człowiek w niebieskim kombinezonie z fikuśną literą S na piersi. – Bastuś beksa! Bastuś beksa! – zaczął skandować w podskokach, czemu towarzyszyło furkotanie czerwonej peleryny.

– Zamknij się! – warknął siedzący dwa rzędy dalej człowiek pajak. Z jego wygiętego nadgarstka ze świstem wystrzeliła srebrna nić, która oplótła Supermana ciasną pętlą. Fikuśne S na piersi skrzywiło się, czemu towarzyszył rżęzący oddech skrępowanego. Człowiek pajak zdarł z głowy maskę, ukazując wszystkim gniewne oblicze. – Też miałbyś łzy w oczach, gdyby ci kuśka nie chciała stanąć – wycedził przez zacziśnięte zęby. – Mam ci przypomnieć, kto w zeszłym roku urządził zawody w lataniu?

Superman spurpurowiał na twarzy z wysiłku. Jego napięte do granic wytrzymałości mięśnie poluźniły nieco pajęczą nić, dzięki czemu mógł złapać oddech i odpowiedzieć.

– To nie moja wina, że Nietoperek nie wyrobił na zakręcie i wyrznął łbem w latarnię! – wystękał, wciąż mocując się z krępującą go pajęczyną.

– Nie wyrznąłby, gdybyś nie chłnął z nim wody przed tymi durnymi zawodami. – Spiderman był coraz bardziej zdenerwowany. – To twoja wina, pajacu z przerośniętym ego!

– A ty co tak bronisz Batmana? – Superman wreszcie uwolnił się z więzów. – Co cię obchodzą jego zaburzenia erekcji? Może czujesz się zawiedziony tą dolegliwością, bo to twój kochaś?

– Sam jesteś peda! – wrzasnął człowiek pająk. – Niebieskie, obciste gatki i czerwona pelerynka... Jajka ci furkoczą, jak latasz, debil!

– Spokój! – do kłótni włączyła się potężna postać ubrana w czerwony pancerz. – Gdakacie jak głupie kury, które z rozpędu przeleciały indor. To było rok temu. Stało się i się nie odstanie. Każdy wie, czym może skończyć się latanie po pijaku. Batman wiedział, a mimo to poleciał. Sam sobie zrobił krzywdę i koniec! Zrozumiano? – Ostatnie pytanie zabrzmiało groźnie.

Iron Man był wyższy przynajmniej o głowę od reszty uczestników zjazdu, siłą zaś przewyższał większość z nich wielokrotnie. Nikt nie chciał z nim zadzierać. Prawie nikt. Z końca sali dał się słyszeć drwiący głos:

– Nie gorączkuj się tak, złomiarzu! – Mówiący był niski, ale za to potężnie umięśniony. Olbrzymie mięśnie napinały zieloną skórę przy każdym, nawet najmniejszym ruchu. – Jeszcze ci zwieracze strzelą i zlejesz się do środka. A potem już tylko rdza...

Iron Man zbłądł, przez co kontrast jego twarzy z krwistoczerwoną zbroją aż kłuł w oczy.

– Wracaj na bagna, zgnilcu! – warknął. – Tam twoje miejsce, a nie tu! To jest zjazd manów, a nie pononionych mutantów.

Hulk parsknął basowym śmiechem, w rytm którego zatrzęsły się jego potężne ramiona.

– Odezwał się man... – zadrwił z rozmówcy. – Zapakuje się taki w wyklepane blachy, przypnie do tyłka raketowe silniki i myśli, że jest wielki. Jesteś tuńczykiem w odrzutowej konserwie, a nie manem!

Zataczając coraz szersze kręgi kłótnię przerwał energiczne stukanie młotka w drewnianą podkładkę.

– Mordy w kubeł, kretyni! – Stojąca na mównicy postać wyróżniała się wysokim wzrostem, topornymi rysami twarzy i niekończącym się ciągiem blizn po mało estetycznych szwach. – Jam jest Frankenstein – tubalnym głosem oznajmił pozszywaniec. – To ja założyłem Stowarzyszenie Manów i nie pozwalam na takie zachowanie! Ujadacie jak wściekłe psy, chępiąc się przerośniętym ego. Macie okazję zjednoczyć się z sobą podobnymi, wymienić się pomysłami na radzenie z różnymi sytuacjami w życiu i tak dalej. A wy co? – Na sali panowała grobowa cisza. Uczestnicy zjazdu zastygli w całkowitym bezruchu. – Gęby wam się nie zamykają, mielicie ozorami po próżnicy. Wstyd i sromota na taki zjazd! Rozejrzyjcie się dookoła! – O ile to możliwe, Frankenstein jeszcze bardziej podniósł głos. – Na początku byliśmy stowarzyszeniem elitarnym, zrzeszającym w swych szeregach postacie o wyjątkowych mocach i umiejętnościach. A teraz? Przez te wasze wieczne kłótnie organizacja obniżyła loty tak drastycznie, że aż rzygać mi się chce, gdy o tym myślę. Wiecie, kto niedawno chciał do nas dołączyć? – Pozszywaniec zawiesił na moment głos. W sali obrad cisza była wręcz idealna. – Człowiek na zawołanie psujący powietrze – oznajmił Frankenstein. – Skunks Man, jak się sam określił. Człowiek z biało-czarną skórą. Nie wiadomo, Murzyn czy Aryjczyk. Panda Man, jakby ktoś był ciekaw. Albo człowiek betoniarka, jedzący cement z piaskiem, popijający to wodą i stający się rzadkim betonem. Czy tak mamy wyglądać? Chcecie być klubem ekstremalnych psycholi czy stowarzyszeniem prawdziwych manów? Dla mnie wybór jest prosty. – Frankenstein zmarszczył krzaczaste brwi, naciągając przy tym kilka szwów na czole. – A wy zdecydуйте sami. Przerwywam obrady, choć ledwo się zaczęły. Widzimy się jutro, w tym miejscu, punktualnie o ósmej rano. Bez kłótni, bez zalegających afektów i z nienagannymi manierami. To po pierwsze. Po drugie, z pomysłami na rozwój naszej organizacji

i planami na korzystne zmiany w każdej dziedzinie, jaka przyjdzie wam do głowy. Dziś jesteście skłóconą bandą złamasów. Jutro macie być prawdziwymi manami! A teraz wynocha! – pozszywaniec ryknął ostatnie polecenie na całe gardło.

Sala obrad w mig opustoszała. Z tyłu za mównicą został tylko Batman. Do niedawna załamany i psychicznie słabszy przez uczestników zjazdu, obecnie dumnie wypinał potężną klatkę piersiową do przodu. Na jego częściowo zasłoniętej maską twarzy gościł błogi uśmiech.

– Dziękuję ci, mistrzu, za to pełne pasji przemówienie! – powiedział człowiek nietoperz. – Przywróciłeś mi wiarę w siebie.

Frankenstein mimowolnie spojrział w dół. Skórzany kombinezon Batmana był mocno napięty i wyraźnie wystawał do przodu w okolicy krocza.

– To moja pierwsza od roku erekcja – oznajmił człowiek nietoperz i pogwizdując radośnie My Heart Will Go On z repertuaru Celine Dion, wyfrunął z sali.

Załamany Frankenstein ukrył twarz w dłoniach. Stał tak przez chwilę bez ruchu, po czym opuścił bezradnie ręce i westchnął:

– A mogłem sobie spokojnie żyć i straszyć naiwniaków w zamku w jakimś lunaparku...

Pasja

Zwalisty Niedźwiedź siedział na krześle w poczekalni. Plastikowy mebel złowrogo trzeszczał pod jego ciężarem przy każdym ruchu, ale jak dotąd nie poddał się i nie złamał. Niedźwiedź miał nadzieję, że krzesło jeszcze trochę wytrzyma, a on nie będzie miał okazji zwalić się na podłogę ze spektakularnym łomotem.

Tuż obok na takim samym krzeselku siedziała kilkuletnia dziewczynka. Spod różowofioletowej chustki na głowie tu i ówdzie wystawały niesforne kosmyki jasnych włosów, na pызatej buzi można było dostrzec liczne drobne piegi. Nóżki dziewczynki, obute w tej samej barwy, co chustka, trzewiki, majtały się w tę i z powrotem w nierównym rytmie. Masza z zainteresowaniem rozglądała się dookoła. Niedźwiedź mógł się założyć o wszystkie skarby świata, że jego podopieczna wymyśla właśnie jakąś nową psotę.

Zanim jednak podjęta została jakakolwiek próba realizacji owej psoty, z lekkim szumem otworzyły się drzwi jednego z gabinetów. Wyszedł z niego lekarz w olśniewająco białym fartuchu z grubą teczką papierów w ręce. Podeszedł do Niedźwiedzia z niezbyt wesołą miną. Miś powoli wstał, a maltretowane dotąd krzesło skrzypnęło jakby z ulgą. Doktor ciężko westchnął i powiedział:

– Ocenilem testy wypełnione przez Maszę. Nie było żadnych wątpliwości co do interpretacji udzielonych w nich odpowiedzi. W związku z tym nie mam też wątpliwości co do rozpoznania. Pańska podopieczna cierpi na ADHD.

Masza parsknęła śmiechem, przykuwając uwagę lekarza i Niedźwiedzia. Przestała majtać nóżkami i zeskoczyła z krzeselka, wciąż głośno się śmiejąc.

– Oj, doktorku, doktorku! – powiedziała chwilę później. – Masz braki w muzycznym wykształceniu. – Widząc, że lekarz nie rozumie, pospiesznie wyjaśniła: – Nie mam ADHD. Mam AC/DC! – Po czym złożyła palce rąk w znak bestii i wydarła się: – I'm on the highway to hell! Highway to hell!

Głos, choć z jednej strony dziecięcy, z drugiej okazał się zaskakująco mocny. Zerwana z głowy chustka pofrunęła gdzieś na bok. Dziewczynka trzepała głową raz w prawo, raz w lewo, a pukle bujnych jasnych włosów podążały za tymi ruchami, powodując widowiskowe fale. Całości dopełniało podskakiwanie i tupanie nogami.

– No właśnie – powiedział lekarz do Niedźwiedzia. – Obraz kliniczny koresponduje z wynikami testów.

Miś smętnie pokiwał wielką głową. W głębi duszy spodziewał się takiego rozpoznania. Co innego jednak tylko podejrzewać, a co innego zderzyć się w tej kwestii z całkowitą pewnością. Z pełnej papierów teczki doktor wyjął jedną wąską kartkę.

– Zaraz wypiszę receptę – powiedział i gestem ręki zaprosił Niedźwiedzia do gabinetu.

Widząc, że jej wokalno-taneczny popis nie został należycie doceniony, Masza powróciła do roli grzecznej kilkulatki. Różowofioletową chustką zgrabnie okiełznała niesformą fryzurę i wskoczyła na jedno ze stojących w rzędzie plastikowych krzesełek.

– To ja tu sobie zaczekam – oznajmiła, rozpoczynając na nowo majtanie nogami. Różowofioletowe trzewiki śmigały w przód i w tył w hipnotyzującym tańcu.

Miś z doświadczenia wiedział, że spuszczenie Maszy z oka choć na moment to prosty i sprawdzony sposób na katastrofę. Miał więc trochę obaw w tej kwestii, z drugiej jednak strony wypisanie recepty nie mogło trwać zbyt długo. Wszedł do gabinetu, zostawiając na wszelki wypadek uchylone drzwi.

– Zakładam, że tabletki nie wchodzą w grę – zagaił lekarz. Niedźwiedź przytaknął i aż wzdrygnął się na wspomnienie kilku prób wcześniejszego leczenia Maszy. – Czopki tym bardziej nie – lekarz tym razem rzucił to do siebie samego. – Nie mamy więc zbytniego wyboru. Przepiszę lek w formie syropu.

Miś westchnął z ulgą. Z tym kłopotu nie będzie. Dziewczynkę roznosiła energia, nie mogła wprost usiedzieć w jednym miejscu. Jej szaleńcza momentami aktywność automatycznie wiązała się z dużym zapotrzebowaniem na kalorie. Masza pochłaniała wszystko, co słodkie, w olbrzymich ilościach bez grymaszenia, wręcz z zapalem. Lekarstwo w formie słodkiego syropu? Tak, poproszę! Dlaczego tak mało? Można podwoić dawkowanie? Albo potroić? Niedźwiedź wzdrygnął się ponownie, przeganiając wizję podopiecznej natrętnie domagającej się syropu.

Doktor zamaszycie gryzmolił coś na receptę i równocześnie przekazywał zalecenia:

– Proszę jej podawać dwie łyżki stołowe preparatu, jedną rano, drugą wieczorem. Poprawa powinna nastąpić w miarę szybko. U większości pacjentów objawy nadpobudliwości ruchowej wyraźnie zmniejszają się już w drugim tygodniu leczenia.

Miś twierdząco pokiwał głową. Roztoczona przed chwilą perspektywa była miła, ale dobrze znał Maszę, więc nie przejawiał w tej kwestii zbytniego optymizmu.

Odgłos przybicia pieczętki na receptę zbiegł się w czasie z metalicznym rumorem dochodzącym z poczekalni. Pełen złych przeczuć Niedźwiedź wypadł na korytarz, tuż za nim był lekarz. Ich oczom ukazała się uśmiechnięta od ucha do ucha pyzata dziewczynka, siedząca okrakiem na przeciwpożarowej gaśnicy. Dysza wylotowa skierowana została do tyłu, a różowofioletowy bucik intensywnie kopał zawór. Najpierw coś zasyczało, potem zaburczało. Po kolejnym kopnięciu rozległ się narastający gwizd.

– Banzai! – krzyknęła Masza i poleciała na gaśnicę niczym na odrzutowej rakiecie wzdłuż korytarza. Lot zakończony został zderzeniem z drzwiami wejściowymi do kliniki. W deszczu szklanych odłamków oba skrzydła zostały wyrwane, a pogieęte metalowe ramy z donośnym brzdękiem rąbnęły na betonowe płyty chodnika. Masza otrzepała się, poprawiła chustkę na głowie, po czym w podskokach podbiegła do osłupiałego Niedźwiedzia.

– Misiu! Misiu! – Pociągnęła go za łapę. – Chodźmy już do domu! Nudzi mi się.

Jej opiekun nie miał nawet siły zaprotestować. Wyjął z dłoni oniemiałego lekarza receptę i pociągany coraz bardziej niecierpliwie za łapę, podążył za dziewczynką.

Przed zrujnowanym wejściem do kliniki zgromadziła się grupa ciekawskich.

– Rozejść się! – krzyknęła Masza. – Nie ma na co się gapić. Każdemu zdarzy się puścić bąka, nawet doktorowi.

Ewidentnie zamierzała kontynuować wypowiedź, ale Niedźwiedź, nie zważając na protesty, szybko i sprawnie przedał się przez gęstniejący tłum. Tym razem to on ciągnął dziewczynkę za rękę.

Niedaleko przychodni była apteka. W trakcie realizowania recepty Masza przewróciła reklamowy stojak i zawiązała sznurki od żaluzji w nierozwiązywalny supeł. Ponadto poodklejała, a następnie poprzyklejała w nowych miejscach i dopisała literki na jednym z banerów z reklamą akcji pomocy humanitarnej. Z oryginalnego hasła „Pomóżmy biednym!” wyszło „Pomnóżmy biednych!”. Na odchodne zapytała zaś pani za ladą, czy może kupić niebieskie tabletki dla swojego włochatego partnera.

Niedźwiedź na moment ukrył twarz w łapach, z bogatego doświadczenia wiedział jednak, że nie warto niczego wyjaśniać i czemukolwiek zaprzeczać. W powszechnym mniemaniu tłumaczyli się tylko winni. Zdegustowany zachowaniem podopiecznej pokręcił chwilę głową, po czym opuścił aptekę odprowadzony zgorzonym wzrokiem farmaceutki.

Masza jak gdyby nigdy nic podsłuchiwała sobie i nuciła coś pod nosem. Raz głośnym szczekaniem przegoniła psa, raz wytknęła język staruszce z balkonikiem, dwa razy kopnęła jakiś kamień, który akurat leżał na jej drodze. Dla osoby postronnej mogła uchodzić za nieco rozbrykaną kilkuletnią dziewczynkę – taki mały, wesoły urwis. Jeśli miało się okazję spojrzeć w jej wielkie oczy, wątpliwości co do charakteru Maszy błyskawicznie się rozwiewały. Każdy w takiej sytuacji przysiągłby, że grzeczniejszej i bardziej słodkiej dziewczynki nie ma na całym świecie.

Ta właśnie dziewczynka wpadła w stado gołębi i zanim Niedźwiedź zdążył zareagować, przyniosła mu jednego w zaciśniętych dłoniach.

– Zrobiłam ci drugie śniadanie – oznajmiła, przekazując misiowi przerażonego ptaka. Gołąb odzyskał wolność chwilę później. Niedźwiedź nie musiał nawet udawać, że go zjadł. Masza, zajęta już czymś innym, nie interesowała się ewentualną konsumpcją pierzastego śniadania.

Zaraz po przyjeździe do domu niesforna podopieczna i jej zdegustowany opiekun udali się do kuchni. Niedźwiedź otworzył szufladę ze sztućcami i chwilę później odwrócił się ze stołową łyżką w łapie. Owa chwila wystarczyła jednak Maszy w zupełności. Mając w nosie racjonalne dawkowanie specyfiku, przysłała się do butelki z syropem i wytrąbiła całą zawartość w kilku pospiesznych łykach. Miś zdołał tylko zobaczyć jeden ruch grdyki towarzyszący ostatniemu przełknięciu. Zanim zdążył cokolwiek zrobić, Masza donośnie beknęła.

– Ale dobre! – stwierdziła. – Możemy częściej chodzić do tego doktora. – Ostatnie słowa wypowiedziała wyraźnie wolniej i nieco bełkotliwie. Ledwo to zrobiła, ugięły się pod nią nogi. Osunęła się na podłogę powolnym ruchem, z błogim wyrazem na twarzy i ze strużką śliny wypływającą z jednego kącika ust. – Ale jazda! – westchnęła z zadowoleniem, leżąc na plecach z bezwładnie rozrzuconymi kończynami. – To lepsze niż setka relanium popita setką wódki.

Niedźwiedź osłupiał. Skąd Masza wiedziała, jakie efekty daje takie połączenie? Skąd miała dostęp do leku i alkoholu? Jeszcze nie tak dawno twierdził, że bardzo dobrze zna swoją podopieczną. Właśnie się zorientował, że wcale tak nie jest.

– No! – westchnęła dziewczynka, zakładając ręce pod głowę. – Teraz mi już tylko jointa brakuje. Ty, Miś, a może zaczniesz leczyć marihuaną to moje AC/DC? Ona działa chyba nawet lepiej od tego syropku.

Tym razem nogi ugięły się pod Niedźwiedziem. Ciężko klapnęła na krzesło przy kuchennym stole. Najpierw relanium i wódka, teraz marihuana. Co jeszcze czekało go w najbliższej przyszłości?

– Ja to ci, Miś, powiem, że jestem otwarta na nowe możliwości terapii. Lubię sobie poeksperymentować, zwłaszcza z psychotropami. A już szczególnie lubię polifarmakoterapię. Takie

lekowe koktajle popite wódką wprowadzają mnie na wyższe stany świadomości. Odkrywam wówczas istotne prawa funkcjonowania wszechświata i to jest, powiem ci, Miś, moja wielka pasja. Ten syropek od doktora jest niezły, ale zażywałam lepsze specyfiki. Może jakby wypić drugą butelkę, byłoby lepiej? – zastanowiła się. – Tak, zdecydowanie! – oznajmiła po chwili przerwy. – Jakbym tak trzasnęła coś na drugą nóżkę, jak nic odkryłabym dwunastą zasadę termodynamiki.

Po tym stwierdzeniu Masza straciła przytomność. Niedźwiedź przez moment rozkoszował się ciszą, w końcu jednak poczucie obowiązku wzięło górę. Przeszedł do przedpokoju i z wiszącego na ścianie telefonu wezwał karetkę pogotowia. Tego dnia rano zastanawiał się przez chwilę, co będzie robił wieczorem. Teraz już wiedział, co czeka go w najbliższej przyszłości – odwiedzi z Maszą oddział toksykologii.

Mysliwy

Hergir wylądował w pełnym kamuflażu. Zaawansowane techniki maskowania zrobiły swoje – pojawił się na skraju osiedla niezauważony, bezgłośnie. Miał w tym niezłą wprawę. Uśmiechnął się w duchu na wspomnienie pierwszego polowania. Był wówczas kompletnym amatorem, ale i tak osiągnął zamierzony cel. Teraz uważał się za profesjonalistę – między obecnymi umiejętnościami i doświadczeniem a tamtym okresem ziała przepaść.

Rozejrzał się dookoła, przeskanował otoczenie w podczerwieni. Nie stwierdził zagrożenia. Wszystko szło zgodnie z oczekiwaniami. Zabezpieczył na chwilę promiennik, przypiął go do uprzęży na plecach i podbiegł do najbliższego drzewa. Szybko ocenił układ gałęzi jako zbyt rzadki, a ich grubość jako niewystarczającą do utrzymania ciężaru ciała. Drugie, rosnące nieopodal, było za to odpowiednie. Używając odnóży czepnych, Hergir błyskawicznie wspiął się na nie. Płucotchawki nawet nie przyspieszyły rytmu pracy – taki wysiłek był dla niego praktycznie niezauważalny. Usadowił się na jednym z konarów, zdjął z pleców promiennik i ponownie go odbezpieczył. Chłód metalu, który poczuł w przednich odnóżach, był uspokajająco znany. Na wydłużonym ryju Hergira na krótko zadrgały mięśnie – myśliwy nieznacznie się uśmiechnął.

Zmrok pogłębiał się z każdą chwilą, szybko zapadała wieczorna ciemność. Hergir wciągnął powietrze głęboko w pokrytą chitynowymi płytkami pierś. Było zimne i wilgotne.

Jesień, pomyślał.

To był ostatni dzwonek na polowanie. Niedługo z drzew opadną liście i będzie mu trudno dobrze się na nich ukryć. Trochę było mu żal, ale szybko doszedł do wniosku, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Koniec sezonu polowań na tej planecie zbiegał się w czasie z otwarciem na innych. Przez moment zastanawiał się, gdzie polecieć na następne łowy, niczego konkretnego jednak w tej kwestii nie postanowił.

Do jego teleskopowych uszu dotarł odgłos kroków. Mocniej zacisnął wokół gałęzi czepne odnoża, przełożył promiennik do środkowych chwytnych i wycelował w stronę hałasu. Po chwili w pole widzenia jego fasetkowych oczu wszedł tubylec. Hergir bezgłośnie westchnął z zawodem. Dwunożna istota nie była jego celem.

Kiedyś, dawno temu, zastrzelili takiego osobnika. Żadne wyzwanie – oddał prosty strzał w wolno poruszającą się postać, bez konieczności precyzyjnego celowania. Nie było się czym chwalić. Z beznamiętną dokładnością odnotował ów fakt w elektronicznym dzienniku łowów, jednak tamtego wieczoru, czekając na ewentualną kolejną ofiarę, o mało nie popełnił śmiertelnego w skutkach błędu. Okazało się bowiem, że tubylcy lubią poruszać się w stadach. Krótko po odstrzale jednego z nich na miejscu zaroilo się od innych, mocno podejrzliwych. Przybyły prymitywne, mechaniczne pojazdy, było mnóstwo światła migających na niebiesko i pomarańczowo. W ogólnym zamieszaniu nikt go na szczęście nie zauważył, ale chaos, który wywołał, trwał długo, aż do bladego świtu. W ciemnościach

łatwo mu było ukrywać się na drzewie. W świetle dnia jego kamuflujący strój mógł jednak okazać się niewystarczający. Na szczęście udało mu się wówczas wymknąć, ale jego targane strachem sześciokomorowe serce jeszcze długo nie mogło uspokoić swego rytmu.

Po tym incydencie Hergir musiał sam przed sobą przyznać, że pokpił sprawę. Wyruszył na polowanie, nie odrobiwszy wcześniej pracy domowej. W zaciszu podróżnej kapsuły postanowił czym prędzej nadrobić zaległości. Włamanie się do lokalnych baz danych zajęło mu chwilę, program translacyjny też zbytnio się nie trudził. Lektura treści trwała jednak zdecydowanie dłużej. Dowiedział się, że zastrzelił *Homo sapiens*, określanego także mianem człowieka. To była najwyżej rozwinięta istota na planecie. Krucha, miękka, wolna i podatna na urazy, za to dobrze zorganizowana społecznie i silna w grupie. W stadzie człowieki stanowili realne zagrożenie, pojedynczo wyzwaniem były żadnym.

Po postanowił, że więcej nie będzie polować na *Homo sapiens*. Planeta była bowiem źródłem o wiele ciekawszych ofiar. Z nieukrywanych żalem dowiedział się z baz danych, że część innych tubylców wyginęła. Człowieki swoim postępowaniem systematycznie rujnowali lokalne ekosystemy, więc z naturalnych środowisk znikły kolejne gatunki. Myśliwy z przyspieszonym tętnem i oddechem, ze śliną kapiącą z mimowolnie rozdziawionego ryja oglądał film z szarżą *Diceros bicornis*. Człowieki nazywali go czarnym nosorożcem. Cóż za potęga! Co za brutalność! Zabicie takiej ofiary – to by było coś! Niestety Hergir mógł o tym tylko pomarzyć.

Wyginęły też ostatnie osobniki tubylców o nazwie *Loxodonta africana*. Co prawda pojedyncze słonie żyły jeszcze w specjalnych miejscach nazywanych ogrodami zoologicznymi, ale myśliwy nie zamierzał ich w nich uśmiercać. Lubił polować w środowisku naturalnym, a w tym przypadku nie różniłoby się to od pójścia na strzelnicę i pozbawionego dreszczyku emocji strzelania do tarczy.

Hergir śledził bazy danych, notując inne cele, a tych nie brakowało. Było co robić na tej planecie, a jego dziennik łowów miał szansę zapełnić się bogatą, różnorodną treścią. Od tamtej niefortunnej przygody z *Homo sapiens* Hergir unikał kontaktów z dwunogami, koncentrując się na czworonogach.

Po takich wyprawach wracał na macierzystą planetę i tam w norze lęgowej zapładniał coraz to nowsze samice. Mógł pozwolić sobie na liczną rodzinę, bo wracał w glorii wielkiego łowcy, a przywożone przez niego trofea cieszyły się zawsze olbrzymim powodzeniem na kolekcjonerskich aukcjach. Zarobił krocie na skórze *Ursus arctos*, którego człowieki nazywali niedźwiedziem brunatnym. Rogi *Cervus elaphus*, jelenia szlachetnego, sprzedawał po jeszcze bardziej atrakcyjnej cenie.

Najlepsze zaś w tym wszystkim okazało się to, że inkasował fortunę za to, co i tak uwielbiał robić. Myślistwo było jego wielką pasją, a dzięki odkryciu różnorodnych form zwierzęcego życia na trzeciej planecie od pewnego niepozornego słońca mógł połączyć przyjemne z pożytecznym. Oczywiście nie zamierzał ujawniać komukolwiek przestrzennych koordynat owego słońca. To był jego prywatny rezerwat łowiecki.

Siedząc na drzewie w bezruchu, Hergir pozwolił przejść człowiekowi. Tego rodzaju tubylcy zazwyczaj patrzyli pod własne nogi, rzadko rozglądając się w inne strony. Jeszcze nigdy nie widział, żeby *Homo sapiens* spoglądali w górę w nocnych ciemnościach. Pewnie obawiali się utraty równowagi. To wyjaśnienie wydawało się myśliwemu najbardziej prawdopodobne ze względu na ich ułomność – tylko jedną parę odnóży kroczących. Cóż, dla niego była to z jednej strony godna politowania, z drugiej wielce sprzyjająca cecha człowieków. Nocą na drzewie był dla nich poza zasięgiem percepcji.

Jakiś czas później z przeciwnej strony nadeszły dwa kolejne osobniki *Homo sapiens* – samiec i samica, jeśli nie popełnił błędów w ocenie pewnych cech ich zewnętrznego wyglądu. Pozbawione

futra, łusek i piór ciała człowieka były wrażliwe na zimno, więc w okresach niskich temperatur tubylcy mieli zwyczaj okrywania się sztucznymi materiałami izolującymi. Maskowały one w znacznym stopniu ich anatomiczne różnice. W przypadku tej pary, gdy podeszła pod okupowane przez Hergira drzewo, wątpliwości się rozwiały. Jeden osobnik był w górnej części ciała wyraźnie bardziej zaokrąglony. Kilka chwil później teleskopowe uszy myśliwego wylapały odgłos cieczy natryskiwanej pod ciśnieniem na pień drzewa, a czułki węchowe podrażnił specyficzny zapach. Już kilkakrotnie wcześniej był świadkiem podobnego zachowania człowieka, przy czym z tego, co zauważył, samice wołały robić to po przykucnięciu i dzięki temu zachowywały się ciszej.

Hergir doczytał w lokalnej bazie danych, że człowieki w ten sposób oddają moc. Rozumiał potrzebę oczyszczania organizmu z toksyn i zbędnych produktów przemiany materii, ale taka forma jawiła mu się jako niebywałe marnotrawstwo płynów. Cóż, człowieki mieli taką fizjologię i tyle na ten temat. W ostatniej chwili powstrzymał się, żeby nie wzruszyć przednimi odnóżami w geście zdegustowania. Istniało ryzyko, że chitynowe łuski potarłyby o siebie, a to wiązało się ze specyficznym chrzęstem. Wołałyby nie prowokować tubylców do spojrzenia w górę.

Samiec i samica postali przez chwilę pod drzewem, nieświadomi faktu, że są obserwowani przez przedstawiciela obcej cywilizacji. Wkrótce jednak odeszli, wydając z siebie liczne miękkie i szeleszczące dźwięki.

Barbarzyński język, myśliwy skomentował w myślach mowę tubylców. Klekot, w którym porozumiewał się z pobratymcami, był dla jego słuchowych narządów niczym muzyka. Prowadzony przez samca i samicę dialog tylko drażnił teleskopowe uszy.

Hergir cierpliwie czekał w swej kryjówce i dumiał nad losem, który wyjątkowo szeroko uśmiechnął się do niego podczas jednej z poprzednich łowieckich wypraw na tej planecie. Zupełnie przypadkiem w polu ostrzału pojawił się wówczas nieduży, czworonogi tubylec. Był szybki, ruchliwy i chwilę trwało, zanim myśliwemu udało się go namierzyć i zabić. Jego skóra nie była wyjątkowej urody. W pierwszym momencie uznał ją nawet za dziwaczną, za jakiś wybryk natury. Mimo to zdarł ją, wyprawił i zabrał na swoją planetę. Na niej zaś okazała się wielkim modowym hitem. Samice oszalały na jej punkcie i dopiero wówczas Hergir przekonał się, co naprawdę znaczy bycie bogatym i seksualnie spełnionym. Mógł przebierać w partnerkach, mógł pozwolić sobie nawet na kilka wylęgów w jednym cyklu obiegu macierzystej planety wokół słońca. Dzięki uśmiechowi losu był od tamtej chwili królem życia.

Zamówienia na nowe, specyficznie umaszczone skóry posypały się w olbrzymich ilościach. Doszło do tego, że przez pewien czas Hergir polował wyłącznie na ten jeden rodzaj tubylca. To zaczynało być nudne, więc wreszcie powiedział stanowcze nie. Polował, na co chciał, i dopiero po tym, jak dokonał nowego, emocjonalnego wpisu do dziennika łowów, pozwalał sobie na realizację komercyjnych zamówień. Polowanie na czworonogiego tubylca stało się dla niego wręcz rutynową procedurą, wykonywaną tuż przed powrotem na macierzystą planetę. Stał się w nim niekwestionowanym ekspertem.

Wiedział między innymi, że pożądanego do odstrzału tubylca najłatwiej było spotkać na obrzeżach osiedli człowieka. Czworonóg żył z *Homo sapiens* w symbiozie, razem uprawiali swoisty rytuał wieczornych spacerów po zapadnięciu zmroku. Na taką właśnie powtarzalność zachowania Hergir liczył tego wieczoru. Jego cierpliwość została nagrodzona.

Usłyszał charakterystyczne dźwięki wydawane przez obiekt polowania i głośne gwizdy autorstwa będącego z nim w symbiozie dwunoga. Pozostawało więc poczekać na odpowiednią chwilę. Kiedy ta

nadeszła, myśliwy strzelił. Promiennik był bezgłośny, więc nie obawiał się zdemaskowania. Czym prędzej zsunął się z drzewa, wyćwiczonym tysiące razy ruchem zabezpieczył broń i przerzucił ją na plecy. Pospiesznie przebierając kroczącymi odnóżami, przedarł się przez niewielkie zarośla i w odnóża chwytne złapał zabitego przed momentem czworonoga. Przebiegł z łupem do grawitacyjnego transportera i po chwili mknął nim do podróżnej kapsuły. W niej oskórował zdobycz, a zewłok wyrzucił nad powierzchnią pobliskiego akwenu ze słoną wodą.

Z tego, co wyczytał w lokalnej bazie danych, w oceanie roiło się od żarłocznych stworzeń z *Carcharodon carcharias* na czele. Kiedyś zastanawiał się, czy któregoś dnia nie zapolować na obłych, śliskich i przede wszystkim zębatych tubylców, ale ostatecznie tego nie zrobił. Zbyt mocno nie lubił wody. Był natomiast pewien, że rekiny chętnie skorzystają z mięsnego poczęstunku i tym samym usuną dowody jego procederu.

Hergir aktywował łowiecki dziennik. Odszukał właściwy plik, otworzył i przesunął tabelę z danymi w dół do ostatniej pozycji. Patrząc wciąż na chaotycznie centkowaną skórę, dodał nowy wpis i uruchomił sumowanie. Po chwili wyświetlił się wynik, informujący o tym, ile skór *Canis dalmaticus* już upolował.

– Huuuff... – przeciągle sapnął z zadowolenia. – Wychodzi na to, że mam już na koncie sto jeden dalmatyńczyków.

Może za rok, dwa...

Pat zaczął dzień w złym humorze, jak wiele razy wcześniej. Znając życie, była duża szansa, że dokładnie tak samo będzie także wiele razy w przyszłości. Na myśl o tym, że za godzinę będzie musiał wsiąść do rozklekotanej furgonetki i rozwozić pocztę, jego oblicze wykrzywił grymas niechęci. Był sfrustrowany jałowością wykonywanej pracy, miałością związanych z nią kontaktów i brakiem perspektyw zawodowego rozwoju. Od dwudziestu lat w kółko robił to samo – dostarczał listy do różnych domów w Bajkowie i nic ponadto. Czasami trafiała się jakaś paczka albo pieniężny przekaz. Mógłby traktować takie okazje jako swoistego rodzaju święto, jako kolorowy przerywnik w powodzi szaroburych kopert i niewiele różniących się, wyblakłych pocztówek. Dziś jednak nie było ani paczki, ani przekazu. Tym samym zapowiadał się kolejny zwykły dzień w kołowrotku.

Pat wielokrotnie przeklinał monotonię zawodu listonosza i chętnie rzuciłby tę robotę, ale w Bajkowie nie było dla niego innej pracy. Życ z czegoś zaś musiał, więc nie mając żadnej alternatywy, rozwoził tę cholerną pocztę. Na myśl, że znów objedzie w kółko te same ulice, ujrzy te same twarze i odpowie na dziesiątki nic nieznaczących, nieniosących ze sobą żadnych emocji pozdrowień, do jego gardła podeszła żółć. Pat był o krok od tego, żeby zacząć rzygać swoją pracą.

Ogolił się mechanicznie, prawie jak automat. W podobnym stuporowi stanie zjadł śniadanie i ubrał się w mundur listonosza. Strzepując drobne pyłki z ramion, poprawiając krawat i zakładając na głowę czapkę z daszkiem, przyglądał się sobie w przedpokojowym lustrze. Stał tak przez chwilę, niechętnie zbierając się do wyjścia.

Jeszcze rok, dwa tak pociągnę, doszedł do niewesołego wniosku. A potem się powieszę.

Pat od jakiegoś czasu dumiał nad radykalnym zakończeniem tego wszystkiego. Na chwilę obecną nie odważyłby się na taki krok. Kiedyś jednak na ten temat w ogóle nie myślał, a teraz owa myśl stawała się coraz powszechniejsza. Któregoś deszczowego poranka stwierdził, że jeżeli czegoś w życiu nie zmieni, taki los niechybnie go czeka. Zmienić zaś niczego nie potrafił. Bajkowo tkwiło w odwiecznej stagnacji i szans na małą, choćby symboliczną rewolucję nie było żadnych. Nie umiał zerwać z narzuconą mu rolą, ugrzązł w pocztowym kieracie na zawsze. Z biegiem lat wyczerpała się jego cierpliwość i miał coraz mniej sił, aby pchać pod górę ten wózek.

Dumając o sposobie odejścia, uznał, że najłatwiej byłoby upić się do nieprzytomności zimą i zamarznąć gdzieś w śniegowej zaspie. Sposób pewny, w zasadzie bezbolesny, a jeszcze była szansa, że otoczenie potraktuje to jako nieszczęśliwy wypadek, a nie celowe działanie. Były jednak dwa problemy z realizacją tego pomysłu. Po pierwsze, w Bajkowie nie było zim. Odkąd sięgał pamięcią, zawsze panowało tu ciepłe, pogodne lato. Po drugie, w mieście nie dało się kupić alkoholu.

– Bajkowo-Srajkowo! – mruknął Pat, zły na ograniczony asortyment sklepu spożywczego w sąsiedztwie. Podejrzewał, że gdyby co jakiś czas po pracy wychylił szklaneczkę whisky, mógłby to jeszcze długo pociągnąć. Był przekonany, że taki na przykład johnnie walker, dawkowany sto albo

dwieście mililitrów co drugi dzień wieczorem, okazałyby się dla niego doskonałym lekarstwem na poprawę nastroju. Herbata, choćby najbardziej angielska z angielskich, takiego działania nie miała. – Dobra! – westchnął, przestępując wreszcie próg. – Samo się nie rozwiezie. Trzeba to odwalić jak najszybciej i wracać do domu.

Zamknął drzwi i zrobił kilka kroków wysypaną żwirem alejką. Tradycyjnie przystanął na moment przy kępie berberysu i pochylił głowę. Ktoś patrzący z boku mógłby pomyśleć, że wita się z ogrodową rośliną. Wyglądało to nieco komicznie, ale Pat miał to w nosie. Nikt nie mieszkał w pobliżu, nikt mu się nie przyglądał. Nikt z Bajkowa nie wiedział też, że pod krzakiem berberysu leży pochowany kot. Jedyńy przyjaciel, jakiego miał, zdechł ze starości dwa lata temu. Pat włożył jego ciało do pudełka po butach i zakopał w przydomowym ogródku.

Weterynarz Fred pytał się o niego, ale listonosz za każdym razem odpowiadał, że kot uciekł i nie wrócił – po prostu wyszedł któregoś razu na spacer i przepadł bez wieści. Jeszcze tego by brakowało, żeby jakiś niewydarzony konował skremował jego przyjaciela. Tu było jego miejsce, tu co rano listonosz mógł pozdrawić go skinieniem głowy.

Pat podejrzewał, że fakt odejścia kota mocno przyczynił się do jego depresji. Ta świadomość nie była pocieszająca. Z nią zresztą i tak nie mógł niczego zrobić. Nikt w Bajkowie nie miał kota do oddania i choć weterynarz Fred wielokrotnie obiecywał, że się o zwierzaka postara, od dwóch lat nie potrafił się wywiązać z obietnicy.

– Wiejski konował – mruknął Pat pod adresem sąsiada, wsiadając do furgonetki.

W jego oczach Fred był lekomanem. Z racji wykonywanego zawodu miał dostęp do szeregu specyfików działających na ośrodkowy układ nerwowy i często z nich korzystał. Listonosz wielokrotnie miał okazję dostarczać listy w chwili, gdy weterynarz był na haju. Bełkotał, ślinił się, miał zaszkłone oczy i wyraźne problemy z utrzymaniem równowagi. Później mówił, że to opary środków do dezynfekcji narzędzi tak na niego podziały. Pat wiedział swoje. Fred parę razy był na takim odjeździe, że sam musiał za niego podpisywać potwierdzenia doręczenia poleconych listów. Środki dezynfekujące aż tak nie działały.

Listonosz zastanawiał się kiedyś nad odejściem wskutek przedawkowania leków. Idea czegoś w rodzaju złotego strzału wydawała mu się nawet atrakcyjna. Podobnie jak zamarznienie po uprzednim upiciu się, ta metoda również była bezbolesna i przy odpowiedniej aranżacji także ona mogłaby zostać zinterpretowana jako nieszczęśliwy wypadek. Wówczas jeszcze mu na tym zależało, teraz coraz mniej przejmował się tą kwestią. Podprowadzenie weterynarzowi odpowiednich farmaceutyków nie stanowiło problemu. Wystarczyło jedynie zaczekać, aż ten znów odleci na farmakologicznym odrzutowcu. Wydawało się więc, że to łatwy sposób na rozstanie się z kłopotami tego świata. Była jednak pewna przeszkoda.

Fred tłumaczył kiedyś Patowi, że zwierzęta, które leczy, raczej nie jedzą tabletek. Wpychanie ich na siłę do pyska czy ryja wiązało się zazwyczaj z poważnym ryzykiem pogryzienia palców. Weterynarz zdecydowanie preferował leki w ampułkach i co za tym idzie – ich aplikację za pomocą igły i strzykawki. Poza tym, jak twierdził, preparat podany właśnie w ten sposób działał o wiele szybciej. Kłopot polegał na tym, że Pat nie potrafił zrobić zastrzyku. Zdawał sobie sprawę, że to trochę nieracjonalne. Z jednej strony chęć odebrania sobie życia, czyli gotowość do zrobienia najbardziej drastycznego i radykalnego kroku, z drugiej lęk przed wbiciem sobie w skórę igły i wciśnięciem chwili

później tłoku – kontrast był wręcz śmieszny. Mimo to bariera okazała się nie do przeskoczenia i ostatecznie Pat zrezygnował z pomysłu celowego przedawkowania leków.

– Wszędzie pod górę – westchnął. – Nawet w takich kwestiach.

Spojrzał na posegregowane wczoraj listy i z ulgą zauważył, że dziś weterynarza Freda nie musi odwiedzać. Niewielki plusik w bezkresnym morzu minusów. Pierwszym adresatem dzisiejszej poczty był Bob Budowniczy. Listonosz uruchomił silnik półciężarówki. Wiekowy gruchot prychnął, zagulgotał i w chmurze gryzących spalin potoczył się naprzód.

Przedsiębiorstwo budowlane widoczne było z oddali dzięki wysokim rusztowaniom, nad którymi górowało ramię dźwigu. Pat również i tutaj nie lubił przyjeżdżać. Zawsze czuł się tu źle, nie rozumiejąc głupkowatych żartów Boba. Budowlaniec przeklinał jak szwec, traktując wulgaryzmy jak przecinki, kropki i wykrzykniki w wypowiedziach. Poziom intelektualny owych wypowiedzi był tak żenujący, że Pat wielokrotnie nie miał bladego pojęcia, jak zareagować i co odpowiedzieć. W oczach Boba wychodził przez to na totalnego głąba. Rubaszny budowlaniec nie przepuścił zaś żadnej okazji, żeby mu to wytknąć. Skracał przy tym dystans, poklepując Pata po plecach niczym dobrego przyjaciela. Listonosz za przyjaciela nigdy go nie uważał. Jedyne, którego kiedykolwiek miał, pochował pod krzakiem berbersy. Poza tym Bob zawsze śmierdział. Przepocony kombinezon budowlanica prany był może ze trzy razy w roku i czuły nos listonosza cierpiał przy każdym spotkaniu prawdziwe męki.

Czasami zamiast Boba listy odbierała jego żona. Marta co prawda nie śmierdziała i potrafiła prowadzić kulturalną rozmowę, ale i tak było sztucznie, sztywno, zdawkowo. Na ich relację cieniem kładło się bowiem to, że Pat kiedyś się w niej podkochał. Zaprosił nawet Martę na randkę, nie przyjęła jednak jego zaproszenia. Dała mu kosza wiele lat temu, mimo to od tamtej pory nie potrafili poprawić jakości wzajemnych kontaktów.

„Dzień dobry! Odbierzesz list dla Boba? Podpisz tu, proszę! Miłego dnia!” – rzadko z jego ust padało coś więcej. Ani Boba Budowniczego, ani jego żony Marty nie odwiedzał więc z przyjemnością. Robił to, bo musiał, taką miał pracę.

Zaparkował przed biurem, ze służbową torbą na ramieniu zapukał w drzwi z logo firmy budowlanej Bajko-Bud. Wręczył list, nie zareagował w odpowiednim momencie na żart odbiorcy, ponownie wyszedł w jego mniemaniu na głupka. Tym razem udało mu się uniknąć klepnięcia w ramię i wymawiając się nawalęciem zawodowych obowiązków, czym prędzej opuścił strefę zjeżdżającego potu. Z ulgą odhaczył pierwszą pozycję na liście doręczeń.

Spod biura Bajko-Budu odjechałby z chęcią z piskiem opon, jednak jego zdezelowany ford miał w tej kwestii inne zdanie. Kaszłąc niczym zaawansowany gruźlik, zaskoczył z kilkusekundowym opóźnieniem. Stary gruchot potoczył się z chrzęstem i zgrzytem ku nowemu adresowi – do strażackiej remizy. Z tego miejsca Pat miał mieszane uczucia. Komendant traktował go zawsze poważnie i rzeczowo. Podpisywał potwierdzenia doręczeń staromodnym piórem, zamaszystymi zawijaszami, zazwyczaj nucąc coś pod siwymi wąsami. Młodszy strażak Cridlington był bardziej jowialny, z każdego listu cieszył się jak dziecko. Problem w tym, że do owej dwójki adresowano niewiele przesyłek.

Nieco więcej listów dostawała Penny. Wyniosła, oschła, zdeklarowana lesbijka Pata wręcz nie zauważała, traktując go jak powietrze, nie odzywając się od wielu lat nawet słowem. Listonosz nie pamiętał, czy kiedykolwiek odpowiedziała chociaż na jego powitanie.

To i tak było jeszcze pół biedy. Najbardziej nie lubił listów do strażaka Sama. Kompilacja osobowości kulturysty i macho jakoś mieściła się w granicach tolerancji pracownika poczty. Problem

z Samem był taki, że miał jeszcze jedną cechę. Oprócz rażenia w oczy nadmiernie rozbudowaną muskulaturą oraz postawą nieustraszonego bohatera strażak Sam był gejem. A miało się to do jego wizerunku jak pięść do oka. Mimo wielu odmów w przeszłości Pat wiedział, że przy każdej ponownej wizycie w remizie znów będzie podrywany przez mięśniaka. Nigdy nie skorzystał z zaproszenia na siłownię, teksty o tym, że faceci w uniformach powinni trzymać się razem, puszczał mimo uszu i unikał, jak mógł, podawania ręki, bo ta była zawsze zbyt długo przytrzymywana i potrząsana przez strażaka pedała. Sam dostawał dużo listów. Były to głównie podziękowania od osób, którym pomagał. Nikt nie wątpił, że był świetny w wykonywanym zawodzie, z Patem włącznie. Mimo to listonosz nie cierpiał go z całych sił.

Kropła goryczy, która przelała czarę, zdarzyła się w Wigilię zeszłego roku. Listonosz spędzał ją samotnie, na smutno. Nie spodziewał się gości, nie liczył też na żadne telefony. Ot, niewdzięczny los listonosza – na co dzień każdy go rozpoznawał, na święta nikt nie pamiętał o życzeniach czy pozdrowieniach. Jakże się wówczas zdziwił, słysząc sygnał powiadomienia! Wiadomość? W Wigilię? Serce łomotało mu jak rzadko kiedy, gdy brał telefon do drżącej ręki. Może to Marta? Łudził się, że choć trochę coś dla niej znaczył, że może przemogła się i wyszła poza dotychczasową zdawkowość i rzadkie, spłoszone spojrzenia rzucane spod opuszczonych powiek. Zresztą było mu wówczas wszystko jedno. Byłby szczęśliwy, gdyby dostał świąteczne życzenia od kogokolwiek. I dostał!

Wiadomość multimedialna od nadmiernie umięśnionego strażaka zawierała zdjęcie jego przyrodzenia w stanie pobudzenia.

Sam tłumaczył się później, że wysłał owo zdjęcie przez pomyłkę, że przypadkowo zaadresował je do niego, a nie do swojej dziewczyny.

– Rozumiesz, stary – mitygował się, choć tak naprawdę wcale nie był zmieszany. – Miałem służbę, nie mogłem spotkać się osobiście, więc chciałem wysłać mojej kobiecie mały prezent.

Pat uznał, że prezent do małych z pewnością nie należał, poza tym wiedział o skłonnościach ekshibicjonisty i że ten dziewczyny po prostu nie miał. Jak najszybciej skasował wiadomość, ale gdzieś w podświadomości nadal tam tkwiła. Widok nabrzmiałego, wielkiego penisa co jakiś czas nawiedzał go w snach. Budził się wówczas zlany potem z krzykiem na ustach. To był kolejny element układanki, który składał się na całokształt jego nastroju. Kobiet w Bajkowie było jak na lekarstwo. Pat nie miał skłonności homoseksualnych, więc czynione przez muskularnego strażaka awanse dołowały go tym bardziej.

Swego czasu w rozważaniach nad sposobem zakończenia życia listonosz myślał o wykorzystaniu strażackiego poligonu. Aby dbać o tężyznę fizyczną i sprawność, każdy strażak przynajmniej raz w tygodniu pokonywał specyficzny tor przeszkód. Jednym z jego elementów była wieża, na którą trzeba było pospiesznie się wdrapać, a następnie zjechać z niej po linie. Pat uznał, że byłby w stanie zaaranżować niegroźny pożar jakiegoś pustostanu na obrzeżach miasta. Zaalarmowana straż czym prędzej ruszyłaby go ugasić, a on tymczasem wtargnąłby na ćwiczebną wieżę. Zamiast bezpiecznie zjechać z niej na linie, mógłby skoczyć głową w dół bez żadnej asekuracji.

To również byłaby w miarę atrakcyjna forma zakończenia codziennego kieratu. Może trochę bolałoby samo uderzenie w bruk tuż u stóp drewnianej konstrukcji, ale po złamaniu kręgosłupa w odcinku szyjnym zbyt długo by nie cierpiał. Problemem było jednak wejście na wieżę. Pat miał lęk wysokości. Co z tego, że odważyłby się skoczyć, kiedy nie wiedział, jak dostać się na swojego rodzaju

skoczną. To był kolejny powód, dla którego niechętnie odwiedzał remizę. Widok wysoko wznoszącej się konstrukcji do strażackich ćwiczeń uświadamiał mu jego tchórzostwo.

Chyba rzeczywiście pozostawało mu kupno grubego sznura, zawiązanie odpowiedniej pętli i znalezienie konaru, który utrzymałby ciężar jego ciała. Może niezbyt finezyjne rozwiązanie, ale jak dotąd nie widział w nim słabych punktów. Nie było barier, których przy takim kroku nie mógłby przezwyciężyć.

Odbębnił wizytę w remizie jak automat. Doręczył listy, wziął potwierdzenia, odpowiedział na powitania komendanta i młodszego strażaka Criddlingtona. Penny tradycyjnie olała go, więc olał ją równie ostentacyjnie. Sam był na jakiejś akcji, więc z ulgą zostawił adresowane do niego listy u przełożonego i zmył się czym prędzej. Nie chciał ryzykować kolejnego spotkania z napalonym na samców mięśniakiem.

Potem była krótka wizyta u konstabla Stuarta. Dobroduszny policjant stworzony został przez ambitnych animatorów, ale serial z jego udziałem nigdy nie powstał. Problemy finansowe wytwórni, zbyt krótki i za płytki scenariusz oraz zły dobór rysowników sprawiły, że Stuart nie pojawił się na wielkim ekranie. Zamieszkał więc w Bajkowie po cichu, bez fanfar i rozgłosu. Z założenia pilnował w mieście porządku, ale zbyt wiele do roboty nie miał. W Bajkowie nie było przestępczości – nikt nikogo nie bił, nie okradał ani nawet nie wyzywał. Pat doszedł kiedyś do wniosku, że robota konstabla była jeszcze bardziej pozbawiona sensu niż jego praca. Stuart stwierdził jednak, że to tylko pozory. Musiał być czujny, bo w każdej chwili w mieście mógł pojawić się jakiś wywrotowy element, a wtedy on stawi mu czoło. Listonosz doszedł wówczas do kolejnego wniosku – Stuart miał misję. On nie miał nawet tego. Zrewidował wobec tego swój osąd i stwierdził, że w całym Bajkowie najbardziej gówniana jest jednak jego robota.

Chcąc w przyszłości rozstać się z nią raz na zawsze w radykalny sposób, podpytał konstabla o służbową broń. Niestety Stuart nie miał żadnego pistoletu. W Bajkowie z założenia nikt do nikogo nie strzelał. Stróż prawa dysponował jedynie gumową pałką i paralizatorem. Ta pierwsza do popełnienia samobójstwa się nie nadawała. Wyładowanie elektryczne wykonane za pomocą paralizatora mogło co prawda zabić, ale dotyczyło to raczej osób ze skłonnością do arytmii. Z tego, co Pat wiedział, nie cierpiał na żadne kardiologiczne schorzenia. Kolejne pozycje na liście potencjalnych rozwiązań jego problemu zostały więc wykreślone.

Ostatni w grafiku doręczeń był sklepikarz Tom. Postać w mieście nowa, obecna od niecałego roku, ale z dnia na dzień zyskująca na znaczeniu. Serial z jego udziałem stawał się coraz bardziej popularny z każdym wyemitowanym odcinkiem. Handlowiec powoli obrastał w puch i stawał się zarozumiałym bucem. Był skazany na sukces i od uzyskania roli najważniejszego faceta w Bajkowie dzieliło go niewiele czasu.

Na szczęście Pat miał sposób na Toma. Wrzucał pocztę przez szparę pod dostawczymi drzwiami. Wiedział, że klucz do nich miał tylko sklepikarz, tym samym jego poczta nie mogła wpaść w niepowołane ręce. Podpisy na poręczeniach podrabiał – po przeprawach z weterynarzem Fredem miał w tym spore doświadczenie.

– Jeszcze rok, dwa tak wytrzymam – powiedział sam do siebie, prowadząc rozklekotany samochód.
– A potem...

Myśl o powieszeniu się nie była już dla niego szokująca i zdążył się z tą koncepcją oswoić. Aby ją urzeczywistnić, musiał pokonać jedną barierę – potrzebował odpowiednio grubego sznura. Z tego, co

wiedział, był on dostępny w sklepie Toma. Na razie nie był w stanie przemóc się i odwiedzić sklepiarza twarzą w twarz. Musiał powoli do tej decyzji dojrzeć. Uznał, że samotność po śmierci kota, brak powodzenia u kobiet, awanse ze strony strażaka Sama oraz jałowość i niezmiennosc codziennej pracy sprawią w końcu razem, że odważy się na ten krok i przekroczy próg sklepu Toma. Z listem w ręku lub bez, ale w końcu to zrobi – wejdzie do środka i zakupi gruby sznur. Jeszcze nie teraz. Może za rok, dwa...

Wybór

Przed salonem sprzedaży pojazdów zatrzymała się taksówka. Po chwili potrzebnej na uiszczenie opłaty uchyliły się drzwi i wysiadły z niej dwie osoby. Pracownik salonu rzucił na nie okiem, oceniając potencjalnych klientów. Stojący na chodniku facet miał na oko pięćdziesiąt lat. Siwe włosy i siwa broda były starannie przystrzyżone, sylwetkę miał wyprostowaną i tylko nieznacznie wystający zza paska brzuszka świadczył o tym, że właściciel przynajmniej ostatnio odpuścił sobie regularne ćwiczenia. Markowe i z gustem dobrane ubrania dość jednoznacznie sugerowały, że na brak pieniędzy facet nie narzekał. Obok mężczyzny stała młoda kobieta. Była bardzo ładna, również dobrze ubrana, miała nienaganną fryzurę i delikatny makijaż.

Zjawiskowa, pomyślał sprzedawca. Dostrzegł pewne podobieństwa na twarzach przybyłych, doszedł więc do wniosku, że to ojciec i córka.

Kiedy para weszła do salonu, podszedł wyuczonym na szkoleniach krokiem i przywitał się. Miał przecucie wiszącej w powietrzu dobrej transakcji i ze względu na prowizję pobieraną od takich działań chciał w niej uczestniczyć. Przy okazji mógłby z przyjemnością popatrzeć na ładną dziewczynę, w szczególności zaś na jej kuszący dekolt. Entuzjazm sprzedawcy został jednak szybko schłodzony.

– Maksymilian i Wanda Bronowiccy – siwowłosy klient przedstawił siebie i córkę. – Jesteśmy umówieni z panem Tomaszem Lipką.

– Oczywiście. – Pracownik salonu zachował profesjonalizm i nie dał po sobie poznać zawodu. Tomasz Lipko pełnił w salonie sprzedaży pojazdów funkcję opiekuna VIP-ów. Jeśli klient wpadł w jego łapy, nie miał szans ich opuścić. – Zaraz powiadomię pana Tomasza – powiedział. W duchu zaś westchnął: „Żegnaj, piękna nieznajoma, żegnaj, prowizjo”. – Czy mogę zaproponować państwu coś do picia?

Klienci zgodnie odmówili. Cóż było robić? Próba przedłużenia kontaktu nie wyszła, musiał się poddać. Przeprosił grzecznie i oddalił się, aby powiadomić opiekuna VIP-ów o gościach.

Chwilę później w głównym pomieszczeniu salonu pojawił się Tomasz Lipko. Roztaczał godną pozazdroszczenia aurę pewności siebie i profesjonalizmu. Przywitał się, najpierw szarmancko cmokając w rękę dziewczynę, następnie energicznie potrząsając dłonią ojca. Bronowiccy przeszli do jego gabinetu, a zawiedziony pracownik salonu sprzedaży pojazdów wrócił do kontemplowania świata za oknem i wypatrywania potencjalnych nowych klientów.

W elegancko urządzonej gabinecie Tomasz Lipko wskazał gościom wygodne fotele, a kiedy w nich zasiedli, zagał rozmowę:

– Panie Maksymilianie, pani Wando, w czym mogę pomóc?

Bronowicki uśmiechnął się szeroko i oznajmił z dumą:

– Moja córka skończyła dopiero co osiemnaście lat. Uzyskała licencję na prowadzenie pojazdów i chciałbym jej z tej okazji kupić coś do jeżdżenia.

– Gratuluję! – poważnym tonem powiedział Lipko, równie poważnie patrząc na dziewczynę. Ta najwyraźniej nie była przyzwyczajona do takiej uwagi, bo mocno się zarumieniła. – To znakomity pomysł! – kontynuował opiekun VIP-ów. – Osiągnięcie dorosłości będzie dla pani równoczesne z wejściem w posiadanie pojazdu, a to oznacza wolność, że pozwolę sobie użyć górnolotnego zwrotu.

– Ja bym powiedział, że to raczej mobilność, ale niech będzie. Wiemy, o co chodzi – zarechotał Bronowicki.

Jego córka nieznacznie pokiwała głową. Była wyraźnie skonfundowana zachowaniem ojca. Tomasz Lipko roześmiał się na krótki moment z grzeczności i nie chcąc utracić kontroli nad prowadzeniem rozmowy, przeszedł do konkretów:

– Jaki rodzaj licencji na prowadzenie pani posiada? – zapytał.

– Tylko kołowe pojazdy naziemne – odparła dziewczyna.

– Wanda ma lęk wysokości i nie zdołała zdać egzaminów pilotażu. – Ojciec nie widział niczego złego w publicznym wytknięciu niedoskonałości córki. Ignorując kolejny rumieniec na jej policzkach, dodał: – Cały czas mamy nadzieję, że to tylko przejściowe i że przy odpowiedniej psychoterapii sprawę da się naprawić.

Bronowicka miała ochotę ukryć twarz w dłoniach. Widząc jej konsternację, menadżer salonu znów szybko przejął inicjatywę.

– To nam w znaczny sposób ułatwia sprawę – oznajmił, choć w głębi ducha uznał, że bardziej precyzyjnym określeniem byłoby, że ogranicza, a nie ułatwia.

– Doprawdy?

– Tak – uśmiechnął się opiekun VIP-ów. – Z kilku tysięcy dostępnych modeli pojazdów możemy zawęzić wybór do niecałego tysiąca.

– Tysiąca? – Bronowicki nie zdołał zapanować nad zaskoczeniem.

– Tak właśnie! – z satysfakcją powiedział Lipko. – Nasz salon prowadzi sprzedaż wszystkich rodzajów pojazdów, które aktualnie są produkowane. Podkreślam – wszystkich! Stąd taka właśnie duża ilość w ofercie. Oczywiście możemy doprecyzować parametry wyboru i tym samym jeszcze bardziej go zawęzić.

– No to zawężmy go! – Bronowicki odetchnął z ulgą. Nie uśmiechało mu się siedzenie w salonie i słuchanie niekończącego się potoku informacji na temat różnic pomiędzy niecałym z jednej, ale z drugiej strony prawie tysiącem modeli pojazdów.

– Dobrze! – Menadżer salonu uruchomił wyszukiwarkę. – Jaki rodzaj paliwa państwo preferują? Mamy do wyboru elektryczność, ciekły wodór, radioizotopy...

– Radioizotopy? – tym razem zaskoczona była dziewczyna.

– Owszem. Udoskonalenie procedur zimnej fuzji pozwoliło na bezpieczne wprowadzenie małych silników jądrowych do użytku w prywatnych pojazdach. Ogólnie ten ich rodzaj określa się jako reaktorowce.

– Nie chcę reaktorowca – oznajmiła Bronowicka, a ojciec poparł jej decyzję.

– Wolelibyśmy coś bardziej konwencjonalnego. Wodór, córciu?

– Tak – zgodziła się. – Wodór.

– Świetnie! – Opiekun VIP-ów wpisał kilka komend do wyszukiwarki. – A ilość kół? Mamy oferty od czterech do trzydziestu dwóch.

Bronowicki parsknął śmiechem, po czym stropił się i wyjaśnił:

– Przepraszam, ale właśnie wyobraziłem sobie, jak wyglądałaby moja córka w kabinie ciężarówki o trzydziestu dwóch kołach.

– No tak... – Tym razem nieco skonfundowany był sprzedawca. – Czyli idziemy dalej w tak zwaną klasykę i ograniczamy wybór do czterokołowców napędzanych wodorem.

Bronowiczy bez słowa zgodnie pokiwali głowami.

– Myśleli państwo nad formą nadwozia? Sedan, hatch-back, kombi czy universal?

– Universal – odparł ojciec i widząc skrzywienie na twarzy córki, uspokoił ją, poklepując lekko po dłoni. – Zobaczysz, że to dobry wybór. Po mieście albo z domu na uczelnię będziesz jeździć w małej wersji i skonfigurujesz sobie nadwozie do wersji hatchback. Jednak na wakacje z wszystkimi kłopotami i jeszcze z przyjaciółką i jej kłopotami to bez kombi się nie da. Zmienisz konfigurację i twój pojazd potroi pojemność przestrzeni bagażowej. Uwierz mi, przerobiłem to na własnej skórze! Universal jest droższy, ale warto za niego dać parę groszy więcej. Masz komfort podróży z każdym bagażem bez względu na jego gabaryty.

Tomasz Lipko pokiwał głową na potwierdzenie tej opinii.

– Obecnie to najczęściej sprzedawany model nadwozia w naszym salonie – oznajmił. – Relacje zwrotne od klientów praktycznie zawsze są pozytywne. Możliwość dostosowania wielkości pojazdu do aktualnych potrzeb jest naprawdę bardzo wygodna. – Bronowicka nie była chyba do końca przekonana, ale poddała się sile przytoczonych argumentów. Chcąc nieco załagodzić sytuację, menadżer salonu uśmiechnął się i dodał: – Oczywiście mamy wśród klientów fanów jednego konkretnego typu nadwozia. Hipsterzy są wśród nas.

W gabinecie przez chwilę panowała cisza, po czym cicho piknął tablet. W ten sposób wyszukiwarka zakomunikowała zakończenie pracy.

– Szanowni państwo! – Menadżer znów przybrał oficjalny, pełen profesjonalizmu ton. – Pozwolę sobie przedstawić kilka propozycji i mam nadzieję, że któraś z nich spełni oczekiwania.

Uruchomił projektor i na ścianie naprzeciwko foteli z gośćmi pojawiło się pierwsze zdjęcie.

– Fiat Buongiorno – przedstawił. – Klasyczna, włoska linia, znakomite osiągi, bogate wyposażenie... – przerwał wyliczankę na widok miny Bronowickiej.

– Brzydki – oznajmiła dziewczyna. – Pękaty i pokraczny. Odpada.

– Uhum... – Lipko bez żadnych komentarzy wyświetlił nowy model.

– Renault Vision...

Tym razem nie było nawet szans na wyliczankę.

– Nie, nie, nic francuskiego – kategorycznie oznajmił sponsor zakupu. – Zbyt duża awaryjność modeli.

Menadżer salonu mógłby przytoczyć konkretne dane liczbowe na poruszony właśnie temat. Uważał, że awaryjność produkowanych we Francji pojazdów kiedyś rzeczywiście była duża, teraz jednak nie różniła się od konkurencji z innych krajów. Zła fama jednak została. Niespecjalnie miał ochotę na słowne utarczki z tkwiącym w błędzie klientem. Udowodnienie, że ów klient nie miał racji, wiązało się najczęściej z poniesieniem przez niego zakupu, a to było już nieopłacalne. Prowizja od sprzedaży

pojazdu w typie nadwozia universal była solidna i mocno przekonywała do tego, aby z potencjalnym nabywcą zawsze się zgadzać. Wyświetlił kolejny model.

– Toyota Picachu. Miejska bestia, jak określa ją producent.

Bronowickiej rozszerzyły się oczy i zastygła z rozdziawioną buzią z niezbyt mądrym jej wyrazem.

– Nie! – ojciec stanowczo uciął sprawę.

– Ale ten model jest naprawdę wyjątkowy. – Lipko zwietrzył szansę na udaną transakcję. – Japończycy przodują w nowinkach technicznych i...

– Nie! – Bronowicki był nieugięty. – To poza zasięgiem mojego portfela. Na japońce nas nie stać, córciu. Wiem, że ci się podobają, ale nic na to nie poradzę.

Sprzedawca uwzględnił finansowe ograniczenia klienta w kryteriach wyszukiwania i na chwilę zrzędła mu mina. Uznał, że prawdy nijak nie da się ubarwić, więc wyłożył karty na stół.

– Biorąc pod uwagę rodzaj paliwa, nadwozie typu universal, po wyeliminowaniu pojazdów japońskich, francuskich i firmy Fiat, zostaje mi do przedstawienia państwu tylko jedna propozycja. – Na ścianie pojawiło się zdjęcie nowego pojazdu. – Oto Volkswagen Rammstein. Pełna automatyka, wyposażenie standard plus, wersja z pełnym ubezpieczeniem i gwarancją użytkową na trzy lata.

– Nie! – powiedziała Bronowicka.

– Tak! – powiedział Bronowicki.

Zrobili to zadziwiająco równocześnie. Chwilę potem także równocześnie ojciec pokiwał twierdząco głową, córka pokręciła głową przecząco.

– Ależ, kochanie, to bardzo solidny pojazd!

– Nie!

– Ekonomiczny.

– Nie!

– Zgrabny.

– Nie!

– Wszechstronny!

– Nie!

– Z paletą do makijażu na kierownicy w wersji dla kobiet.

– Nie!

Widząc, że niczego nie wskóra, Bronowicki ciężko westchnął i zwrócił się do menadżera salonu:

– Musimy to jeszcze przedyskutować. Dziękujemy panu za poświęcony czas. Skontaktujemy się, jak tylko podejmiemy decyzję.

Pożegnanie było krótkie i zdawkowe. Naburmuszona córka i zły ojciec wyszli z gabinetu, w środku został rozczarowany opiekun VIP-ów. Bronowiccy zamówili taksówkę i pojechali do domu. Droga powrotna upłynęła im w ponurym i pełnym napięcia milczeniu.

W wejściowych drzwiach do piętrowej willi na peryferiach miasta stanęła Małgorzata Bronowicka, która w tym domu odgrywała rolę żony i matki.

– Taksówką, a nie nowym pojazdem? – zapytała zdziwiona, witając męża całusem w policzek. Córki na powitanie pocałować nie zdążyła, bo ta wciąż naburmuszona przemknęła szybko do swojego pokoju na piętrze.

– Ano jak widzisz – odparł Maksymilian, zmieniając eleganckie półbuty na domowe kapcie.

– Ale to co, nie było w czym wybrać czy jak? – Małgorzata była wyraźnie zaskoczona rozwojem wypadków.

– Tak prawdę mówiąc, to dużego wyboru rzeczywiście w salonie nie mieli. Teraz sprzedaje się głównie hybrydy samochodów z odrzutowcami, a sama wiesz, jaki stosunek ma nasza córka do latania. W kwestii konwencjonalnych pojazdów to za specjalnie nie ma w czym przebierać. Albo nieadekwatnie drogie, albo liche i tandetne, albo zwyczajnie brzydkie.

– Coś takiego! – zdziwienie pani domu było autentyczne. – Naprawdę nic nie nadawało się do kupienia?

– Był taki jeden pojazd, nad którym można byłoby się pochylić. Zgrabny, ekonomiczny, w przystępnej cenie i ze sporym pakietem wyposażenia.

– No to dlaczego go nie kupiliście?

– A bo widzisz, kochanie – Maksymilian Bronowicki kolejny raz tego dnia ciężko westchnął – to był Volkswagen Rammstein. A Wanda nie chciała Niemca.

Awantura

Kiedy poranne słońce wspięło się wyżej, zaczęło porządnie przygrzewać. Obudzona narastającym ciepłem Maja ziewnęła najpierw, a potem przeciągnęła się. Uniosła liść, którym była przykryta, odsłaniając tym samym Gucia. Truteń spał w najlepsze niczego nieświadomy. Maja klepnęła go w wypiętą okolicę żądlą. Nie widząc efektów, powtórzyła tę czynność nieco energiczniej. Gucio zamlaskał, coś wymamrotał, snu jednak nie przerwał. Z podrażnionej klapsami okolicy wypuścił za to bąka. Wkurzyło to Maję do takiego stopnia, że sprzedała partnerowi solidnego kopa w słabiznę tuż za żądlę.

– Au! – wrzasnął z bólu momentalnie rozbudzony Gucio. Z przestachem rozejrzał się szybko dookoła, gotów walczyć lub uciekać, z wyraźnym nastawieniem na tę drugą opcję. Zagrożenia nigdzie jednak nie dostrzegł. W jego pole widzenia wpłynęła za to okrągła buzia Mai z ustami zaciśniętymi ze złości w poziomą, wąską kreskę. – Za co? – zapytał ostrożnie, rozcierając bolące miejsce.

– Bo mnie ignorujesz! – usłyszał w odpowiedzi.

– Ja? Ignoruję? Kiedy? – Gucio próbował doprecyzować problem i zorientować się w jego skali.

– Zignorowałeś mnie przed chwilą.

– Ale ja przed chwilą przecież spałem!

– Czyli przyznajesz się do winy?

– Do niczego się nie przyznaję, a przynajmniej na razie. – Truteń wolał się zaasekurować. – O co ci w ogóle chodzi?

– Domyśl się! – odparła pszczołka i odwróciła się do niego plecami.

Gucio jęknął zrezygnowany. Nie miał bladego pojęcia, o co obraziła się jego dziewczyna. Z doświadczenia wiedział zaś, że na próby odgadnięcia powodu szkoda marnować czasu. Przeżył w życiu już wiele podobnych sytuacji i ani razu nie odgadł właściwej odpowiedzi. Dopytywanie się zaś, czy chodzi o to, o tamto, czy o jeszcze coś innego, dolewało jedynie oliwy do ognia. Nauczył się, że w takich sytuacjach lepiej zamknąć buzię i siedzieć cicho. Maja i tak w końcu nie wytrzymała i przed jej czy później wygarniała mu wszystko. Z założenia był winny i już.

– To ja chyba polecę po śniadanie – oznajmił, choć wcale nie był głodny. Może świeżo zebrany pyłek z polnych maków udobrucha towarzyszkę na tyle, aby jej foch nie trwał zbyt długo. Nie doczekawszy się odpowiedzi, Gucio pofrunął nad łąkę w poszukiwaniu czerwonych kwiatów.

Wrócił kwadrans później z kielichem konwalii po brzegi wypełnionym pyłkiem.

– Proszę, kochanie, smacznego! – powiedział, stawiając smakołyk przed pszczołką.

Maja przesunęła go z powrotem w jego stronę i warknęła:

– Chcesz mnie utuczyć? Mam być grubaską, taką jak ty?

– O nie! – Gucio załamał ręce. – Co w ciebie dziś wstąpiło? Najpierw mnie bijesz, potem się obrażasz, a teraz posądzasz o nieprawdziwe intencje?

– Nieprawdziwe? – Maja podniosła głos. – A kto mi tu podtyka pełny kielich pyłku? Mogłeś przynieść trzy czwarte, ale nie! Przyniosłeś pełny! Masz w nosie to, że dbam o linię. Sam nie dbasz i patrzysz na mnie ze swojej perspektywy. Ty egoisto! – Ostatnie słowa pszczołka wręcz wykrzyczała.

Gucio ciężko westchnął. Spał – źle. Przyniósł śniadanie – źle. Pewnie jakby nie spał i nie przyniósł śniadania, też byłoby źle.

– Prześń tak teatralnie wzdychać! – Maja najwyraźniej się nakręcała. – Tak ci ze mną ciężko?

– Ależ nie! Skąd ci to przyszło do głowy?

– To dłaczego jesteś taki?

– Jaki?

– Domyśl się!

Gucio miał wrażenie, że żyje w swojej pętli czasu. Poruszał się po okręgu, którego początek i zarazem koniec określały padające co jakiś czas słowa „Domyśl się!”. Cholerne déjà vu.

– Maju, proszę cię! Zjedz śniadanie! Głodna nie jesteś sobą.

– Tylko mi tu bez taniej psychologii. – Pszczołka aż zabrzęczała skrzydełkami ze złości. – Nie dam się na nią nabrać. Takie teksty możesz zachować dla tej pasiastej źdźziry.

– Pasiastej źdźziry? – Zaskoczony Gucio rozdziawił buzię w niezbyt mądrym wyrazie. – Mówisz o osie Matyldzie?

– Tak! Widziałam, jak na nią patrzysz.

Towarzysz pszczołki znów westchnął, bojąc się powiedzieć cokolwiek. Nie było sensu zaprzeczać. Owszem, patrzył na Matyldę. Nie było też sensu wyjaśniać, że patrzył na nią z przestrachem i nigdy by się do niej nie zbliżył. Mai wystarczyło, że patrzył. Najwyraźniej była zazdrosna o nową mieszkankę łąki.

– Ależ, skarbie! No co ty? – truteń próbował załagodzić sprawę. – Przecież ja z nią nigdy! Ja nie lubię, gdy kobieta jest większa ode mnie. Poza tym przy takiej ilości pasków można dostać oczopląsu.

– Tak? – Maja nie odpuszczała ani na moment. – A skąd niby to wiesz? Czyżbyś miał w tej kwestii jakieś doświadczenia? W sumie się nie dziwię, ty dwuminutowcu!

– Dwuminutowcu? – Gucio ewidentnie nie nadążał za tokiem jej rozumowania.

– Na seks wystarczają ci raptem dwie minuty.

– A co to ma do rzeczy?

– A to, że łączyć kielich pyłku można w dziesięć minut. Lot w jedną stronę i powrót z łąki zajmują po półtorę minuty. Łącznie mamy trzynaście. Nie było cię kwadrans. Co robiłeś przez pozostałe dwie minuty? Bzykałeś Matyldę? – Gucia aż zatkało takie podejrzenie. Był do tego stopnia oburzony, że nie potrafił wykrztusić z siebie ani słowa. Niestety fakt ten nie podziałał na jego korzyść. – Milczysz, tak? Czyli nie masz niczego na swoją obronę – Maja zajadła zaatakowała po chwili ciszy. – Od kiedy dokładnie masz z nią romans?

– Nie będę z tobą rozmawiał, dopóki się nie uspokoisz i nie zaczniesz myśleć racjonalnie – Gucio zdobył się wreszcie na odwagę i postawił się, choć z pewną obawą, że w ogólnym rozrachunku nie wyjdzie mu to na dobre.

– Ależ ja jestem spokojna – oznajmiła pszczołka, mimo że podniesiony głos świadczył o czymś zupełnie przeciwnym. – Jestem wręcz oazą spokoju. I myślę racjonalnie tak bardzo, jak tylko się da po odkryciu zdrady partnera.

– Uspokój się, dziewczyno! – Truteń zaczynał być zły na niekończącą się lawinę pomówień. – Ubzdurałaś coś sobie i teraz ze wszystkich sił próbujesz udowodnić, że masz rację. Nic mnie z osą Matyldą nie łączy. Przyjmij to do wiadomości raz na zawsze!

– A co robiłeś przez te dwie minuty? – Maja potrafiła być uparta.

– Rozmawiałem z biedronką Moniką.

– Co? – Pszczołka aż zapłula się z oburzenia. – Z tą kropkowaną lafiryndą też mnie zdradzasz? Co ona ma takiego, że jest lepsza ode mnie?

Gucio ewidentnie miał tego wszystkiego dosyć.

– Przerazasz mnie, Maju – powiedział cicho. – Biedronka jest mi całkowicie obojętna. Przywitałem się z nią i zamieniłem kilka słów z grzeczności, bo to w końcu nasza sąsiadka. Osy Matyldy się boję. Zaczynam też bać się ciebie. – Pszczołka patrzyła na niego spode łba, czekając na dalszą część wypowiedzi. – Nigdy cię nie zdradziłem, a dostaję po głowie tak, jakbym robił to codziennie z każdą mieszkanką łąki. Zastanów się choć przez chwilę, dokąd to wszystko zmierza. Za moment zarzucisz mi, że bzykam się z pajęczycą Teklą albo że mam skłonności do płci tej samej i w wolnych chwilach obrabiam odwłok pasikonika Filipa. – Widząc, że pszczołka otwiera usta i chce coś powiedzieć, energicznie zamachał odnóżami dla odwrócenia jej uwagi i dodał: – O nie, moja droga! Dość już dzisiaj na mnie nawrzeszczałaś bez powodu. Lecę sobie stąd. Wrócę wieczorem. Jeżeli będziesz chciała wówczas spokojnie porozmawiać, chętnie zostanę. Jeżeli nadal obrzucać mnie będziesz kalumniami, to chyba rozstaniemy się na dłużej. – I nie czekając na jakąkolwiek reakcję, odleciał zgodnie z zapowiedzią.

Maja została sama z rozdziawioną buzią. Rozdziawiła ją zaś ze zdziwienia, bo Guccio wykazał się taką stanowczością po raz pierwszy w życiu. Nie spodziewała się, że będzie zdolny do czegoś takiego.

– Och! – westchnęła, kiedy umilkło brzęczenie skrzydełek trutnia. – Och! – powtórzyła, nie bardzo wiedząc, co ma teraz zrobić. Chciała się trochę z Guciem poprzekomarzać, ale chyba rzeczywiście ją poniosło. Może i przesadziła, ale to i tak nie zmieniało faktu, że miała rację. To była wina Gucia i koniec! Patrzył na Matyldę – pewnie lubieżnie. Rozmawiał z biedronką – pewnie ją podrywał. Poza tym ignorował ją podczas pobudki i zepsuł powietrze. A teraz się obraził i odleciał. Co za bezczelny gnojek! To ona miała powody do obrażania się, a nie on. Znów była nabuzowana złą energią, znów miała ochotę wrzeszczyć. Tym razem jednak nie miała na kogo.

Czas płynął, a złość Mai nie przemijała. Wciąż złorzeczyła pod nosem, wciąż w myślach wygrażała Guciovi, planowała kwiecistą tyradę na jego powrót. Co chwila prycała, krzywiła się w ponurych grymasach, tupiała to jedną, to drugą nóżką. Swoistego rodzaju arytmiczne stepowanie zostało przerwane przez głośnie brzęczenie. Z nieba sfrunęła osa Matylda. Dumnie złożyła skrzydła, wzięła się pod boki i zapytała:

– Pogięło cię?

– Co? – Pszczołka była wyraźnie zaskoczona.

– Pół łąki słyszało twoją poranną awanturę. Posądziłaś Gucia o romans ze mną, więc powtórzę pytanie: Pogięło cię? Co ja niby miałabym z nim zrobić? Zjeść? Bo na pewno nie bzyknąć!

– No bo ja... – Maja w zderzeniu z agresywną postawą rozmówczyni swoją agresję gdzieś zgubiła.

– Teraz to języka w gębę zapominasz, a wcześniej był słowotok? – Osa Matylda była zła jak osa. – W nosie mam twoje kłótnie z tym leniwym trutniem. Możesz mu wymyślać od najgorszych i posądzać, o co tylko zechcesz, ale mnie w to nie mieszaj!

– I mnie również! – dopowiedziała biedronka Monika, która sfrunęła z góry i wylądowała tuż przy osie. Obie zbyt nie przepadały za sobą i na co dzień starały się wzajemnie unikać. Tym razem jednak zjednoczone były wspólnym problemem, skinęły więc zgodnie głowami w zdawkowym powitaniu. – Lubię Gucia, bo jest miły, ale nic poza tym. Co ty sobie w ogóle wyobrazasz, Maju? – biedronka nie kryła oburzenia. – Wstydz się, dziewczyno!

Skonfundowana pszczółka opuściła głowę, bezskutecznie próbując ukryć rumieńce wstydu na policzkach. Osa i biedronka nie zamierzały jednak dalej jej łąać. Bez słowa więcej odleciały z brzęczeniem i furkotem skrzydeł.

Chwilę później pojawił się zaś Gucio. Wbrew wcześniejszym zapowiedziom nie czekał do samego wieczora. Jego lot był trochę chwiejny, ale udało mu się wylądować bez rozlania płynu, który trzymał w nowym kielichu konwalii. Spojrzał na pszczółkę lekko zasklonionymi oczami i bełkotliwie oznajmił:

– Mam dla ciebie lekarstwo. Po nim pożyjesz się, hyyp... – czknął. – Przepraszam. Po nim poczyjesz się lepiej.

– Znowu poleciałeś do tego sfermentowanego jabłka? – Maja domyśliła się, co było źródłem dobrego nastroju trutnia.

– Do tego, hyyp, akurat nie, bo doszczętnie zgniło. Za to obok leżały dwa nowe i sobie je trochę, hyyp, no... hypnąłem.

Guciovi płątał się język. Poza tym lekko chwiał się na nogach. Pszczółka przez moment chciała na niego nawrzeszczeć, że się schlał i przynosi jej wstyd, ale wspomniała reprimendę sprzed chwili i odpuściła. Jedna awantura dziennie wystarczy. Ochrzani go jutro, gdy będzie na kacu.

– No dobra, niech ci będzie! – westchnęła, sięgając po kielich. – Napiję się, choć nie lubię jaboli.

– O nie, nie, moja droga! – Gucio uśmiechnął się jak idiota, choć w założeniu chciał zrobić minę świadczącą o pewności siebie. – Sok ze sfermentowanych jabłek to lekarstwo dla mnie, na moje zszargane nerwy. Dla ciebie na uspokojenie mam nektar z kwiatów melisy.

Pszczółka znów zagotowała się w środku, ale ostatecznie nie wybuchnęła. Przez zaciśnięte w wąską kreskę usta wycedziła:

– Zapłacisz mi za to jutro, bałwanie!

– Hyyp? – pytająco czknął Gucio.

– Pogadamy sobie jutro!

– O czym?

– Domyśl się!

Ranking

Widok był przytłaczający. Jego zapowiedź stanowiła stolarka okienna, pokryta łuszczącą się, białą niegdyś farbą, i hałas dzieciarni, wdzierający się bezceremonialnie do środka pokoju. Łatwo było domyślić się, co czeka za oknem. Mimo niezbyt zachęcających perspektyw James odgarnął poźółtkle od tytoniowego dymu, pamiętające lepsze czasy firanki i wyjrzał przez brudne szyby. Rozgardiasz, wciskający się przez uchylony lufcik, nasilił się.

Prostokątne podwórko otoczone było ze wszystkich stron brudnoszarymi ścianami kamienic. Mała, ponura, betonowa studnia. Odpadające prawie z każdego miejsca fragmenty tynków groziły rozbiciem głowy, jeżeli ktoś nieopatrznie przeszedłby wzdłuż którejś ze ścian. Te fragmenty, które zdążyły już odpaść, utworzyły mniejsze lub większe kupki gruzu, powiększone przez mnóstwo najprzeróżniejszych śmieci. Leżało wśród nich wiele potłuczonych butelek i zgniecionych puszek po piwie, jednoznacznie sugerujących, że podwórko było miejscem częstych libacji alkoholowych. Sugestię tę dobitnie potwierdzał bijący zewsząd intensywny smród uryny.

James zamknął lufcik. Wykonując tę czynność, oderwał na moment wzrok od zniszczonej elewacji kamienicy naprzeciwko, przesuując go ku środkowi betonowego placu. Zauważył kwadratową piaskownicę z brudnym, bardziej szarym niż żółtym piaskiem. Okalający ją kiedyś ceglany murek dawno już przestał istnieć, a jego nędzne resztki były ledwo widoczne w niektórych tylko miejscach. Piaskownica przypominała małą kuwetę, wstawioną w sam środek wybiegu dla kota lub psa. Niewykluczone, że spełniała także i taką rolę, ale póki co była głównym źródłem hałasu. Bawiły się w niej dwa przeraźliwie brudne dzieciaki, mające na oko sześć, może siedem lat. Wrzeszczały coś kompletnie niezrozumiałego, obrzucając się z zapalem psim gównem.

A więc jednak kuweta, nie piaskownica, pomyślał James. W końcu czego można było spodziewać się po takim podwórku?

Między krzykami dzieci od czasu do czasu dały się słyszeć pojedyncze słowa wypowiedane bełkotliwym, męskim głosem oraz piskliwy, kobiecy śmiech. James przybliżył twarz do okna, uważając, żeby nie dotknąć nosem klejącej się od brudu szyby, i spojrzał w dół. Zobaczył głowę z długimi blond włosami, ściągniętymi w koński ogon wściekle różową gumką. Obok niej była druga w czarnej, bejsbolowej czapce. Z faktu, iż zataczała ona niezbyt regularne koła raz w jedną, raz w drugą stronę, można było wywnioskować, że jej właściciel jest w stanie wskazującym na spożycie. Chwilę później w pole widzenia Jamesa wpłynęło wytatuowane przedramię i ręka niezbyt pewnie dzierżąca butelkę. Znajdujące się w niej resztki bliżej nieokreślonego alkoholu zostały szybko wypite, a szklane opakowanie podzieliło losy dziesiątek jemu podobnych. Odgłosowi rozbijanego o mur szkła towarzyszył kolejny wybuch piskliwej radości. Pijany mężczyzna w bejsbolówce odszedł kilka kroków na bok i nie krępując się bliską obecnością kobiety, zaczął oddawać mocz na ścianę kamienicy. Miał

wyraźne kłopoty z utrzymaniem równowagi, wysikiwał więc cienką strugą dziwaczne, zakręcone wzory na murze, kupie gruzu, na której stał, i na sam koniec na własnych adidasach.

– Jadźka! – wrzasnął nagle tak żałośnie, że obrzucając się psim gównem bachory na moment zaprzestały swojej oryginalnej zabawy. – Olałem sobie riboki!

Odpowiedział mu kolejny wybuch śmiechu. Tym razem jednak, mimo że dobiegał z kobiecego gardła, był to chamski, gardłowy rechot. Jamesowi ciarki przebiegły po plecach.

– Co ja tu, kurwa, robię? – zapytał na głos. Nikt mu nie odpowiedział. Był sam. Przygnębiony widokiem odwrócił się od okna i wolnym krokiem podszedł do stolika. Wysłużone krzesło zaskrzypiało ostrzegawczo pod ciężarem ciała. James otworzył tekturową teczkę, wyjął z niej samopowelające się żółte kartki i ujął długopis w palce. Chwilę później zaczął pisać raport.

Siedział na ławce w parku, a lekki wietrzyk chłodził mu przyjemnie czoło. Kwitnąca nieopodal wiśnia rozsiewała intensywny, słodkawy zapach. Wziął głęboki oddech i mimo ostrego klucia w prawym boku zatrzymał na chwilę powietrze w płucach. Wypuszczał je w krótkich, urywanych wydechach, posapując cichutko. Było mu dobrze. Cieszył się świeżą zielenią drzew i krzewów, śpiewem ptaków i pojedynczymi kwiatkami, które nieśmiało jeszcze wystawiały swoje głowy z trawników.

Wreszcie przyszła prawdziwie piękna wiosna! – pomyślał. Miło, całkiem miło!

Dwie ławki dalej po prawej siedzieli trzech młodych ludzi. Rozmawiali, gestykułując żywo rękoma, śmiali się i od czasu do czasu pluli na wysypaną żwirem alejkę. Ich zachowanie było ogólnie do zaakceptowania, może z wyjątkiem tej ostatniej czynności. Wyglądali na paczkę dobrych kolegów, uczniów jakiejś pobliskiej szkoły. Godzina przedpołudniowa i niedbale rzucone obok ławki plecaki mogły sugerować, że cała trójka jest na wiosennych wagarach. James uśmiechnął się pod nosem. Też kiedyś wagarował.

Młodzi ludzie kilkukrotnie rzucili w jego stronę podejrzliwe spojrzenia. Nie potrafił ich zinterpretować, więc na wszelki wypadek, nie chcąc ich spłoszyć, poprawił swoją pozycję na ławce. Przygarbił się nieco bardziej niż zwykle, opuścił lekko głowę i przymknął oczy. Mógł teraz uchodzić za starszego pana na spacerze, który odpoczywając przez chwilę na ławeczce, przysnął niechcący, odurzony zapachem kwitnącej wiśni i wiosennym powietrzem. Spod opuszczonych do połowy powiek obserwował młodych ludzi, którzy dalej, nie zważając już na jego obecność, rozmawiali, śmiali się i pluli na żwirową alejkę.

Po niecałym kwadransie grupka na ławce powiększyła się o kolejne dwie osoby. Nowo przybyli wyjęli z plastikowych reklamówek charakterystyczne butelki z zielonego szkła. Nie było widać przyklejonych na nich etykiet, ale James nie musiał ich wcale widzieć. Dobrze wiedział, że wino nie było z najwyższej półki. Wręcz przeciwnie – sprzedawca podał je z półki najniższej albo nawet bezpośrednio ze skrzynki stojącej tuż pod ladą. W końcu tanie wino schodziły w takim tempie, że nie opłacało się ustawiać ich na jakichkolwiek półkach.

Dwie pierwsze butelki po szybkich rundach zostały osuszone i rzucone obok poniewierających się przy ławce plecaków. W rękach młodych ludzi pojawiły się kolejne dwie i rozpoczęła się nowa runda. Jednocześnie dość wyraźnie wzmógł się hałas, czyniony przez spożywającą alkohol młodzież. Udający śpiącego staruszka James przysłuchiwał się głośnej konwersacji. Połowy nie mógł zrozumieć w ogóle, zaś ta połowa, którą po trosze rozumiał, składała się w głównej mierze z niecenzuralnych słów

odmienianych na wszelkie możliwe sposoby. Po chwili puste butelki rozbite zostały o ławkę, otworzona została jeszcze jedna. Z podniesionych głosów wynioskował, że ostatnia.

Pięciu młodych ludzi, pięć butelek wina... Nieźle! – pomyślał.

Kiedy skończył się alkohol, niecenzuralna, ale w miarę koleżeńska atmosfera, panująca dwie ławki dalej, prysła jak mydlana bańka. Uczestnicy parkowej libacji zaczęli kierować pod swoim adresem coraz bardziej wyszukane, wulgarnie wyzwiska, a najbardziej porywczy z nich złapał jeden z plecaków i z całej siły rąbnął nim o pień stojącego w pobliżu klonu. Z głuchym plaśnięciem wysypały się dwie książki, kilka zeszytów i jakieś luźne kartki. Właściciel rozbitego o drzewo mienia zerwał się z ławki, złapał sprawcę tego czynu za koszulę i wrzasnął mu prosto w twarz:

– Co, kurwa, co?

– A co, kurwa, nie mogę? – usłyszał w odpowiedzi.

– Przestańcie, debile! – do sprzeczki włączył się kolejny uczestnik libacji. – Wiem, skąd weźmiemy kasę na jabole. – To krótkie zdanie skutecznie zdusiło w zarodku rodzącą się bójkę i skupiło uwagę pozostałych czterech młodych ludzi. Na moment zapadła kompletna cisza, po czym jej sprawca powiedział: – Opiardolimy tego śpiącego dziadka. – I wskazał głową na siedzącego dwie ławki dalej Jamesa.

Na oczach całej piątki potencjalne źródło pieniędzy na последней jakości alkohol rozplynęło się w powietrzu. Młodzi ludzie z niedowierzaniem spoglądali to na siebie, to na butelki po wypitym dopiero co tanim winie.

James, czując, co się święci, teleportował się do obskurnej, sypiącej się z zaniedbania i starości kamienicy. Z ciężkim westchnieniem usiadł na skrzypiącym krześle. Po słodkiej woni kwitnącej w parku wiśni było mu duszno, nie otwierał jednak okna. Zdecydowanie bardziej wolał tę duchotę od smrodu bijącego z każdego kąta betonowego podwórka. Po krótkim namyśle doszedł do wniosku, że zajście w parku było realnym zagrożeniem dla jego osoby. Z leżącej na stoliku tekturowej teczki wyjął samopowielające się, różowe tym razem kartki.

– Po co mi była ta misja? – zapytał sam siebie, ciężko westchnął i zaczął pisać.

Przechadzał się między regałami w hipermarkecie. Pchał przed siebie wysłużony, pusty wózek, którego kółka skrzypiały przejmująco w rytm jego kroków. Czuł się zagubiony. Olbrzymia hala wydawała się nie mieć końca, a ilość półek uginających się pod ciężarem najprzeróżniejszych towarów tworzyła istny labirynt, w którym łatwo było się zgubić. Z głośników nieprzerwanym ciągiem płynęły debilne wręcz reklamy proszków do prania, karmy dla kotów, schabu bez kości, butów do gry w koszykówkę i całego mnóstwa innych rzeczy. Rzeczy, które Jamesowi wydawały się kompletnie niepotrzebne. O istnieniu niektórych z nich dowiedział się przed chwilą. Golarka do zmechanicznej odzieży, zbrylający się wkład do kuwety...

Co to jest? Czy ktoś to w ogóle kupuje?

Krążył bez celu między regałami, czując coraz większy mętlik w głowie. Ubrany w czarną koszulę mężczyzna przyglądał mu się przez chwilę uważnie, mówiąc coś po cichu do trzymanej tuż przy ustach krótkofalówki.

Chyba za długo jeżdżę z pustym wózkiem, zreflektował się James i wrzucił do niego zafoliowany bochenek krojonego chleba.

Podjechał kilka metrów dalej i wziął z półki pierwszą lepszą pastę do zębów. Wybielająca, z mikrogranulkami, przeczytał jaskrawy napis. Z jakimi znowu granulkami? Co za gówno jest w tej paście? Obłąd! Po chwili jednak wzruszył ramionami. I tak nie zamierzał niczego kupować.

Kątem oka spojrzał na ochroniarza i z ulgą zauważył, że przestał być obiektem jego obserwacji. Ruszył powoli dalej, pchając skrzypiący wózek. Coraz bardziej zmęczony, z uporczywym, narastającym szumem w uszach obserwował innych ludzi. Na jego oczach otyły mężczyzna podszedł do regału z narzędziami, rozejrzał się niby od niechcienia dookoła i nie widząc żadnego potencjalnego zagrożenia, błyskawicznie schował w rękawie kurtki jakiś podłużny przedmiot. Oddalił się następnie spokojnie z delikatnym brzękiem kilku butelek markowej wódki, objających się w pchanym przez niego wózku. James sprawdził, co grubas przed chwilą ukradł. Wkręta... Nie mieściło mu się to w głowie. Faceta stać na przynajmniej dwa litry dobrego alkoholu, a kradnie coś, co kosztuje dziesięć razy mniej. Dlaczego? Dla przyjemności? Dla dreszczyku emocji? Kleptomania?

Zastanawiając się wciąż nad odpowiedziami na te pytania, zauważył, że jakiś wyrostek podniósł pokrywę pojemnika z porcjowanym ciastem. Brudnym paluchem zgarnął krem z rolady i wsadził go sobie do ust. Chwilę później jak gdyby nigdy nic poszedł dalej, beczelnie oblizując się i uśmiechając. Kompletnie zaskoczony takim zachowaniem James znieruchomiał na moment. Zaowocowało to tym, że został boleśnie najechany wózkiem popychanym przez małżeństwo w średnim wieku.

– Przesuń się, dziadek! – warknął mężczyzna.

– Tu się robi zakupy! – zawtórowała mu równie agresywna kobieta. – Co ty, dziadek, sobie myślisz? Na wycieczkę tu przyszedłeś czy co?

James przypomniał sobie niedawne zajście w parku i odpowiedział jej pytaniem:

– A co, kurwa, nie mogę?

Użyty przez niego ton i charakterystyczny podkreślnik w środku wypowiedzi odniosły zamierzony skutek. Wyraźnie zmieszane małżeństwo w średnim wieku zrobiło jednomyślnie w tył zwrot i bez słowa oddaliło się, tym razem ciągnąc, a nie popychając wózek.

Z głośnym furkotem przemknęła w szalonym pędzie wrotkarka, pchająca na platformie z kółkami stos zakupowych koszyków. Siwe włosy Jamesa zawirowały w wytworzonym tym przejazdem podmuchu. Sącząca się zewsząd jazgotliwa muzyka przerwana została komunikatem o najnowszej superhipermegapromocji farby do włosów ze środkiem zapobiegającym ich skołtunianiu.

To włosy się kołtunią? A może skołtuniąją?

James miał dosyć. Z całej siły pchnął wózek przed siebie. Metalowy pojazd z głośnym skrzypieniem od dawna nieoliwionych kółek pomknął na spotkanie kolejnej nadjeżdżającej na wrotkach dziewczyny. Wrotkarka, próbując uniknąć zderzenia, skręciła odruchowo w bok. Plastikowe kółka przyczepione do jej butów poddały się działaniu siły odśrodkowej i zniosły ją prosto w regał z owocami. Wpadła weń z całym impetem, rozrzucając dookoła mnóstwo pomarańczy, cytryn i bananów.

Sprawca zamieszania nie czekał na dalszy ciąg wydarzeń. Złapał dwie toczące się w jego kierunku cytryny i korzystając z faktu, że uwaga wszystkich dookoła skupiona była na pechowej wrotkarce, teleportował się do swojego pokoju. Czując przyjemny zapach świeżych cytrusów, usiadł przy stoliku i na chwilę zamyślił się. Herbata z cytryną czy raport? Sięgnął po żółte kartki. Najpierw obowiązki, herbata będzie musiała zaczekać. Czarny czubek jednorazowego długopisu rozpoczął mozolną, zawiłą wędrówkę po papierze.

Poszedł do szpitala. Udawał zagubionego starszego pana, który pierwszy raz przyszedł odwiedzić chorą żonę. Błąkał się pozornie bez celu, przybierając niezbyt rozgarnięty wyraz twarzy. Podobne miny mieli wszyscy dookoła, zarówno chorzy, jak i personel medyczny, a jemu zależało na tym, aby dobrze wtopić się w otoczenie. Otyła, śmierdząca wielodniowym potem pielęgniarka przeszła obok, posapując ciężko przy każdym kroku. Naelektryzowany fartuch przylegał do jej monstrialnie grubych, pokrytych gęstą, czarną szczecinią nóg. Nie zwróciła na niego uwagi. Na dwóch chorych proszących ją o pomoc również. Ciągnąc za sobą opary długo niemytego ciała, zniknęła za rogiem korytarza.

Jeden z chorych, nie otrzymawszy oczekiwanej pomocy, wrócił zrezygnowany do sali. Drugi nie zamierzał się jednak poddać i włączył brzęczyk przywoływania. Nad drzwiami jego sali zapaliła się pomarańczowa lampka, a charakterystyczne terkotanie popłynęło korytarzem we wszystkie strony. Przywoływanie trwało dobry kwadrans.

James postanowił nie czekać na jego końcowy efekt i właśnie zamierzał iść dalej, kiedy na korytarzu rozległo się człapanie. W rozwalających się kłapkach, które białe były chyba tylko w dniu zakupu, powoli zbliżała się salowa. Miała na sobie przykrótkie, bezkształtne wdzianko w trudnym do określenia kolorze.

– Czego? – zapytała opryskliwie. – Pali się czy co? Któremu tu się nudzi i naciska jakieś guziki, hę?
– Kolejne pytania posypały się na progu sali chorych.

James nie wiedział, co odpowiada pacjent, lecz skrzekliwego głosu salowej nie dało się nie słyszeć. Docierał na korytarz tylko nieznacznie przytłumiony przez przyknięte drzwi, jednak jego natężenie nadal było wystarczające, aby wywołać ciarki rozchodzące się falami po plecach.

– No i co, że skończyła się kroplówka sąsiadowi? Przecież nie mogła kapać przez cały dzień, nie? – Krótka przerwa i kolejne skrzeczenie: – No to nie może sam odłączyć? Bozia rączek nie dała? Ta, dała, razem z sąsiadem macie cztery lewe. – Znowu krótka przerwa. Jeżeli ktoś marzył o tym, żeby to był koniec tyrady salowej, jego marzenia nie spełniły się. Z sali chorych na korytarz znowu wypłynął nieprzyjemny, drażniący uszy głos: – A po co mi rękawiczki? Ja tam się krwi nie boję! A bo to ja mało razy w życiu robiłam czerninę? Albo kaszankę? Dawaj mi tu tę rurkę!

James nie chciał dalej tego słuchać. Odwrócił się i skierował ku wyjściu. Miał pełny obraz sytuacji. Wiedział już, co napisze w raporcie. Zdążył zrobić zaledwie kilka kroków, kiedy tubalny, męski głos wręcz przygwoździł go do podłogi.

– A pana kto tu wpuścił? – wydarł się na niego nieogolony mężczyzna w rozchełstany, mocno przybrudzonym fartuchu. Z naderwanej kieszeni na piersi wystawało mu przynajmniej dziesięć długopisów, a na szyi wisały słuchawki, które sugerowały, że niechlujny facet jest lekarzem.

– Ja... ja szukam żony... – odpowiedział James, grając rolę zagubionego bliskiego którejś pacjentki.

– A gdzie są ochraniacze na obuwie? – wrzeszczał dalej lekarz. – Co to za zwyczaj, żeby tu wchodzić tak prosto z ulicy jak do obory?

Zapytany spojrział na swoje buty. Eleganckie, zamszowe, były nienagannie czyste i starannie zasznurowane. Przeniósł wzrok na buty lekarza. Czarne trapezy miały zaschnięte, brunatnożółte błoto na bokach bieżnika i sznurówki wciśnięte w nieładzie do środka.

– Przyganiał kocioł garkowi – mruknął pod nosem.

– Że co proszę? – zachłysnęła się agresywny lekarz.

– Że głównie, matole – usłyszał w odpowiedzi.

Nim zdążył w jakikolwiek sposób zareagować na tę niecodzienną ripostę, jego rozmówca zniknął. W jednej chwili stał i beczelnie pyskował, w drugiej go po prostu nie było. James zaś zmaterializował się w swoim pokoju. Spojrzał z niesmakiem w kierunku okna, nie zmusił się jednak do tego, żeby podejść i wyjrzeć na betonowe podwórko. Mało prawdopodobne, żeby od wczoraj coś uległo zmianie, może tylko kilka fragmentów elewacji oderwało się z którejś z kamienic i powiększyło tu i ówdzie kupki gruzu. Prawie w ciemno mógł założyć, że od wczoraj zwiększyła się ilość moczu wysikana na gruz w tym czy innym kącie.

– Popieprzony kraj! – westchnął i usiadł przy stole. Chwilę później trzymany przez niego długopis śmigał szybko po żółtych kartkach.

Ciche szuranie wkładu po papierze skutecznie zagłuszyła pijacka piosenka, śpiewana bełkotliwie przez mężczyzn raczających się tanim winem na podwórku. Ich zachrypnięte, nachalne głosy wciskały się do pokoju mimo zamkniętego okna. Nie tworzyło to atmosfery sprzyjającej pracy, lecz James starał się nie zwracać na to uwagi i kontynuował pisanie raportu.

Została mu jeszcze jedna rzecz do zrobienia. To była najprzyjemniejsza część zadania i z premedytacją zostawił ją na sam koniec. Tym, dla których tworzył raporty, ich kolejność nie sprawiała różnicy. Jemu wręcz przeciwnie. Najtrudniejsze, najmniej przyjemne części niecodziennej misji wykonał na samym początku. Potem przysła kolej na nieco miłsze, a teraz na prawdziwy deser.

Z szerokim uśmiechem na wychudzonej twarzy patrzył na olbrzymi plazmowy telewizor ustawiony w rogu pokoju. Obok niego stały srebrne, lśniące nieskazitelną nowością głośniki i głośniczki, a na podłodze wily się i przeplatały najróżniejszej długości kolorowe przewody. Wszystko razem tworzyło najnowocześniejszy obecnie na rynku system kina domowego. Dostarczające do zestawu życiodajny prąd kable zakończone były wtyczkami wpiętymi w szeroką listwę. James włączył filtr przeciwprzepięciowy i wziął do ręki masywne urządzenie sterujące. Z malującym się na twarzy olbrzymim zadowoleniem spoglądał raz po raz na jego upstrzoną kolorowymi przyciskami powierzchnię lub na jarzące się na czerwono diody telewizora, amplitunera i odtwarzacza DVD.

Postępując zgodnie z otrzymaną wcześniej instrukcją, zamknął na chwilę oczy i nacisnął jeden z wybranych na chybił trafił guzików. Olbrzymi telewizor ożył, a z głośników popłynęła skoczna melodia. James otworzył oczy i ujrzał reklamę płatków śniadaniowych, wzbogacanych wszystkimi witaminami i mikroelementami świata. Ku jego zadowoleniu blok reklamowy skończył się właśnie na niej. Pojawiła się plansza z logo stacji telewizyjnej. Westchnął zrezygnowany. Miał cichą nadzieję, że trafi na telewizję publiczną, na coś, co od biedy da się obejrzeć. Niestety włączył na kanał komercyjny i według wcześniej otrzymanych instrukcji chwilowo musiał na nim poprzestać. Przylizany jak głupek konferansjer zapowiedział właśnie pierwszy odcinek rewelacyjnego reality show, kręconego na żywo w studiu filmowym. James jęknął głucho. Jak się później okazało, nie po raz ostatni tego wieczoru.

Przez następne czterdzieści minut oglądał coraz bardziej kretyńskie zachowania prowadzącego program, jego uczestników i publiczności. Na poszczególne osoby wylewał się kisiel, spadała chmura konfetti, a dwie mało atrakcyjne panie zrobiły prawie całkowity striptiz. Przez środek studia przejechał motocyklista w wojskowym hełmie i ku olbrzymiej radości wszystkich dokoła przebiegła na pozór beżpańska zebra.

To jednak nie było kompletne dno. Jeden z uczestników programu ogolił się na лыso, drugi bez znieczulenia przekuł sobie język i założył kolczyk w kształcie gwoździa, a w wielkim, niesamowicie chaotycznym i głośnym finale prowadzący ze stanikiem zawadiacko zawiązanym na szyi rozbił mikrofon o ścianę i napluł na filmującą to kamerę.

James nacisnął mały czerwony guzik na pilocie. Zestaw audio-wideo zamarł w kompletnej ciszy. Gdyby nie diody żarzące się w stanie czuwania w powoli zapadającym w pokoju mroku, można by pomyśleć, że nastąpiła nagła przerwa w dopływie prądu. Ogłuszony bezdenną głupotą programu widz siedział w bezruchu jeszcze przynajmniej kwadrans, próbując zrozumieć cokolwiek z tego, co przed momentem zobaczył. Nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Coś sądzić jednak powinien, bo musiał napisać o tym raport.

Z ciężkim westchnieniem wstał w końcu z krzesła, zapalił światło i przygnębiony usiadł przy stoliku. Uplłynęło kolejnych kilkanaście minut, zanim zdecydował, że treść oglądanego reality show była dla niego zagrożeniem. Może nie bezpośrednim, może tylko dla jego zdrowego rozsądku, ale jednak była. Ostatni raport powstał więc ponownie na samopowielających się różowych kartkach. Pisał przez godzinę, mamrocząc pod nosem przekleństwa. Wreszcie dobrnął do końca.

Odłożył długopis, wszystkie raporty ułożył jeden na drugim i zamknął w tekturowej teczce. Starannie zawiązał tasiemki na jej brzegu i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku odchylił się na krzesło, aż zaskrzypiało ostrzegawczo pod jego ciężarem.

– Skończyłem – powiedział głośno. – Możecie zabrać to gównu.

W kącie pokoju zmaterializował się młody mężczyzna w czarnym, idealnie skrojonym garniturze. Wyciągnął rękę po teczkę z raportami i mimo iż był sam, powiedział w liczbie mnogiej:

– Dziękujemy, James.

– Szefie! Mamy dane z Polski! – Wraz z wejściem młodego mężczyzny w czarnym, idealnie skrojonym garniturze do komnaty wtargnęła zapach drogiej wody kolońskiej.

– Z Polski?

– No... No przecież szef wie... To taki kraj w Europie między Ukrainą, Białorusią i Niemcami... – Widząc, że te wyjaśnienia niewiele mówią przełożonemu, elegancik zachnął się: – Oj, szefie! Kopernik, Skłodowska, Słowacki...

– Ach, Słowacki! – odpowiedział szef. – To ten, co wydawało mu się, że wielkim poetą był.

– No właśnie!

– Kogo tam mamy?

– Raport napisał agent terenowy James.

– James? – zdziwił się siwobrody, starszy już wiekiem szef. – To chyba niezbyt polskie imię, prawda?

– No właśnie – powtórzył mężczyzna w czarnym garniturze.

– Skąd więc James?

– Takie było jego życzenie.

– Opowiedz mi o nim – poprosił starszy mężczyzna, gładząc niedbale, chyba całkowicie bezwiednie długą, siwą brodę.

– Tak naprawdę nazywa się Ryszard Paraszczuk. Ma sześćdziesiąt pięć lat. Dwa miesiące temu dowiedział się, że choruje na raka płuc, który w chwili zdiagnozowania był już w nieuleczalnym stadium. Według optymistycznych szacunków lekarzy zostało mu pół roku życia. – Elegancik zawiesił na chwilę głos, ale widząc ponaglące spojrzenie przełożonego, kontynuował opowieść: – Zawarliśmy z nim standardowy kontrakt. W zamian za zebranie określonych informacji spełniliśmy trzy jego życzenia. Po pierwsze, chciał, żeby nazywać go James Bond. Po drugie, zażyczył sobie najlepszy z możliwych zestaw kina domowego. Po trzecie...

– Niech zgadnę! – wtrącił się siwobrody słuchacz. – Chciał, żebyśmy go uzdrowili?

– Otóż widzi szef... nie. Tego akurat nie chciał.

– Nie? – Zaskoczenie w tym pytaniu było wyraźnie widoczne.

– Nie, szefie – odparł młody elegancik. – Stwierdził, że przeżył sześćdziesiąt pięć lat godnie, nie musi się niczego wstydić i nie ma czego żałować. Powiedział, że te pół roku, które mu zostało, wystarczy w zupełności.

– W takim razie jakie było jego trzecie życzenie?

– Otóż... poprosił nas, żebyśmy nauczyli go teleportacji.

– Co takiego? – wrzasnął wściekły szef, a gniew Boży potrafi być straszny. Elegancik schował odruchowo głowę w ramionach i zamilkł przerażony, oczekując najgorszego. Najgorsze jednak nie nadeszło. Bóg uspokoił się chwilę później i pobłażliwie uśmiechając się pod nosem, machnął lekceważąco ręką. – A niech mu tam! Pół roku... Niech sobie chłopina poskacze po świecie. Prawdę mówiąc, niewiele ponad to mu pozostało. – Po krótkiej zadumie Bóg zapytał: – Co tam nasz rezolutny James Bond pisze w swoich raportach?

– Mam jak zawsze czytać przymiotniki? – upewnił się elegancik.

– Nie wkurzaj mnie, aniołku! – usłyszał w odpowiedzi. – Oczywiście, że przymiotniki. Po co mi ten cały pozostały chłam? Czytaj!

– A więc... – zaczął niegrammatycznie anioł w czarnym, idealnie skrojonym garniturze. – James pisze, że Polska jest płytka, chaotyczna, beznadziejna, wulgarna, złodziejska, chamska, rasistowska, głupia, cyniczna, leniwa, zadufana w sobie, ograniczona, godna pożałowania i w ogóle popieprzona.

– Hmm... – mruknął Bóg, trawiąc powoli to ostatnie określenie. – Jaka wynika z tego punktacja?

– Sześćdziesiąt trzy i cztery dziesiąte punktu – odparł anioł.

– Uuuuu... – westchnął Bóg. – Nie za dobrze, to kolejna obsuwa. Jeżeli mnie pamięć nie myli, to chyba siódmy rok z rzędu. Spadnie ta Polska w dół, oj, spadnie...

– Oj tak! – zawtórował mu wypachniony właściciel czarnego garnituru.

– Które miejsce w rankingu?

– Sto szesnaste.

– A co jest za nią?

– Jakieś Chile, Zimbabwe, Trynidad i Tobago, i jeszcze takie tam, państwka-duperelki.

– Bacz na słowa, mój drogi! – zmytygował anioła Bóg. – To już wszystkie dane? Mamy komplet?

– Tak, szefie.

– No dobra, podaj mi moją pieczętkę. Muszę zatwierdzić tegoroczny ranking do druku.

Praca

W bezkresnym morzu coś się zakotłowało. Głęboka zieleń pojaśniała, z cichymi pyknięciami pękło kilka bąbli powietrza. Rozeszły się koncentryczne fale. Przez chwilę wydawać by się mogło, że wszystko wróci do poprzedniego stanu, jednak nie – fale nasiliły się, do bulgotania dołączył szum pieniającej się wody. Z mrocznych głębin coś przesunęło się ku powierzchni. Ostatecznie z głośnym pluskiem wynurzyła się Bogini Morza. Z jej przypominających pęki wodorostów włosów spłynęły kaskady słonych kropeł, a piękna, blada twarz załśniła w porannym słońcu.

Bogini zasiadała w karecie utworzonej z muszli wielkich perłopławów. Specyficzny powóz mienił się wszystkimi kolorami tęczy, zaprzęgnięty był zaś w cztery morskie lwy. Olbrzymie bestie płynęły w karnym porządku, ujęte w rzyzy grubymi sznurami splecionymi z krasnorostów. Były gotowe pomknąć po falach w każde miejsce, które wskaże ich władczyni.

Powstanie fal i odgłosy towarzyszące wynurzeniu zwróciły uwagę Boga Wiatru. Złożył przezroczyste skrzydła i sfrunął w dół, by przyjrzeć się nowemu zjawisku. Z szelestem powietrza doścignął karetę Bogini Morza. Ujrzał jej oblicze i w mgnieniu oka zakochał się. Próżne były jednak jego zaloty. Nadlatywał to z jednej, to z drugiej strony, świślał i szumił w miłosnym uniesieniu, wygrywał czule melodie na uprząży morskich lwów i brzegach muszli perłopławów. Bez efektu. W akcie desperacji rozwiął nawet włosy swej wybranki,

Bogini Morza była jednak nieczuła. Zignorowała zalotnika, nie widząc przyszłości dla związku z kimś przezroczystym, ulotnym, prawie że amorficznym. Ona nie mogła wznieść się w powietrze, on nie potrafił zagłębić się w morską toń.

Bóg Wiatru obraził się. Zaszumił gniewnie, pomknął w górę i zgonił w jedno miejsce wszystkie chmury z okolicy. Niebo pociemniało, wicher nasilał się z każdą chwilą, powietrze przeszły błyskawice. W mgnieniu oka rozpętał się sztorm. Złość Boga Wiatru była jednak równie bezskuteczna jak wcześniejsza adoracja. Cóż bowiem znaczy deszcz dla Bogini Morza? Czym były fale, nawet te największe, zwieńczone białymi grzywami piany? Niczym szczególnym. Nie bała się, że zмокnie ani tym bardziej, że utonie. W każdej chwili mogła zanurzyć się w głębię i przeczeekać niepokodę. Nie zrobiła jednak tego, nie chcąc dać powodu do satysfakcji złośnikowi, który rozpętał sztorm. Płynęła dalej, z jednej fali na drugą, z grzbietu morskiej góry w dolinę i znów w górę. Przez muszle jej karety przelewały się strugi wody, cztery lwy ciągnęły ją bez jakichkolwiek oznak strachu czy zmęczenia.

Czyniony przez sztorm hałas obudził Boga Ziemi. Wzniósł swe skaliste cielsko, majestatycznie wylaniając się z morskich odmętów. Z łoskotem głośniejszym od burzowych grzmotów powstały góry, wąwozy i zupełnie płaskie tereny, które kiedyś, przy sprzyjających warunkach, mogłyby przekształcić się w żyzne niziny. Majestat nowego boga był olbrzymi.

Bogini Morza bezskutecznie uderzała falami w jego brzegi. I małe, i duże moczyły jedynie skalne bloki i głazy, nie robiąc niczego więcej. Mniejsze kamienie, żwir i piasek plaż przesunęły się raz

w jedną, raz w drugą stronę w ruchu jałowym w efekty. Osadzająca się tu i ówdzie sól również nie potrafiła niczego zdzielać.

Także Bóg Wiatru okazał się bezsilny wobec nowego jestestwa. Strzepił skrzydła o górskie turnie, wywołał kilka niewielkich lawin kamieni, ale w ogólnym rozrachunku niczego to nie zmieniło. Porywane z plaży tumany piasku uniosły się, zawirowały i ostatecznie opadły. Co z tego, że w innym miejscu? Plaża pozostała plażą.

Bezsilność dwóch rywali nie usatysfakcjonowała nowej postaci na arenie zmagania. Bóg Ziemi zamierzał jeszcze wyraźniej zaakcentować swoją przewagę. Złość na to, że ktoś w ogóle próbował się z nim mierzyć, wypełniła go po brzegi. Zatrząsł się aż od niej. Góry wypiętrzyły się bardziej, ich poszarpane szczyty zaczęły szorować brzuchy chmur. Wąwozy stały się przepastne, doliny wydłużyły się, a ich przebieg stał się kręty. Zniknęła część plaż zastąpiona wysokimi, surowymi, skalistymi klifami.

Bogini Morza przypuściła ostateczny atak. Z dziką furią wdarła się w głąb lądu, tworząc długą, wąską szczelinę. Powstały w ten sposób fiord był jednak wszystkim, na co było ją stać.

Bóg Ziemi dostał szału, czując wyrwę w swoim jestestwie. Zatrząsł się ponownie, dużo mocniej niż poprzednio. Tuż przy brzegowej linii wypiętrzył się stożek, który po chwili wybuchł.

W ten sposób narodził się Bóg Ognia. Nowy uczestnik zmagania plunął w górę pomarańczowymi płomieniami, w dół pomknęły potoki lawy. Morska woda zawrzała i zaczęła parować z sykiem. Z takim żywiołem Bogini Morza nie mogła się mierzyć. Bóg Wiatru również. Gorące wyziewy parzyły mu skrzydła, wyrzucane gwałtownie w górę opary siarki mieszały zmysły, tracił w nich orientację w przestrzeni. Bóg Ognia okazał się groźnym przeciwnikiem, jednak zaskakująco szybko zszedł ze sceny wydarzeń. Aby ukazać swą potęgę, karcił się jestestwem Boga Ziemi. W końcu lawa, płomień i opary siarki nie brały się znikąd. Jeśli erupcja wulkanu trwałaby w nieskończoność, dwaj bogowie – Ziemi i Ognia, unicestwiliby się. Ten pierwszy nie miał na to ochoty.

Dla przeciwwagi powołał do życia Boginię Mrozu. Ta błyskawicznie porozumiała się ze swą morską odpowiedniczką i razem przystąpiły do dzieła. W bezpośredniej okolicy wulkanu najpierw obniżyła się temperatura, potem spadł obfity śnieg. Powstała gruba, biała czapa, która zgasiła płomień i uwięziła pod sobą trujące wyziewy. Bóg Ognia szczeł.

Zakończona sukcesem współpraca ośmieliła panią niskich temperatur i władczynię mórz. Woda wciskała się w szczeliny, a następnie zamarzała, zwiększając objętość. Rozsadzało to głązy, kruszały skały, sypały się nadmorskie klify.

Bóg Ziemi po raz pierwszy stanął w obliczu poważnego zagrożenia. Zatrząsł się z gniewu po raz trzeci. Siła wstrząsów była tak wielka, że waliły się góry i pękały skały. Końcowy efekt spazmu okazał się odmienny od założonego – zamiast jednolitego, gigantycznego lądu powstało kilka większych i mnóstwo mniejszych wysepek. Jestestwo Boga Ziemi rozpadło się. W przestrzeniach między jego fragmentami szalała Bogini Morza. Jej karetka mknęła wąskimi przesmykami i szerszymi cieśninami wśród bryzgów wody i piany.

W ślad za władczynią mórz leciał Bóg Wiatru na postrzępionych i poparzonych skrzydłach. Mimo szybkiego rozwoju wydarzeń złość za odrzucenie miłości jeszcze mu nie przeszła. Zamierzał silnym podmuchem zapędzić muszlową karetę w jeden z nowo powstałych fiordów, a następnie drugim, jeszcze gwałtowniejszym wywołać skalną lawinę, która odciąłaby drogę powrotu. Chciał w ten sposób uwięzić Boginię Morza i zmusić ją do uległości. Jego dotychczasowe działania cechował brak

efektywności. Także w tym przypadku nie było inaczej. Nadwyreżone w starciu z Bogiem Ziemi siły rzucił do nagłego, desperackiego ataku.

Nie uwzględnił jednak aliansu swojej rywalki z władczynią niskich temperatur. Panie zaś nie zamierzały rezygnować z owocnej współpracy. W decydującym momencie Bogini Morza spiętrzyła wodę w ogromną, pochyłą falę. Bogini Mrozu w mgnieniu oka zmieniła ją w lodowy mur. Władca wiatrów rozbił się o nią z całym impetem. Chwilę później tuż za nim powstała druga fala, która zamarzała równie szybko. W ten sposób wytworzyła się swoistego rodzaju kawerna, która uwięziła Boga Wiatru. Zaciekle miotał się w jej wnętrzu, odbijał od twardych, niewzruszonych ścian, wściekle gwizdał na soplach. Jego gniew był jednak bezskuteczny. Zwycięzcznie boskich zmagani nie zamierzały go wypuścić w najbliższym czasie. Być może nie zrobią tego w ogóle.

Adiunkt Katedry Informatyki Stosowanej zdjął wirtualny hełm i głęboko odetchnął. Otworzył nieco przekrwione oczy i przez moment siedział nieruchomo, patrząc w jeden niesprecyzowany punkt. W końcu jednak zebrał się i pochylił nad klawiaturą. Recenzja pracy magisterskiej, którą przed chwilą obejrzał, była krótka. Pomysł, rozmach realizacji i fabułę ocenił na plus. Z jakością grafiki i płynnością przejść poszczególnych scen było nieco gorzej. W kilku miejscach nieznacznie rozjeżdżała się też synchronizacja dźwięku. Zaproponował kilka poprawek, zalecił dodanie paru szczegółów i całość zakończył elektronicznym podpisem. Po kolejnym kliknięciu wiadomość z oceną pracy powędrowała przez sieć do przysłego magistra informatyki.

Adiunkt wstał od komputera i przeszedł do pokoju socjalnego włączyć czajnik. Za oknem błysnęło, po chwili rozległ się donośny grzmot. W gwałtownym podmuchu zaszumiały pobliskie drzewa. Parzący kawę mężczyzna uśmiechnął się do krótkiej myśli, że najwyraźniej Bóg Wiatru uwolnił się z pułapki.

Remont

Dzień zaczął się dla Mata wyjątkowo źle. Pech po raz pierwszy dopadł go w łazience. Poślizgnął się w wannie i chcąc odzyskać równowagę, odruchowo złapał za foliową zasłonkę. Niewiele to dało. Zasłonka z terkotem rozrywanych żabek niefortunnie owinęła się wokół niego, w efekcie czego na odzyskanie równowagi szans nie było już żadnych.

Przelatując przez krawędź wanny, owinięty w foliowy całun Mat miał pecha po raz drugi. Ostatnie trzy żabki nie poddały się tak łatwo jak poprzedniczki. Napięły zasłonkę do granic możliwości, a ta również nie zamierzała dać za wygraną. W efekcie Mat na chwilę zawisł całym ciężarem na wątej konstrukcji podtrzymującej zasłonkę. Metalowy pałąk najpierw nieco się wygiął, a następnie z suchym trzaskiem wyrywanych kołków odpadł od ściany. Mat boleśnie stłukł sobie tyłek. Wygramolił się z foliowego kokonu, podniósł i z grymasem złości rozmasował tylną część ciała.

Jak to bywa w życiu – nieszczęścia lubią chodzić parami. W jego przypadku para to było jednak za mało. Mat stał bosy na mokrej podłodze. Dopóki stał i rozcierał tyłek, nic się nie działo. Czynność ta nie mogła jednak trwać wiecznie, więc przyszedł moment na wykonanie innego ruchu. Zrobił krok ku wyjściu z łazienki i wówczas poślizgnął się po raz drugi tego ranka. Znow zadziały odruchy. Chcąc złapać równowagę, szeroko rozrzucił ramiona. Jednym z nich zawadził o krawędź umywalki. Porcelanowa misa nie utrzymała go i chwilę potem Mat leżał na podłodze pośród licznych potłuczonych odłamków. Tym razem tyłek bolał go jeszcze bardziej. Nie chcąc już niczego więcej ryzykować, opuścił łazienkę na czworakach.

Kwadrans później był suchy, ubrany i z kubkiem gorącej herbaty w ręce ponownie stanął na progu łazienki. Pobjowisko było pierwszej klasy. Z zafrasowaną miną patrzył na dziury w ścianie po wyrwanym pałąku od prysznicowej zasłonki oraz po kołkach od umywalki, na potłuczone białe resztki owej umywalki, na pocięty kran i wodę kapiącą z wyrwanej ze ściany rury. Skala zniszczeń była tak duża, że nie było sensu tego naprawiać. Łazienka musiała być wyremontowana porządnie, od podstaw. To było niestety mnóstwo roboty i niepokieszony tym faktem Mat najpierw podrapał się po głowie, potem po wciąż bolącym tyłku. Doszedł jednak do wniosku, że innego wyjścia nie było. Czekał go generalny remont.

Z doświadczenia wiedział, że robota idzie lepiej, gdy ma się pomocnika. Całkiem niedawno sam wystąpił w takiej roli u sąsiada, który odnawiał kuchnię. Pat poprosił go o pomoc w złożeniu szafek. Udało im się tego dokonać z nawiązką. Trochę dziwili się owej nawiązce. Według instrukcji z zakupionych przez Pata materiałów powinno dać się złożyć pięć szafek stojących pod blat i pięć wiszących nad blatem. Wyszło im o jedną z każdego rodzaju więcej, za to zabrakło blatu. Podejrzewali, że to właśnie on posłużył za nadprogramowy materiał na szafki, ale w ferworze walki nie zauważyli nawet momentu, w którym go pocięli. Pat był ogromnie zadowolony z finalnego efektu i uznał, że

datkowe szafki z pewnością da się gdzieś wykorzystać. Postawił flaszkę w ramach podziękowań za sąsiedzką pomoc.

Bez blatu w kuchni trudno było jednak polewać wódkę, nie było też gdzie postawić zakąski i odstawić kieliszków. W tym celu zdemontowane zostały drzwi do sypialni Pata. Jako blat sprawdziły się znakomicie. Pomysłodawcą tego niekonwencjonalnego rozwiązania był Mat, a Pat uznał, że powinien podziękować sąsiadowi jeszcze raz. Postawił więc drugą flaszkę. Biesiada była na tyle udana, że Mat miał trudności z trafieniem do swojego mieszkania, mimo że znajdowało się naprzeciwko.

Dwa dni później Pat dokupił blat. Sąsiedzi zgodnie jednak uznali, że skoro sypialniane drzwi sprawdzają się w nowej roli bez zarzutu, nie ma co kombinować. Dokręcili więc do blatu zawiasy i odtąd on pełnił funkcję oddzielania sypialni od reszty mieszkania. Szybko i sprawnie zamontowali klamkę, a niesiony falą zadowolenia z dobrze wykonanej roboty Mat zainstalował jeszcze wizjer. Przez chwilę drapał się po łysinie, zastanawiając się, co mu przyświecało przy wykonywaniu tej czynności. Nie bardzo jednak wiedział, jak odpowiedzieć na postawione samemu sobie pytanie. Skoro wizjer był, to był. Po raz drugi w przeciągu kilku dni trafiła się okazja do podziękowań za sąsiedzką pomoc. Tym razem Mat nie chwiał się zbyt mocno podczas powrotu do swego mieszkania. Działo się tak jedynie dlatego, że wracał na czworakach.

Mat uśmiechnął się na wspomnienie ostatniej imprezy u sąsiada. Miał z nim bardzo dobre relacje i w zasadzie mógł w ciemno założyć, że gdy poprosi go o pomoc w remoncie łazienki, ten zgodzi się bez wahania. Postanowił nie odkładać roboty na później – nic nie stało na przeszkodzie, aby prace remontowe zaczęły się już dziś. Do budowlanego marketu nie było daleko. Mat zamówił wszystko, co było potrzebne, zapłacił i uzgodnił transport.

Po południu o umówionej godzinie usiadł z sąsiadem przed wejściem na schodową klatkę i obaj czekali na dostawę. Transport jednak się spóźnił, więc aby zabić nudę, Pat i Mat osuszyli butelkę wódki. Remont łazienki to nie w kij pierdział i do składania kuchennych szafek miał się nijak. Mat zaopatrzył się więc w liczne i różnorodne alkohole, traktując je wszystkie jako dowody wdzięczności za pomoc.

Sąsiedzi byli w połowie drugiej butelki, gdy wreszcie nadjechała półciągarówka z logo budowlanego marketu na plandece. Był najwyższy czas, aby zacząć remont. Wnoszenie paczek z glazurą, worków z klejem i fugą oraz nowej umywalki trwało prawie godzinę i mocno nadwyrężyło siły wnoszących. Była więc okazja, żeby się pokrzepić. Mat otworzył kolejną flaszkę. Doszedł do wniosku, że nie musi dziękować za pomoc dopiero na sam koniec. Mógł być wdzięczny za nią na kilku pomniejszych etapach prac. Etap wnoszenia materiałów zakończył się, okazja była więc pierwsza klasa.

Sąsiedzi z wyraźnym szumem w głowach i na lekko chwiejnych nogach ruszyli w stronę łazienki celem rozpoczęcia właściwych prac. W jej progu stanęli jednak nieco skonfundowani i popatrzyli na siebie z nietęgimi minami. Okazało się bowiem, że wszystkie materiały do remontu są w środku. Pat podrapał się po głowie, Mat podrapał się po tyłku, obaj jednocześnie wzruszyli ramionami. Niespecjalnie mieli na to ochotę, ale cóż – trzeba było zapłacić za gapowe. Rozpoczęli wynoszenie wszystkiego z łazienki.

Na szczęście tym razem nie musieli chodzić po schodach, a dystans do noszenia był krótki. Etap opróżniania łazienki skończył się w miarę szybko, była więc okazja, aby go oblać. Sąsiedzi najpierw otworzyli, potem napoczęli, a jakiś czas później zgodnie skończyli kolejną flaszkę. Mieli po niej niewielki kryzys kondycyjny, ale Pat zawczasu przewidział taki rozwój wypadków i zaprosił sąsiada do

kuchni. Usiedli przy stole, pokroili chleb, otworzyli konserwy z turystyczną mielonką i zakąsili. Pokrzepili się tym znacznie, a przysłowiową wisienką na torcie były kiszzone ogórki. Ani się obejrżeli, jak puszki po mielonce wylizane zostały do czysta, a ze słoika z ogórkami wypita została cała zalewa.

Pat odchylił się, walnął w pierś i głośno beknął. Mat powtórzył jego wyczyn, choć nieco ciszej. Oparty wygodnie na krześle odruchowo spojrzął na wiszący na ścianie zegar. Dochodziła dziewiętnasta. Strapił się faktem, że jest już tak późno. Z drugiej strony nie było się czemu dziwić. Najpierw długo czekali na transport, potem wnosili, następnie wynosili, a po drodze jeszcze raczyli się dowodami wdzięczności. Nie było sensu zaczynać remontu wieczorem. Nikt nie lubił hałasów o późnej porze, więc ledwie by cokolwiek zaczęli, a już musieliby przerwać. Nie chcieli zostawiać niczego niedokończonego czy wręcz rozgrzebanego. Zgodnie więc postanowili, że przełożą remont na następny dzień rano. Co natomiast można było robić w tak wczesny z drugiej strony wieczór? W dodatku we względnej ciszy i spokoju? Pękła następna flaszka, tym razem Pat wracał do swego mieszkania na czworakach.

Następnego ranka sąsiedzi mieli tęgi ból głowy, ale to nie przeszkadzało im w rozpoczęciu remontu. Mat słyszał kiedyś, jak pewien mądry gość mówił w telewizji o zatruciach i sposobach radzenia sobie z nimi. Ogólnie z owej wypowiedzi wynikał prosty wniosek – lecz się tym, czym się struleś. Już od progu przywitał więc swojego pomocnika tak zwanym klinem. Lekarstwo okazało się skuteczne. Zielen z twarzy Pata szybko zniknęła, a na jej miejscu zagościł zdrowy rumieniec. Narzędzia poszły w ruch, z łazienki po całej kamienicy rozeszły się rozmaite hałasy.

Płytki ścienne zostały skute, niedługo potem ich los podzieliły podłogowe. Udarowy młot wyłubił w ścianie rowek na nową rurę doprowadzającą wodę. Stary rowek nadawał się do ponownego wykorzystania, wprawdzie jednak trzeba byłoby usunąć z niego pogiętą rurę. Sąsiedzi nie wpadli na to w odpowiednim momencie i tym samym, gdy wreszcie pogięty metal wyrwany został ze ściany, w łazience Pata były dwa równoległe rowki. Nie mogąc zdecydować się, który wykorzystać, Pat rzucił monetą. Wyszło mu, że prawy, więc świeżo zrobiony lewy zaklajstrowany został gipsem.

Abym pewnej tradycji stało się zadość, ten etap pracy zwieńczyło osuszenie butelki. Kac minął bezpowrotnie, sąsiedzi nabrali animuszu i z werwą przypuścili atak na wannę. Pat po niefortunnym upadku uznał, że czas wymienić ją na prysznicową kabinę. Brodzik miał antypoślizgowe pofałdowania na powierzchni, więc kolejne stłuczenie tyłka było mało prawdopodobne. Poza tym taką zamianą zyskiwał więcej przestrzeni.

Demontaż starej wanny był prosty i trwał chwilę. Problemem okazało się jej wyniesienie przez drzwi. Pat i Mat stanęli przed faktem, że nie mieściła się ona w futrynie. Postawili ją na skutej z terakoty, betonowej podłodze i zamyślili się nad sposobem rozwiązania problemu.

Pół butelki wódki później w ruch poszedł udarowy młot, a pod jego intensywnymi ciosami poddała się futryna i część ściany. Zakurzeni sąsiedzi pozgarniali gruz na bok i złapali za wannę. Zgodnie uznali, że teraz w szerokim otworze powinna zmieścić się bez problemu. Pat i Mat chwycili ją równocześnie, przy czym pierwszy uniósł brzeg wyżej. W wyniku powstałego w ten sposób przechyłu drugi musiał zrobić kilka drobnych kroków na bok, aby utrzymać równowagę. Duet z wanną, chwytając się nieco na nogach, obrócił się tak, że jej węższa część znalazła się naprzeciw wyjścia. Okazało się, że w takim ustawieniu wanna zmieściłaby się w drzwiach bez konieczności ich uprzedniego poszerzenia.

Sąsiedzi popatrzyli na siebie z niezbyt mądrymi minami. Było im trochę wstyd nieprzemyślanych działań, ale nie mieli w zwyczaju płakać nad rozlanym mlekiem. Wynieśli wannę i postawili ją w przedpokoju. Tym samym zakończyli następny etap remontu, a to należało opić.

Do południa zamontowali brodzik i kabinę prysznic. Byli bardzo skupieni na swojej pracy, więc tym razem wszystko wykonali poprawnie. Tuż po obiedzie zdemonstrowali brodzik i kabinę. Uznali bowiem, że najpierw wypadłoby położyć na ścianie glazurę. Do tematu jej kładzenia postanowili podejść po odpoczynku, ze świeżym umysłem. Ponieważ nie było gdzie rozpakować paczek z płytkami i wstępnie ustalić ich układu, zaczęli sprzątać. Na początek wysypali do stojącej w przedpokoju wanny skutą glazurę i gruz powstały z poszerzenia wejścia do łazienki. Pozamiatali pył, a Mat przetarł podłogę mopem.

Wypełniona po brzegi wanna okazała się bardzo ciężka. Nie mieli siły, aby ją dźwignąć, postanowili więc ją przesuwając. Do wyjścia na klatkę szło im niezłe i nawet zbyt się nie zasapali. Problemy zaczęły się na schodach. Przechyliła, ciężka jak diabli wanna połączyła się w zgraną parę z grawitacją. Sąsiedzi nie byli w stanie jej utrzymać. Emaliowane brzegi wyslizgnęły im się z palców i wanna bez żadnej kontroli pomknęła po stopniach w dół jak odrzutowy pocisk. Impet uderzenia w ścianę na półpiętrze był taki, że owa ściana pękła. Wanna przebiła się na zewnątrz kamienicy i krótki lot zakończyła na parkingu przed wejściem. Dokładniej rzecz ujmując, zatrzymała się na dachach dwóch zaparkowanych tam samochodów, malowniczo je wgniatając. Remont łazienki Mata zataczał coraz szersze kręgi.

Sąsiedzi stwierdzili, że dziura w elewacji ma priorytetowe znaczenie w kwestii kolejności napraw. Do naprawczych prac murarskich wykorzystali gruz z wanny oraz to, co walało się dookoła na parkingu, a do niedawna było częścią owej elewacji. Zamiast cementu wykorzystali klej do glazury, to zaś natchnęło Mata do wykonania symbolicznego gestu. Uznał, że w łazience nie musi mieć glazury aż do samego sufitu. Zrezygnował z najwyższego rzędu płytek, te zaś przykleił do elewacji kamienicy, wieńcząc dzieło naprawy wybitej wanną dziury. W szarym froncie budynku powstał tym samym jasnoniebieski kwadrat. Mat był dumny z tego dzieła, Pat był dumny z gestu Mata, a naprawa elewacji została ostatecznie zakończona. Wniosek nasuwał się sam – trzeba było to oblać.

Mocno podchmieleni, rozochoceni dopiero co zdobytą wprawą w kładzeniu glazury, sąsiedzi ruszyli do łazienki. Zamierzali kontynuować dzieło klejenia ceramicznych kwadratów na płaskich powierzchniach. Ich zapal ostudził jednak fakt, że nie mieli już kleju. Nie czuli się na siłach, żeby jechać do budowlanego marketu po nową porcję. Uznali, że na dzisiaj wystarczy już tego remontu, i rozpiłi kolejny dowód sąsiedzkiej wdzięczności.

Tego wieczoru Pat w ogóle nie wrócił do swojego mieszkania. Uznał, że chodzenie na czworakach po klatce schodowej było zachowaniem poniżej jego godności, poza tym i tak miał tu wrócić następnego dnia rano. Rozdarł więc na dwie części karton od prysznicowej kabiny, po czym na jednej się położył, a drugą przykrył. Pijani w sztok sąsiedzi zachrapali prawie równocześnie.

Tydzień później Mat i Pat mieli remontu łazienki po dziurki w nosach. Załatwiali jeden jego etap, prowokując po drodze kolejne. Glazurę położyli równo, ale wcześniej nie umieścili pod nią rury doprowadzającej wodę. Rura poszła więc na wierzch. Mat zgodził się na takie rozwiązanie, bo i tak miała być schowana za szafką podwieszoną pod umywalką. Wymusiło to jednak odsunięcie umywalki od ściany. Przeznaczone do jej mocowania kołki okazały się wówczas za krótkie. Należy dodać, że okazały się w bolesny sposób, bo porcelanowa misa nie utrzymała się na nich. Znowu były dziury w ścianie, znowu na podłodze rozrzucone zostały swoiste puzzle z potłuczonej umywalki.

Przy wierceniu otworów pod szafkę obyło się bez większych zniszczeń w glazurze. Okazało się jednak, że brakło dokładności i rozstaw kołków miał się nijak do rozstawu uchwytów. Powtórnie

wiercenie w skorygowanych pozycjach naruszyło jednak strukturę płytek i dwie z nich pękły. Zabrakło nowych całych na wymianę. Co gorsza, zabrakło ich także w budowlanym markecie. Mat stanął przed koniecznością uzupełnienia braków innymi, mniej pasującymi do reszty, lub wymiany wszystkich dopiero co położonych płytek na zupełnie inne.

Podjął się drugiego rozwiązania, a na tę decyzję ogromny wpływ miały liczne wysokoprocentowe dowody wdzięczności za współpracę z sąsiadem. Pod wpływem owych dowodów nowa glazura została skuta, a następnie położono jeszcze nowszą. Tym razem efekty pracy były żałosne i kolejna, rozpita tym razem z żalu, flaszka nie ukoiliła zdenerwowania Mata.

Przedłużający się czas i rosące koszty remontu zmusiły sąsiadów do podjęcia męskiej decyzji – postanowili wezwać na pomoc fachowca. Wyszukany w telefonicznej książce mistrz glazurnictwa zgodził się przyjechać na miejsce i oszacować zarówno skalę robót, jak i wstępny kosztorys prac. W progu mieszkania energicznie uściśnął na powitanie rękę gospodarza, po czym z szerokim uśmiechem oznajmił:

– Proszę się nie martwić, będzie pan zadowolony!

Chwilę później stanął w miejscu, gdzie kiedyś były drzwi do łazienki, i zajrzał do środka. Wyraźnie zrzędlą mu mina.

– Kto to panu tak spierdolił? – zapytał bez ogródek.

Mat spojrzął na Pata, Pat spojrzął na Mata. Obaj równocześnie ciężko westchnęli i bez słowa poszli do kuchni. Tam zaś otworzyli kolejną butelkę wódki, bo tego remontu na trzeźwo nie dawało się ogarnąć.

Piękna nieznajoma

Księżę poprawił paradny mundur, dumnie wypiął pierś i zdecydowanym krokiem przeszedł na drugą stronę bankietowej sali. Na oczach wszystkich zaproszonych na bal gości przystanął przed drobną blondynką, szarmancko uklonił się i poprosił ją do tańca. Dziewczyna dygnęła elegancko i z rumieńcami na policzkach podała księciu rękę.

Po sali przeszedł szmer zdziwienia. Pierwszy taniec z... No właśnie, z kim? Córki baronów, hrabianki i inne arystokratki musiały obejść się smakiem. Przyszły następca tronu zignorował je i na środek parkietu poprowadził jasnowłosą nieznajomą. Orkiestra zaczęła grać, para zawirowała w tańcu. Błękitna suknia dziewczyny przyjemnie kontrastowała z granatem munduru młodzieńca, a spod jej dolnego brzegu co i rusz błyskały białe pantofelki na niewielkim obcasie.

Księżę był zachwycony urodą partnerki. Zauważył ją od razu po wejściu na salę. Jej piękno przyćmiło wszystkie inne panny i nie mógł się doczekać pierwszego tańca. Teraz obejmował ją jedną ręką w tali, w drugiej czule trzymał jej dłoń. Tonął w błękitnie oczu, w błękitnie sukni, w blasku jasnych włosów i w zapachu jaśminu.

– Zdradzisz mi, pani, swoje imię? – zapytał.

Nieznajoma spojrzała na niego poważnie i odpowiedziała:

– Zgodnie z ustawą o ochronie danych osobowych i polityką RODO nie mogę ujawnić ci, księżę, moich personaliów.

Następca tronu był zbity z tropu. Nie takiej odpowiedzi się spodziewał. Szybko jednak odzyskał inicjatywę.

– Oczywiście, rozumiem. Masz, pani, pełne prawo do zachowania prywatności. Zmuszasz mnie jednak do tego, abym to ja nadał ci jakieś imię. Będę mówił do ciebie Bellissima.

Dziewczyna roześmiała się i wdzięcznie skłoniła głowę, dając do zrozumienia, że język włoski nie był jej obcy. Płynęli na falach walca, śledzeni zazdrosnym wzrokiem innych panien dworu. Szambelan dobrze znał księcia i widząc jego zachwyty, dał dyskretny znak orkiestrze, żeby zbyt wcześnie nie skończyła grać pierwszego tańca.

– Czy mogę liczyć na podanie numeru telefonu? – Następca tronu nie zamierzał łatwo się poddać. W życiu nie wybaczyłyby sobie, gdyby nie spróbował zdobyć serca pięknej nieznajomej wszelkimi możliwymi sposobami. Miał przecucie, że to ta jedyna, że piękniejszej kobiety w życiu już nie spotka.

– Mój numer jest zastrzeżony, księżę – usłyszał w odpowiedzi.

– To może chociaż nick z Facebooka albo Instagrama?

– Być może zdziwi cię to, mój panie, ale nie korzystam ze społecznościowych mediów.

– Och! – Księżę rzeczywiście się zdziwił. – Tu mnie zaskoczyłaś. Tym bardziej wydajesz mi się wyjątkowa. Błagam cię, Bellissimo, pozwól mi na ponowny kontakt w przyszłości. Jeden taniec mi nie

wystarczy!

Dziewczyna znowu się roześmiała. Nie dało się ukryć, że starania następcy tronu były dla niej miłe, ale nie chciała wyjść na zbyt łatwą do zdobycia.

– Staraj się, mój księżę! – odparła. – Próbuj! Masz czas do północy.

– Dlaczego do północy?

– O tej porze kończy się mój czas i wrócę do domu.

– O nie, Bellissimo! – Następca tronu wykazał się stanowczością. – Nie uwolnisz się ode mnie tak łatwo. Zostaniesz do końca balu, a potem... zostaniesz moją żoną.

Dziewczyna spuściła wzrok, jej policzki oblał rumieniec. Nie zdążyła jednak odpowiedzieć na tak śmiałą deklarację, bo orkiestra przestała grać. Wybrzmiały ostatnie nuty przeciągniętego do granic możliwości walca, po czym w dłonie głośno klasnął szambelan.

– Piękny pierwszy taniec za nami – oznajmił donośnym głosem. – Bal rozpoczęty, zapraszam wszystkich na parkiet.

Znów popłynęła muzyka, zagaściło się na wyłożonej dębowymi klepkami podłodze. W tańcu zawirowały różne pary – nie tylko księżę chciał znaleźć partnerkę życia podczas tej imprezy. Znaczące spojrzenia, trzepot rzęs, uśmiechy mniej lub bardziej szerokie, czule lub zdawkowe spojrzenia – innymi słowy, działo się na balu.

Skarcony spojrzeniem ojca księżę na jakiś czas musiał poddać się wymogom towarzyskim. Tańczył więc z różnymi pannami, aby uniknąć politycznych niełask i nie narobić sobie wrogów. Każda z tancerek miała maślane oczka, wpatrzone w niego jak w obrazek, każda prawie że omdlewała w jego ramionach. Księżę jednak tego w ogóle nie dostrzegał. Myślni był gdzieś daleko, błędził wzrokiem po sali, nikogo nie widząc. Wreszcie odtanńczył przymusowe i kurtuazyjne powinności i znów mógł porwać na parkiet jasnawłosą piękność.

– Nie spieszyłeś się, mój panie – powiedziała z przekąsem, ale uśmiechnęła się przy tym zalotnie. Nietrudno było zorientować się, że przekomarza się z nim tylko i w gruncie rzeczy zadowolona jest z tego, że znów może płynąć po parkiecie w jego ramionach.

– Wybacz, moja piękna, ale obowiązki mnie od ciebie odciągnęły. Zrobiłem to, co musiałem, teraz już nic mnie od ciebie nie oderwie.

Na poparcie tych słów mocniej ją przytulił i jeszcze bardziej energicznie zawirował w tańcu. Zatracili się w melodii, w spojrzeniach, w bliskości ciał. Czas jednak nieubłaganie płynął i wielkimi krokami zbliżała się północ. Krótko przed jej wybicciem tajemnicza nieznajoma przeprosiła swojego adoratora i pod pretekstem przypudrowania noska wymknęła się z bankietowej sali. Księżę pamiętał jej ostrzeżenie o ograniczonym czasie zabawy i nie zamierzał zostawić spraw wyłącznie w rękach ślepego losu. Polecił szambelanowi zamknięcie wrót pałacu i pilnowanie opuszczających imprezę gości. Bellissima nie mogła mu się wymknąć.

Powoli docierała do niego pewna infantylność sytuacji. Był trochę romantykiem i dopuszczał pewne prawdopodobieństwo zakochania się od pierwszego wejrzenia. To jednak, co stało się tego wieczoru, przeszło jego najśmielsze oczekiwania. Nigdy wcześniej nie spotkał tej dziewczyny. Nic o niej nie wiedział, nie dała mu nawet okazji poznania imienia. To było czyste szaleństwo, ale gdzieś w środku wiedział, że to ta jedyna, że z nikim innym nie nawiąże takiego pokrewieństwa dusz jak z nią. Nie mogła zniknąć, a już tym bardziej zniknąć, nie zostawiając kontaktu.

Kiedy więc usłyszał zamieszanie w okolicach drzwi, zareagował natychmiast i w błyskawicznym tempie opuścił balową salę. Alarm okazał się jednak fałszywy. Jeden z baronów nadużył alkoholu i zamierzał się przewietrzyć. Pomysł miał bardzo dobry, gorzej było jednak z jego wykonaniem. Przegrał widowiskową walkę o utrzymanie równowagi na schodach i zwałił się z kilku ostatnich stopni, rozbijając przy tym głowę. Pałacowa służba sprawnie zajęła się poszkodowanym i wszystko wskazywało na to, że sprawa będzie miała drobny, incydentalny wymiar. Niestety w tym właśnie zamieszaniu adorowana przez księcia piękność ulotniła się. Po drugie, niestety, ku wielkiemu zaskoczeniu wszystkich, pijany baron zmarł, zanim zdążyła przyjechać wezwana karetka pogotowia.

Bal został przerwany. Król osobiście przeproszał gości, ale ze zrozumiałych względów o dalszej zabawie w takich okolicznościach nie mogło być mowy. Następca tronu ramię w ramię z ojcem żegnali uczestników niefortunnej imprezy, kłaniając się dworsko panom i całując dłonie paniom. Księżę na próżno wypatrywał Bellissimy – jego ukochana przepadła bez śladu.

Chwilę po tym, jak ostatni goście opuścili pałac, zarządził dokładne jego przeszukanie. W damskiej toalecie odkryto otwarte okno i zwisającą na zewnątrz linkę, którą do parapetu przytwierdzała trójramienna kotwiczka. Na lustrze nad umywalką ktoś namalował czerwoną szminką wielkie serce, zaś w jego środku odcisnięte zostały usta. Księżę miał pewność, że to graffiti jest przeznaczone dla niego, a autorką była Bellissima. O ile taka forma pożegnania jeszcze jako tako wpisywała się w pojęcie romantyzmu, o tyle widok kotwicy i doczepionej do niej linki już zdecydowanie nie. W sercu następcy tronu zagościł chłód, na idealnym dotąd wizerunku pięknej nieznanym pojawiła się rysa. Księżę miał niemiłe przeczucie, że choć pierwsza, nie okaże się ostatnią.

Jeszcze przed świtem do pałacu przybyła policja. Zmęczony król zdążył udać się na spoczynek, więc specyficznych gości przyjął sam księżę. Domyślał się, że wizyta przedstawicieli prawa miała związek z nieszczęśliwym wypadkiem barona. Tak było w istocie, choć jak się okazało chwilę później, określenie wypadek należało zastąpić słowem zabójstwo.

Pechowy arystokrata miał sporo promili we krwi i tej kwestii nikt nie podważał. Po jego upadku ze schodów wszyscy zajęli się zaopatrzeniem rozbitej głowy. Krwi było dużo, więc nic dziwnego, że nikt nie zauważył małej ranki z boku szyi poszkodowanego. Dopiero lekarz pogotowia, który odwoził ciało do kostnicy, przyjrzał się jej dokładnie i wezwał policję. Połączenie dość specyficznego obrażenia z całą serią podobnych u innych ofiar było czystą formalnością i nie zajęło policji dużo czasu.

Księżę był coraz bardziej zdumiony rewelacjami usłyszanymi od stróżów prawa. Okazało się, że nieszczęsny baron padł ofiarą trucizny zawartej w niewielkiej strzałce. Owa strzałka mogła zostać wydmuchnięta z niewielkiej rurki, długości raptem długopisu. Ten sposób zabójstwa był swoistym znakiem firmowym. Policja prowadziła już osiem spraw tego rodzaju – za każdym razem precyzyjny strzał w szyję, szybkie działanie trucizny, a sprawca zniknął w zamieszaniu, zanim ktokolwiek zdążył się połapać.

Księżę poczuł lód w sercu, kiedy dowiedział się, że zabójcą była kobieta – szczupła, drobna, piękna blondynka. Na pokazanym przez policjanta zdjęciu była Bellissima. Potwierdził jej obecność na balu, potwierdził, że z nią tańczył i rozmawiał. Nie, nie poznał jej imienia. Widział ją pierwszy raz w życiu. W głębi duszy z bólem musiał przyznać, że pewnie także ostatni. Obiecał, że jeśli tylko przypomni sobie jakiś związany z zabójczynią szczegół, niezwłocznie skontaktuje się z policją.

Kiedy wreszcie pożegnał stróżów prawa, z ciężkim westchnieniem usiadł na jednym z krzesel przy wciąż suto zastawionym stole. Nalał sobie wina do smukłego kieliszka i w zadumie patrzył na drobne

fale rozchodzące się na powierzchni czerwonego trunku.

Jakiś czas później wyjął z kieszeni paradnego munduru telefon. Połączył się z siecią i wpisał do wyszukiwarki kilka kluczowych słów. Ze zdziwieniem stwierdził, że media, zarówno poważne, jak i plotkarskie, mocno emocjonują się działaniami seryjnej killerki. Łącznie z baronem zabiła zatrutą strzałką z dmuchawki już dziewięć osób. Ośmiokrotnie zlecenie wykonała perfekcyjnie, nie zostawiając żadnych śladów. Tylko jeden raz na samym początku serii bliska była wpadki. Uciekając z miejsca zabójstwa, musiała przedrzeć się przez ozdobne krzewy w czyimś ogrodzie. Któryś z krzaków prawdopodobnie zahaczył kolczastą gałęzią o sznurowadło. W wyniku jego pociągnięcia jeden z butów rozwiązał się. Zabójczyni nie zatrzymała się jednak, aby go zawiązać. Nie chcąc ryzykować potknięcia się, zrzuciła go i dalej pobiegła z jedną stopą bosą.

Jaka piękna, pocięta bajka, pomyślał książę, upijając w zadumie łyk wina. Moja Bellissima to prawdziwy Kopciuszek.

Rurowaty świat

Niestety wszystko wskazuje na to, że tylko ja przeżyłem kataklizm. To przerażające! Cała rodzina, tyłu przyjaciół, kolegów, sąsiadów, ci wszyscy, których poznałem, i ci, których poznać nie zdążyłem... Wszyscy w jednej chwili byli, w drugiej już ich nie ma. Podzielili smutny los naszego świata, całej naszej cywilizacji. To coś niewypowiedzianie strasznego!

Dlaczego ja przetrwałem? Nie wiem. Nie byłem sprytniejszy ani silniejszy od innych, nie miałem wcale lepszej pozycji w chwili, kiedy to wszystko się zaczęło. A jednak jestem, trwam nadal mimo tego, że mój świat leży w gruzach, że właściwie nie istnieje. Dlaczego akurat ja mam patrzeć na ten ogrom zniszczeń? Czemu mnie przypadło w udziale skosztowanie tej olbrzymiej czary goryczy? Naprawdę nie wiem. A zresztą, czy to takie ważne teraz, w tej chwili? Raczej nie... Dookoła tylko ruiny, chaos i śmierć. Jak mam to wszystko ogarnąć? Jak mam z tym wszystkim poradzić sobie sam jeden? Przecież jeszcze całkiem niedawno było tu tak pięknie!

Nasz świat był dziwny. Tak, myślę, że to najwłaściwsze dla niego określenie. Dziwny i chyba właśnie przez tę dziwność piękny. Miał kształt długiej, poskręcanej wielokrotnie rury. Nigdzie nie było powierzchni prostej, wszechobecne za to były najprzeróżniejsze fałdy, fałdziki, wklęsłości, wypukłości i krzywizny. Któż z nas w dzieciństwie nie lubił wbiegać na jakąś górkę, by zaraz potem sturlać się z niej z radością? Któż z nas nie chciał powtórzyć później tej czynności jeszcze kilka razy? Chyba każdy... Nasz świat był pod tym względem rajem. Nie dość, że miejsc do wbiegania i turlania było tu całe mnóstwo, to jeszcze nieustanny ich ruch, niekończące się Wieczne Falowanie sprawiało, że bez najmniejszego wysiłku w jednym momencie było się na górze, by zaraz potem opaść w dół. Nie można chyba wymyślić niczego lepszego dla chcącego się bawić. To było naprawdę cudowne, urokliwe miejsce.

A teraz? Brak mi słów, by opisać ogrom zniszczeń. Góry i pagórki spłaszczone, w wielu miejscach powgniatane, z mnóstwem dziur i pęknięć na powierzchni, trwają w smutnym bezruchu. Tylko od czasu do czasu gdzieś coś zadrży, na niewielkiej powierzchni rozejdzie się mała, szybko wytłumiana fala. Wszystko zostało zniszczone, bezpowrotnie utracone. Oprócz mnie nie ma nikogo, kto pamiętałby, jak to miejsce wyglądało przed kataklizmem.

Pamiętam swoje ogromne podniecenie, kiedy pierwszy raz spotkałem gości z innych światów. Wiedzieć, że tacy są, to jedno, ale rozmawiać z nimi osobiście, to było coś niezwykłego! To właśnie wtedy dowiedziałem się, że istnieją światy, gdzie góry i pagórki są rzadkością. Światy, które są płaskie. Biorąc pod uwagę miejsce, w którym się urodziłem, i te wszystkie wypukłości, otaczające mnie zewsząd, odkąd pamiętam, było to wprost niewyobrażalne. Jak w ogóle można było żyć w płaskim świecie? A jednak patrząc na wędrowców przybywających z takich właśnie miejsc, wierzyłem w ich opowieści.

Byli trochę podobni do nas, można by nawet wziąć ich za naszych dalekich kuzynów. Niby wszystko mieli na swoim miejscu, ale jednak nie. W bezpośrednim z nimi sąsiedztwie wrażenie ich odmienności było wyraźnie wyczuwalne. Bardziej owalni niż okrągli, trochę zagubieni pośród naszego pagórkowatego świata, przybywali z jednego jego końca wraz z Wielkim Transportem i wraz z nim znikali w drugim. Cel takiej wędrówki nawet dla nich nie był do końca jasny, ale zawsze miło było ich spotkać. Przynajmniej dla mnie. Nie pamiętam, kiedy postanowiłem zapamiętywać ich opowieści. Z entuzjazmem chłonałem wszelkie możliwe historie o innych światach, dopytywałem się o każdy szczegół, który przychodził mi na myśl. Powoli, z biegiem czasu, stawałem się skarbnicą wiedzy o odmiennych środowiskach i dziwnych miejscach, z których docierali do nas obcy. To był cudowny okres w moim życiu. Zbierałem każdy okruszek wiedzy pochodzący od naszych gości z nadzieją, że kiedyś przycupnę sobie gdzieś wygodnie z moimi dziećmi, jeszcze później z wnukami, a jeżeli czas pozwoli, to z prawnukami, i podzielę się z nimi moją wiedzą. Marzyłem o tym, by być podziwianym przez nich tatą, dziadkiem i pradziadkiem, który nie jest typowym nudnym, starym zrzędą, ale fantastycznym, kochanym bajaranem. Wielokrotnie wyobrażałem sobie ich reakcje na wieść o tym, że istnieją światy, na których jest światło. Cóż za niezwykła, piękna idea!

Odkąd ja sam, moi rodzice i dziadkowie sięgają pamięcią, nasz poskręcany, rurowaty świat wypełniała nieprzenikniona ciemność. Ciemność była dla nas tak samo naturalna jak powietrze do oddychania i woda do picia. A gdzie indziej? Pamiętam bardzo dobrze małego przybysza, który jako pierwszy opowiedział mi o świetle. Wciąż w pamięci mam nasze długie dyskusje, czym ono właściwie jest, po co jest i skąd się w ogóle bierze. Jedynym pewnikiem, jaki wówczas mogłem przyjąć do wiadomości, było to, że światło w innym świecie jest odwrotnością ciemności w naszym. Cała reszta była wtedy dla mnie zbyt trudna do ogarnięcia.

Nigdy nie zapomnę tego wyrozumiałego, małego obcego, który usilnie przekonywał mnie do pomysłu, że światło jest niezbędne do życia. Idea była sama w sobie niezwykle ciekawa, ale zaprzeczałem jej ze wszystkich sił, twierdząc, że nigdy go nie widziałem, że do niedawna nie wiedziałem nawet o jego istnieniu, a przecież żyłem, żyję i zamierzam żyć dalej. Nie mogliśmy dojść do porozumienia w tej kwestii długi czas, a potem obcy przybysz źle się poczuł i zachorował. Słabł coraz bardziej, coraz wolniej i ciszej ze mną rozmawiał, aż wreszcie umarł. Jego martwe, małe ciało włączyło się w skład Wielkiego Transportu i zniknęło w drugim końcu naszego świata. Nie był to oczywiście dostateczny dowód na potwierdzenie jego teorii, ale mam nieodparte wrażenie, że odrobina tego światła pomogłaby mu przeżyć. To był jeden z najmilej wspomnianych przeze mnie gości.

Ilu ich było łącznie? Trudno mi w tej chwili dokładnie powiedzieć. Nasz rurowaty świat odwiedzało regularnie całe mnóstwo turystów. Zdecydowana większość z nich docierała tu z Wielkimi Transportami i razem z nimi stąd odchodziła. To były z reguły krótkie, szybko zapominane wizyty. Nieliczni goście zostawali jednak z nami na dłużej, dzieląc się niesamowitymi opowieściami o innych środowiskach. Niektórzy z nich głęboko zapadli w moją pamięć. Oni i ich historie...

Pamiętam jak dziś rozmowę z największym obcym, jakiego w życiu widziałem. Był przynajmniej ośmiokrotnie większy ode mnie. Jego gładkie ciało rytmicznie pulsowało, a on sam majestatycznie powoli pełził przed siebie, z ciekawością chłonać odmienne otoczenie. Monstrualne rozmiary przybysza lekko mnie onieśmielały, żeby nie powiedzieć odstraszały. Wiedziony jednak wewnętrznym przeczuciem, że nie jest wcale takim groźnym osobnikiem, na jakiego wygląda, zaproponowałem mu chwilę rozmowy. Przystał na moją propozycję z wyraźnym entuzjazmem i porzucił Wielki Transport,

z którym przybył. Najpierw on opowiedział mi o swoim świecie, potem przyszła kolej na rewanż. Staralem się zrobić to jak najdokładniej, niczego nie pomijając i nie wyolbrzymiając.

Muszę przyznać, że miałem w nim wdzięcznego słuchacza. Pytał się dosłownie o wszystko, a ja o wszystkim mu mówiłem. Potem przedstawiłem mu moją liczną rodzinę, pokazałem najpiękniejsze góry i pagórki, opowiedziałem co nieco o historii rurowatego świata. Nie na każde pytanie znałem jednak odpowiedź. No bo skąd na przykład bierze się to nieustanne Wieczne Falowanie zamieszkanego przez nas rury? Nie wiedziałem wtedy, nie wiem tego i teraz. Właściwie w tej chwili, po kataklizmie, nic już nie faluje. Wtedy tak po prostu było i już! Fala brała się z jednego końca świata, przechodziła przez całą jego długość i ginęła gdzieś w przeciwnym końcu. Za nią przychodziła druga, potem trzecia i następne. Czasami fale były małe i wolne, innym razem, kiedy przychodził Wielki Transport, stawały się duże, silniejsze i bardziej liczne. Nie wiem, skąd się brały i po co. Po prostu były i tyle. Taki właśnie był mój świat. Dziwny i dzięki temu piękny.

Pełzający obcy pochodził z miejsca, gdzie istniało światło. Według tego, co mówił, jego źródłem była jasna kula wisząca na czymś, co określał dziwnym, trudnym dla mnie do wymówienia słowem. Jeżeli dobrze sobie je przypominam, to było niebo. Nie upierał się jednak, że światło jest niezbędne do życia. Przebywał u nas dość długo i jak twierdził, nie brakowało mu go i wcale za nim nie tęsknił. Jego brak szczęśliwie nie miał żadnego wpływu na zdrowie naszego ogromnego gościa.

Lubiłem siedać z nim na którejś z najwyższych w okolicy gór i patrzeć, jak w dole, pomiędzy mniejszymi wypukłościami, przesuwają się wolno Wielki Transport popychany przez Wieczne Falowanie. Obserwowaliśmy, jak nasi wspólni znajomi z wielkiej, majestatycznie płynącej rzeki najróżniejszych rzeczy brali to, co było im akurat w danej chwili potrzebne, i zostawiali w zamian odpady. Mojego gościa niezmiernie dziwiła ta wymiana, ale tak już było z Wielkimi Transportami. Przybywały w miarę regularnie, dostarczały potrzebne rzeczy, zabierały śmieci i ostatecznie znikwały. Nie potrafiłem wyjaśnić natury tego niewątpliwie skomplikowanego procesu. Jego przyczyny i cel były poza możliwościami intelektualnymi zarówno moimi, jak i mojego pełzającego kolegi.

Smutna była chwila, w której musiałem się z nim rozstać. Wraz z kolejnym Wielkim Transportem nasz świat odwiedziło kilku jego kuzynów, którzy mimo usilnych prób nie dali się namówić nawet na krótki przystanek w swojej podróży. Wielki, pełzający przybysz odszedł razem z nimi. Nigdy później nie spotkałem obcego, który byłby choć trochę do niego podobny. Myślę, że śmiało mogę powiedzieć, iż mimo swojej fizycznej odmienności i zupełnie różnego pochodzenia był moim bratem, a jeśli nie bratem, to z pewnością największym przyjacielem, jakiego w życiu miałem. Mam gorącą nadzieję, że dotarł tam, dokąd zmierzał, gdziekolwiek by to nie było.

Teraz, po tym straszliwym kataklizmie, który dopiero co przeżyłem, zastanawiam się, czy nie powinienem był udać się razem z nim. Wiele razy usilnie namawiał mnie na ten krok, przytaczając coraz to nowsze argumenty przemawiające za takim rozwiązaniem. Cóż, w dyskusjach byłem wtedy dobry. Zawsze miałem odpowiednie kontrargumenty i w końcu zostałem.

– A gdzie twój duch poszukiwacza niezwykłości? – zapytał mnie tuż przed odejściem.

No właśnie, gdzie? Sam już nie wiem, co przeważało. Może strach przed nieznanym, może marzenia o spokojnej starości w otoczeniu przynajmniej dwóch młodszych pokoleń i snuciu fantastycznych opowieści? A może górę wzięło zwykłe lenistwo? Gdybym wiedział, co się tu wydarzy, pewnie nie zastanawiałbym się i ruszył w kierunku drugiego końca naszego świata w towarzystwie pełzającego przyjaciela. Niestety nie potrafię przewidywać przyszłości. Zresztą teraz to i tak nie ma

żadnego znaczenia. Teraz już nic nie ma znaczenia. Wszędzie widać tylko ruiny, zniszczenia i martwe ciała moich braci. Nie ma Wiecznego Falowania, z wyjątkiem może jakichś marnych jego namiastek tu i ówdzie. Nie ma nawet Wielkiego Transportu, do którego mógłbym dołączyć i uciec od tych strasznych widoków.

Co tu się w ogóle stało? Jak do tego doszło? Dlaczego? Nie wiem. To niestety kolejne pytania w moim życiu, na które nie znam odpowiedzi. Co teraz będzie? Czy wszystko wróci kiedyś do normy? A jeżeli tak, to kiedy? Oto następne z nich... Dziwny, piękny świat był i nie ma go. Pozostał tylko w mojej pamięci. A wszystko zaczęło się tak nagle, tak niespodziewanie!

Z kolejnym Wielkim Transportem przybyła do zamieszkałej przez nas rury grupka pokracznych, ale wesołych obcych. Byli w ciągłym ruchu, mówili trochę niewyraźnie i zbyt szybko, nieustannie kombinowali, jak by tu coś śmiesznego zrobić. Muszę przyznać sam przed sobą, że polubiłem tę bandę wesołków. Niejednokrotnie razem zjeżdżaliśmy w wariackim pędzie z największych pagórków wśród mnóstwa śmiechu i radości. Razem też dla głupich żartów braliśmy z Wielkich Transportów rzeczy, które tak naprawdę nie były nam do niczego potrzebne, i robiliśmy z nich różne tamy i zapory. Usypywaliśmy zupełnie nowe góry, a potem wypełnialiśmy śmieciami powstałe między mini zagłębienia. Mnie w końcu się to znudziło, oni natomiast rozkręcali się coraz bardziej.

Nie mam pojęcia, jak im się to udało, ale ostatecznie znaleźli sposób, żeby Wielkie Transporty znacząco przyspieszyły swoją wędrówkę. Z reguły przesuwały się one powoli, wręcz majestatycznie wolno. Każdy zdążył wziąć z nich to, czego potrzebował, i wyrzucić to, co było mu zbędne. Obcy przybysze zaburzyli jednak odwieczny porządek. W sobie tylko znany sposób tak nasilili Wieczne Falowanie, że powstałe w wyniku tego niezwykle wysokie fale gnały Wielkie Transporty w niewiarygodnym wprost tempie. W zasadzie można powiedzieć, że ledwie nadchodziły, a już chwilę później znikwały z towarzyszącym temu, wyraźnie wyczuwalnym podmuchem powietrza. Pierwsze dwa, trzy razy były nawet fajne. Coś nowego i śmiesznego działo się w naszym statycznym z reguły, rurowatym świecie. Potem wygłupy pokracznych obcych przestały być już tak zabawne, wiązały się bowiem z faktem braku dostarczanych przez Wielkie Transporty nowych rzeczy i zaleganiem nieusuwanych odpadów. W zagłębieniach pomiędzy czystymi do niedawna pagórkami zaczęły piętrzyć się stopy śmieci, a w najniższych poziomach zbierała się cuchnąca woda. Po przegonieniu przez obcych kolejnych kilku Wielkich Transportów zaczęła się prawdziwa tragedia.

Naszym spokojnym do niedawna światem targnął niewyobrażalny spazm. Falująca delikatnie od niepamiętnych czasów rura zaczęła skręcać się gwałtownie. Ściany naszego świata, oddalone dotąd od siebie na bezpieczną odległość, nagle zderzyły się. Uderzały tak o siebie raz po raz, miażdżąc wszystko pomiędzy. Cuchnąca woda przelewała się we wszystkie strony, bezlitośnie topiąc każdego, kto nie zdążył uciec. Jedna za drugą gnały gigantyczne fale, wszystko trzęsło się, łamało, pękało. Ku ogólnemu przerażeniu jedna olbrzymia fala przetoczyła się w kierunku przeciwnym, niż dotychczas to bywało. To było wprost szokujące, ale nie ma już nikogo oprócz mnie, kto mógłby zastanawiać się nad naturą tego niecodziennego zjawiska. Wszyscy uciekali przerażeni, próbując ratować własne życie pośrodku szalejącego, nieznanego dotąd nikomu żywiołu.

Nie pamiętam, ile trwał ten kataklizm, nie pamiętam również, co takiego zrobiłem, że udało mi się go przeżyć. Pamiętam natomiast ostatni Wielki Transport, jaki trafił do naszego ginącego świata. Był on wyjątkowo skąpy w porównaniu z poprzednimi, a jego jednolita zawartość miała regularny, obły kształt. W przeciwieństwie do wcześniejszych nie przesuwał się jednak w kierunku drugiego końca zniszczonej

dopiero co rury. Z nieznanych przyczyn utknął w miejscu i zaczął rozpadać się, a jego składniki zaczęły powoli przenikać do obmywającej go co i rusz cuchnącej wody. To było ostateczne przypiecztowanie zagłady.

Cuchnąca woda to po prostu woda, która nieładnie pachnie i nic poza tym. Jeżeli ktoś się nią pochlapię, będzie śmierdział i tyle. Co najwyżej, gdy jest jej zbyt dużo, można w niej utonąć. Z wyjątkiem tej ostatniej sytuacji nie stanowiła raczej większego zagrożenia. Ukochany rurowaty świat zginał z powodu toksyn wypłukanych przez nią z ostatniego Wielkiego Transportu. Silnie trujące związki chemiczne w jednej chwili unicestwiły całą naszą spokojną, pokojowo nastawioną cywilizację. Prawie całą, bo zostałem tylko ja. Tkwię tu na spękanej, wysokiej do niedawna górze, a roztaczający się wokół widok napełnia moją duszę bólem i smutkiem.

Mój świat był dziwny. Dla obcych wędrowców przybywających tu z innych miejsc mógł wydawać się nawet bardzo dziwny. Dla mnie jednak, po pierwsze, był piękny, po drugie, był mój. Cichy, ciepły i ciemny, z Wiecznym Falowaniem i Wielkimi Transportami... A teraz? Chyba nie ma tu już dla mnie miejsca. Przeżyty dopiero co kataklizm zmusza mnie do opuszczenia tego świata. Z nieukrywanym żalem przyznaję, że nie potrafię przewidywać przyszłości. Być może wszystko jakoś się tu ułoży. Być może kiedyś góry odrosną, cuchnąca woda i toksyny gdzieś wsiąkną, powróci falowanie i pojawią się nowe transporty. Chciałbym, żeby tak właśnie było, ale co się stanie, gdy za jakiś czas kataklizm znowu przypomni o sobie? Myślę, że szansa na przeżycie czegoś takiego po raz drugi jest praktycznie znikoma. Wolę nie ryzykować. Ruszam więc śladami mojego wielkiego, pełzającego przyjaciela. Żałuję, że decyduję się na to dopiero teraz, a nie wówczas, razem z nim. Trochę różniej podążałoby mi się w jego towarzystwie, a droga ku drugiemu końcowi rurowatego świata byłaby znacznie weselsza. Cóż, co by było, gdyby...

To nieodpowiednia pora na narzekanie. Najwyższy czas wyruszyć w drogę. Jestem ciekaw, czy na końcu rzeczywiście zobaczą światło. A może i niebo?

Trwającą od kilku minut ciszę przerwało niespodziewanie energiczne pukanie.

– Proszę! – rozległ się chwilę po nim basowy głos.

Drzwi uchyliły się i w przerwie między nimi a białą niegdyś futryną ukazała się uśmiechnięta twarz brodatego mężczyzny w wieku około czterdziestu lat.

– Można, panie doktorze?

– Ach, pan Wiśniewski! – Lekarz pokiwał głową. – Zapraszam, zapraszam. Jak tam pańska biegunka?

– W porządku – odpowiedział zapytany, siadając na wysłużonym krześle naprzeciw lekarza. – Po tym lekarstwie, które pan mi zalecił, wszystko się uspokoiło. Tylko jeszcze od czasu do czasu nieznacznie pobolewa mnie brzuch.

– No tak... – stwierdził enigmatycznie lekarz, patrząc w kartę porad pacjenta. – Panie Wiśniewski! Po tej biegunce i po zastosowanym na nią silnym antybiotyku ma pan mocno przetrzebioną naturalną florę bakteryjną w jelitach. Trzeba ją teraz jak najszybciej odtworzyć. Zaraz panu coś przepiszę.

Impreza w plenerze

Bob wszedł do biura i z ciężkim westchnieniem usiadł na obrotowym fotelu za biurkiem. Zdjął z głowy złoty kask i niedbale odłożył go na bok. Otarł dłonią spoczone czoło. Jego wzrok spoczął na stercie papierów leżących na blacie. Miał biurokracji po dziurki w nosie, ale wiedział, że dopóki przez nią nie przebrnie, trudno będzie dalej ruszyć z robotami.

– Ech, Polska! – mruknął i zdegustowany pokręcił głową.

Kiedyś ten kraj jawił się jako kraina mlekiem i miodem płynąca. Potem jednak zmienił się rząd, a obecna ekipa miała inną wizję. Według niej Polska w najbliższej przyszłości miała być autostradami jeżdżąca. Bob skusił się na wysoki kontrakt i obietnicę długofalowej współpracy. Roboty było na trzy lata. Teraz zaś, widząc jej ślimacze tempo i uwzględniając urzędniczą opieszałość, miał wrażenie, że potrwa to przynajmniej rok dłużej.

Był tym coraz bardziej zmęczony. Ciągłe użeranie się o terminowość dostaw wszystkiego, od paliwa do maszyn, na budowlanym kruszywie kończąc, przyprawiało go o migrenę. Jeszcze większym zgrzytem była współpraca z przedstawicielami Ministerstwa Infrastruktury. Zmieniali się jak w kalejdoskopie, a każdy nowy sprawiał wrażenie, że ma mniejsze kompetencje od poprzedniego. Podjęcie jakiegokolwiek decyzji wymagało konsultacji wszystkich świętych i niedorzecznie rozwlekało się w czasie. W tle związki zawodowe prowadziły własne rozgrywki, organizując co i rusz akcje protestacyjne i grożąc generalnym strajkiem.

Bob tego kompletnie nie rozumiał. Dla niego sprawa była prosta – nie chcesz pracować, to nie pracuj. Zabieraj swoje rzeczy i idź do domu. Nikt cię nie zmusza, nie ma niewolnictwa. Natomiast jeśli chcesz dostawać uposażenie, to zasuwasz, gościu, bo za darmo to można co najwyżej w ryj dostać. W kraju z dużym bezrobociem możliwość pracy na stanowisku, które oprócz dobrego zdrowia praktycznie nie wymagało żadnych innych kwalifikacji, jawiła mu się jako coś atrakcyjnego. Pensja wyraźnie wyższa od najniższej krajowej, pełne ubezpieczenie, możliwość płatnego urlopu – innymi słowy, same plusy. Oczekiwał więc w zamian uczciwej pracy, a tu co? Żądania systemu jednozmianowego zamiast dwóch zmian. Sobota też miała być wolna. Nadgodziny płatne nie sto, ale dwieście procent stawki. Dodatki za pracę w warunkach uciążliwych i jeszcze kilka postulatów tego typu. To było czyste wariactwo. Jak niby miał zbudować w terminie autostradę, gdyby o piętnastej maszyny były wyłączane, a obsługujący je ludzie szliby do domów? Dlaczego nie można było przyjąć do pracy w sobotę? Przecież to żaden świąteczny dzień! Nikomu by z tego powodu korona z głowy nie spadła!

Bob wspomniał jeden ze swoich pierwszych zagranicznych kontraktów. Budował most na rzece Jangcy w Chinach. Robota szła na trzy zmiany, wszystko odbywało się sprawnie i we właściwym tempie, każdy do pracy podchodził uczciwie, rzetelnie i z zaangażowaniem. W efekcie ukończył budowę dwa tygodnie przed zaplanowanym terminem. To była czysta przyjemność, nie to co tu.

Niekompetentni brygadziści, wiecznie spóźnieni geodeci, błędzący kierowcy i podpici budowlańcy razem wzięci sprawiali, że miał ochotę kupić karabin i wszystkich powystrzelać. I jeszcze te papiery... Setki formularzy zamówień, polecenia zapłaty, wnioski urlopowe – wszędzie potrzebny był jego podpis. Nie żadnego zastępcy, nie kogoś upoważnionego czy oddelegowanego – jego i tylko jego.

– Szlag jasny mnie trafi! – warknął Bob, przysuwając fotel do biurka i biorąc się do papierkowej roboty.

Na wierzchu leżała przygotowana przez Martę lista najpilniejszych zadań.

Kochana Marta! – pomyślał Bob. – Zginąłbym bez niej.

Na moment jego oblicze rozchmurzyło się. Zaraz jednak znów gniewnie zmarszczył brwi na widok pierwszej pozycji na liście – umówić wizytę u seksuologa. Bob prychnął zniesmaczony.

Wielkie mi co! – pomyślał. – Raz mi nie chciał stanąć, a ta już aferę robi. Jestem zmęczony i sfrustrowany, więc coś takiego mogło mi się zdarzyć!

Poza tym dziś rano pod prysznicem sprawdził problem i okazało się, że problemu nie ma. Wszystko było w jak najlepszym porządku, tylko że idąc do pracy na piątą rano, nie miał jak tego udowodnić partnerce. Marta tkwiła więc w błędnym przekonaniu, że ma towarzysza impotentą. Postanowił zignorować pierwszy punkt listy.

Widząc drugi, aż jęknął z rozpaczy. Miał umówione na dziś spotkanie z ekologami. Miejscowy oddział ekooszołomów nie raz już zalazł mu za skórę swoimi działaniami. Parodia organizacji Greenpeace stanowczo sprzeciwiała się wycięciu kilkunastu drzew rosnących na trasie budowanej autostrady. Twierdzili, że w tym miejscu żyje i rozmnaża się rzadki owad o trudnej do wymówienia nazwie. Bob nawet nie chciał zagłębiać się w ten temat. Nie mieściło mu się w głowie, że realizacja wielomilionowego projektu zrewolucjonizowania lokalnego transportu drogowego zależała od bandy cholernych dendrofilów i miłośników jakiegoś robala. Dopóki krzyczeli i chodzili z transparentami w tę i z powrotem, zwyczajnie ich ignorował. Traktował jak uciążliwe, ale niegroźne muchy. Kiedy jednak kilkoro z nich przykuło się łańcuchami do pni, a kilkoro innych do koparek i spychaczy, sprawa stała się poważna. Przyjechała telewizja, zrobiło się głośno i mało przyjemnie, a Bob tego nie lubił. Chciał skupić się na pracy. Na niej się znał, a do polityki czy też ekopolityki wolał się nie brać. Nie chciał wdepnąć w gówno.

Na jakiś czas ułagodził fanów drzew i rzadkiego gatunku robaka sposobem podpatrzonym na kontrakcie w Rosji. Dwa lata temu naprawiał ze swoją ekipą kilka odcinków Bajkalsko-Amurskiej Magistrali Kolejowej. Miał wówczas kontakt z byłym agentem KGB. Jego zadaniem było, mówiąc najprościej, usuwanie przeszkód, w tym między innymi tych, które związane były z ruchem Zielonych. Bob polubił zwalistego Borysa Piotrowicza Mioczkińa za jego prostolinijność, niekonwencjonalne metody działania i przede wszystkim za skuteczność. Bajkalsko-amurscy ekoaktywiści zaproszeni zostali na negocjacje, podczas których spili się doprawioną ecstazy wódką. Niewinna z początku impreza wymknęła się spod kontroli, a Borys szczegółowo udokumentował zdjęciami poszczególne jej przejawy. Następnego dnia rano podczas śniadania zaprezentowano wybrane aktywności ruchowe bez odzieży w parach z poprzedniego wieczoru. Po krótkim pokazie ochota ekologów na dalsze protesty błyskawicznie się ulotniła.

Bob, wzorując się na rosyjskim przyjacielu, urządził imprezę dla lokalnych ekooszołomów. Nie miał dojścia do narkotyków, za to wódka popłynęła szerokim strumieniem. Były tańce na murze, konkurs mokrego podkoszulka i występ grupy chippendales. Był przekonany, że po zaprezentowaniu fotografii

z imprezy problem zniknie. Niestety nie docenił przeciwnika. Ekolodzy w dupie mieli jego szantaż. Impreza tak im się spodobała, że domagali się jej powtórzenia. Rzadki robił na parunastu drzewach stracił na znaczeniu. Postawili sprawę jasno – jeżeli nie będzie nowej biby, wznowią protest. Jak znów uwolnią orkę, ucichną na kolejny miesiąc. Właśnie w sprawie ustalenia terminu i szczegółów imprezy w plenerze miał się dziś spotkać z przedstawicielami ruchu eko.

– Zwariuję w tym kraju! – westchnął Bob z niesmakiem. – Tu wszystko jest pogięte do kwadratu.

Spojrzał na kolejny punkt listy od Marty i zmełł w ustach przekleństwo. Po napalonych ekologach miał spotkanie z sołtysiem Bździszewa. Mała wioska leżała nieco na zachód od planowanej trasy autostrady. Jej sołtys wyczuł możliwość zarobku przy okazji budowy drogi i regularnie nawiedzał Boba z nowymi projektami współpracy. Ostatnio próbował zdobyć kontrakt dla swojego zięcia. Ów zięć dysponował cysterną, którą mógłby dowozić wodę lub paliwo na plac budowy. Cysterna okazała się zwykłą szambiar ką. Poza tym zięć sołtysa jeździł nią bez odpowiednich uprawnień.

Wcześniej sołtys chciał załatwić catering dla pracującej załogi. W fazie wstępnych rozmów wszystko wyglądało nawet niezłe i Bob zgodził się na próbę. Potem jednak okazało się, że kanapki i napoje dowożone są karawanem. Karawan często się spóźniał, bo pogrzeby z tymi wszystkimi pożegnalnymi mowami potrafiły się przedłużać. Sołtys Bździszewa był obrażony za zerwanie współpracy i nie mógł zrozumieć, dlaczego jego syn, właściciel zakładu pogrzebowego, nie mógł sobie dorobić trochę na boku.

Ciekawe, czym teraz mnie zaskoczy, zastanowił się Bob. Był przekonany, że czegokolwiek sołtys by nie zaproponował, nie zgodzi się na to. Miał po dziurki w nosie miejscowego cwaniaczka i nie zamierzał nigdy więcej współpracować z tym śliskim typem. Potem jednak, po chwili zastanowienia, wpadł mu do głowy pewien pomysł. Rozłożył go na czynniki pierwsze, następnie złożył ponownie i nadal wszystko mu pasowało.

– Świetnie! – Zatarł z zadowoleniem ręce. – Już ja was wszystkich urządzę! – warknął.

Czternaście miesięcy później na świeżo powstałym odcinku autostrady nastąpiło uroczyste przecięcie wstęgi. W cichym szumie kamer i suchych trzaskach fleszy sam premier ucisnął Bobowi prawicę, wylewnie dziękując za trud włożony w budowę. Były przemówienia, obietnice dalszego rozwoju sieci autostrad i poprawy koniunktury regionu – innymi słowy, typowy dla władz propagandowy bełkot.

Bob stał nieco z boku i w odpowiednich momentach kiwał twierdząco głową lub uśmiechał się. Oficjalnie niczego nie zadeklarował ani niczemu nie zaprzeczył. W głębi duszy wiedział jednak, że przedź wsadzi sobie w tyłek łaskę dynamitu i podpali lont, niż weźmie jeszcze jakąś budowę w Polsce.

– Już wolałbym robić dwunastopasmówkę w Kambodży niż cokolwiek tutaj! – powiedział rano Marcie. – Moja noga nie odcisnie tu więcej choćby pół śladu!

Ostatnie czternaście miesięcy było dla niego okresem wytężonej, ciężkiej, ale na szczęście w miarę spokojnej pracy. Po pewnej plenerowej imprezie uwolnił się od ekologów i natrętnego sołtysa. Średnio raz w miesiącu siadał z Martą przed telewizorem i puszczał płytę DVD z nagraniami z owej imprezy. Śmiali się wówczas do łez i do bólu brzuchów, a było z czego.

Biesiada odbyła się w Domu Pogrzebowym Wieczność w Bździszewie. Przylegał on do cmentarza, więc część wydarzeń siłą rzeczy przeniosła się także tam. Główny ekolog wygrał zjazd z pobliskiego pagórka w trumnie z doczepionymi kółkami. Jako jedyny tak pokierował pojazdem, że idealnie trafił do

świeżo wykopanego grobu. Miał problemy, żeby się z niego wydostać, ale pomogli mu w tym koledzy. Ktoś doszukał się podobieństwa tej akcji do powstania z grobu zombie, więc przez następną godzinę wszyscy chodzili pokracznie powyginani, krzywili twarze w kretyńskich minach i straszili się upiornym wyciem.

Son sołtysa był bezapelacyjnym zwycięzcą konkursu na jazdę karawanem. Niby nic trudnego, ale aby był jakiś smaczek tej zabawy, należało jeździć po ósemce z otwartą klapą i niezabezpieczoną trumną w środku. Ten, kto ją zgubił, odpadał z zawodów. Parę trumien zostało przy okazji doszczętnie potłuczonych. Zrzucano je na stos, a potem podpalono. Ognisko było imponujące.

Nikt nie zwrócił uwagi na to, że zbyt blisko niego zaparkowany był beczkowóz zięcia sołtysa. Szambiarka w głośnym pierdud wyleciała w powietrze, obryzgując wszystkich i wszystko dookoła półpłynną zawartością beczki. Plenerowa impreza przeszła wówczas krótki etap gwałtownego zwracania treści żołądków uczestników.

Sołtys miał jednak głowę na karku i zarządził szturm na hydrant, który stał przy remizie Ochotniczej Straży Pożarnej w Bździszewie. Ubabrana w gównie, zarzygana i przede wszystkim mocno pijana wataha rzuciła się w te pędy dokonać ablucji. Wśród śmiechów i pisków myto się wzajemnie – dokładnie, sumiennie, nie pomijając nawet miejsc intymnych. Wynajęty uprzednio kamerzysta rejestrował zaś przebieg wydarzeń ze wszystkimi szczegółami z beznamiętnym spokojem i pełnym profesjonalizmem.

Bob często wracał myślami do spotkania, które miało miejsce dzień po plenerowej imprezie w Bździszewie. Zaprosił do siebie mocno skacowanego sołtysa i wciąż jeszcze nietrzeźwego przedstawiciela ekologów. Zaprezentował im wybrane, co ciekawsze fragmenty nagrań, a następnie oznajmił, że ma nadzieję nie widzieć ich nigdy więcej. Zagroził, że jeżeli któryś przekroczy próg jego gabinetu, upubliczni cały kompromitujący film w społecznościowych mediach. Co innego bycie pijanym, taniec w mokrym podkoszulku lub macanki z chippendalesami. Niby wstyd, ale w dzisiejszych czasach nie taki znów bardzo. Nagrania z pierwszej imprezy zbytnio nie nadawały się do szantażu. Druga impreza pozamiała jednak wszystko. Nie było chętnych, żeby chwalić się wziętym w niej udziałem.

Bob zyskał wreszcie upragniony spokój. Nadal użerał się z dostawcami, nadal musiał wyklócać się o zmianowość pracy, o wysokość stawki za nadgodziny i wciąż tonął w papierologii, ale z tym sobie jakoś poradził. Doprowadził budowę autostrady do szczęśliwego końca. Wreszcie mógł wyjechać z tego pogiętego do kwadratu kraju i odetchnąć z ulgą. Płytę DVD podpisaną „Impreza plenerowa w Bździszewie, Polska” postanowił ustawić w domu na półce na honorowym miejscu. Był przekonany, że jeszcze wielokrotnie będzie odtwarzał ten film.

Show must go on

Dla wielkiego cyrku Złota Obręcz czasy świetności dawno już minęły. Kiedyś przedstawienia, jakie dawał, ściągały tysiące rozentuzjzmowanych widzów, przynosząc przy okazji tysiące kredytów zysku. Najlepsi żonglerzy w galaktyce swoimi popisami zapierali oglądającym dech w piersiach, a podniebni akrobaci wywijali na trapezach takie salta i piruety, że aż brakowało słów, aby je opisać. Treserzy dzikich zwierząt z najdalszych zakątków wszechświata przysparzali Złotej Obręczy równie wielką sławę, zaś Boski Donatelli na jednokołowym rowerku swoimi wyczynami wprawiał widzów w kompletne osłupienie, zaprzeczając momentami istnieniu grawitacji. Wszędzie, gdzie lądował wielki cyrk, witano go z prawdziwym entuzjazmem, każde miasto i miasteczko marzyło wprost, aby najśłynniejsi artyści zagościli właśnie w ich progach. Złota Obręcz witana była z otwartymi ramionami, a bilety na dawane przez nią przedstawienia wykupywane były co do jednego już na kilka miesięcy przed zapowiedzianym lądowaniem.

Nie było w tym nic dziwnego. Występy dwóch obcych, pokracznych Tollonitów przebranych za klaunów sprawiły, że widzowie zrywali wprost boki ze śmiechu. Mistrz Juan Rodriguez de la Ballardo trafiał swoimi wymyślnymi nożami w najmniejsze nawet cele z każdej możliwej pozycji, w dodatku z przepaską zawiązaną na oczach, a w specjalnej wersji programu dla dorosłych erotyczny show anielskiej Centauryjki Antrelyi bił wszelkie rekordy popularności. Złota Obręcz nie miała sobie równych w tych czasach. Żaden inny cyrk nie dorastał jej nawet do pięt. Wszystko, co piękne, ma jednak kiedyś swój koniec, a po dobrych czasach przychodzą te gorsze albo, tak jak w przypadku najślawniejszego cyrku w galaktyce, te zupełnie złe.

Pewnego razu Złota Obręcz po serii niezwykle udanych przedstawień danych na planecie Electra przemieszczała się dostojnie w kierunku drugiego świata tego systemu. Nosił on dziwaczną nazwę Morski Koń, którą w głównej mierze zawdzięczał temu, że dominującą formą życia na tej planecie do momentu pojawienia się człowieka był bezkręgowiec przypominający swoim wyglądem ziemskiego konika morskiego. Złota Obręcz nigdy jednak tam nie dotarła. W wyniku awarii atomowych silników doszło do eksplozji automatycznej kapsuły, przewożącej bagaże i rekwizyty artystów cyrkowych. Cała zawartość kapsuły rozpylona została na pojedyncze molekuly, które z niebywałą szybkością uzyskaną w chwili wybuchu rozprzestrzeniły się w próżni we wszystkich możliwych kierunkach.

Dyrektor cyrku Poul van der Hervendt nie stracił jednak dobrego humoru. Odwołał wszystkie zaplanowane uprzednio przedstawienia na Koniu Morskim i skierował główny statek Złotej Obręczy z powrotem na Electrę. Na miejscu wynajął sprawnych adwokatów, którzy okrągłymi sumami udobruchali zawiedzionych mieszkańców Morskiego Konia. W ten sposób opróżnił prawie całkowicie kasę Złotej Obręczy. Był jednak dobrej myśli, licząc, że pieniądze na kupienie nowej, automatycznej kapsuły i rekwizytów dla swoich artystów uzyska z funduszy, które zainwestował na giełdzie.

Ogólnogalaktyczna Giełda Papierów Wartościowych z siedzibą na Einsteinie IV rządziła się jednak swoimi nieubłaganymi prawami. Dyrektor van der Hervendt wykupił duży pakiet akcji firmy budowlanej Galakt-Big-Bud. Przedsiębiorstwo było prężne, wszyscy maklerzy przepowiadali mu świetlaną przyszłość, twierdząc, że lada chwila jego akcje pójną gwałtownie w górę, osiągając rekordowe, niebotyczne wręcz pułapy. Dyrektor Złotej Obręczy, skuszony takimi perspektywami, zainwestował większość zarobionych przez cyrk pieniędzy. Pech chciał, że Galakt--Big-Bud zbankrutował wkrótce potem. Podobno z dwóch powodów. Olbrzymią część środków materialnych firmy zgromadzono na oceanicznej planecie Arkan, która została całkowicie zniszczona w trwającej od kilku lat i zataczającej coraz szersze kręgi wojnie z wrogimi ludzkiej cywilizacji Kammedyjczykami. Drugim powodem była korupcja na najwyższych szczeblach kierowniczych przedsiębiorstwa. Powody te miały jednak stosunkowo niewielkie znaczenie wobec faktu, że jakie by w końcu nie były, Poul van der Hervendt nieodwracalnie utopił dobrych kilkanaście milionów kredytu w całkowicie bezwartościowych akcjach.

Złota Obręcz, największy i najpopularniejszy cyrk w galaktyce, stanęła nagle w obliczu poważnego kryzysu finansowego. Jej słynni artyści mieli zagwarantowane kontraktami zadowolające gaże w zamian za występy. Nie mogli jednak występować pozbawieni wszystkich swoich rekwizytów i gadżetów. Ich pracodawca nie miał z kolei za co ich odkupić. Sprawa jego fatalnej w skutkach inwestycji finansowej na Ogólnogalaktycznej Giełdzie Papierów Wartościowych stała się na tyle głośna, że nikt nie chciał pożyczyć mu jakichkolwiek pieniędzy, nie mówiąc już o potrzebnych, całkiem sporych sumach.

Część artystów nie otrzymała należnych im wypłat i zerwała kontrakty. Odeszła anielska Antrelya, nie chcąc prezentować swoich niebывałych wdzięków za darmo. Z pracy w Złotej Obręczy zrezygnowało również dwóch treserów olbrzymich, srebrnych breglanów z Commorii i jeden treser głupich, wielkouchych strzebrzyków z Commorii II. Rzucili dyrektorowi wypowiedzenia na biurko i odchodząc, zabrali swoich podopiecznych. Mały, czworonożny Altarianin, zatrudniony jako główny księgowy wielkiego cyrku, zmarł nagle na coś, co od biedy można by uznać za odpowiednik ludzkiego zawału serca, a Poul van der Hervendt jako ostatni jego pracodawca obciążony został niebывałymi wprost kosztami jego rytualnego pogrzebu. To ostatecznie doprowadziło Złotą Obręcz na skraj finansowej przepaści. Pasja życia Poula van der Hervendta z ekskluzywnego, wielce dochodowego przedsięwzięcia zmieniła się w trzeciorzędną trupę cyrkową, pogrążoną po uszy w długach. Dorobek jego całego życia obrócił się wniwecz, co ostatecznie doprowadziło go w bardzo krótkim czasie do alkoholizmu.

Jego pech nie skończył się jednak na tym. W alkoholizm popadł również boski Donatelli, który na swoim jednokołowym rowerku zdolny był już tylko do kilku pokracznych rund wokół areny. Jego występy, nagradzane kiedyś gromkimi owacjami na stojąco, teraz były zwyczajnie wygwizdywane. Mistrz Juan Rodriguez de la Ballardo nadal rzucał swoimi nożami, jednak narkotyki, od których się uzależnił, popsuły tak fatalnie jego skuteczność, że van der Hervendt zabronił mu w ogóle wychodzić na arenę.

W zasadzie z czasów dawnej świetności została jedynie dumnie brzmiąca nazwa. Zmieniło się praktycznie wszystko inne, co najbardziej dało się zauważyć, patrząc na widzów zasiadających wokół areny. Żałosny, trzeciorzędny cyrk przestał być mile widziany na centralnych, wysoko rozwiniętych planetach galaktyki. Przestano go gdziekolwiek zapraszać, a oferty, jakie składał, rozpatrywane były

praktycznie zawsze odmownie. Złota Obręcz musiała w związku z tym zmienić miejsce działania i przeniosła się w mniej cywilizowane obrzeża galaktyki. Dawała występy na najbardziej zacofanych planetach tego obszaru, stopniowo obniżając i tak już niski poziom oferowanych rozrywek.

Po ponad pół roku włóczenia się po takich właśnie światach i przeszło dwustu zakończonych mniejszą lub większą kląpą przedstawieniach wystawianych dla mało inteligentnej publiczności podupadający coraz bardziej cyrk skierował się ku górniczej planecie o szumnej nazwie Diament. Odkryta została ona przez Marca Silvestrio, narwanego, romantycznego badacza kosmosu, owładniętego manią znalezienia legendarnej planety z czystego uranu. Swoją nazwę zawdzięczała temu, że Silvestrio tuż po wylądowaniu na niej znalazł na morskiej plaży kilka całkiem sporych diamentów. Ogłosił to odkrycie wszem wobec, nie zastrzegając sobie żadnych praw do tego świata, po czym odleciał dalej kontynuować poszukiwania upragnionego Uranosa.

Nic więc dziwnego, że wkrótce potem o planecie Diament mówiło pół galaktyki, a na jej powierzchni wylądowały tysiące awanturników, którzy chcieli się szybko wzbogacić, zbierając diamenty na plaży. Rzeczywistość, jak to zwykle w takich przypadkach bywa, okazała się nieco inna. Cenne kryształy, owszem, były na tym małym świecie, ale żeby ich wydobycie było opłacalne, należało zbudować kilka kopalń. I zbudowano je. Diament stał się typowo górniczą planetą, gdzie wielkie zyski czerpali właściciele szybów, a zatrudniani przez nich górnicy zarabiali psie pieniądze przepijane co do grosza przy pierwszych nadarżających się ku temu okazjach w napotkanych przy drodze barach. Wkrótce potem okazało się, że złoża diamentów nie są wcale takie bogate, jak to się wydawało na początku.

Szczęśliwie po ich wyczerpaniu odkryto średnio zasobne rudy cynku i manganu. Metale te nie osiągały zawrotnych cen na hurtowych rynkach zbytu, ale zawsze można było na nich choć trochę zarobić. W dalszym więc etapie rozwoju górnictwa na Diamencie część górników zwyczajnie wyleciała z pracy, a pozostała część pracowała za jeszcze marniejsze pieniądze niż dotychczas. Szum wokół planety stopniowo cichł, aż wreszcie ucichł prawie całkowicie. Jej mieszkańcy systematycznie i nieubłaganie ubożeli, a wielu z nich zwyczajnie opuściło to chylące się ku upadkowi miejsce. Przybyli za to nowi, specyficzni osobnicy. Na małej, górniczej planecie zaroilo się od fałszerzy, przemytników, handlarzy narkotyków, najemnych rewolwerowców i wszelkiego rodzaju innych przestępców, którzy traktowali ją jako swoją bazę wypadową.

Ku tak właśnie przemienionemu Diamentowi kierował się wielki niegdyś, a podupadły teraz cyrk. Jego statek transportowy wylądował na obrzeżach stolicy tej małej planety w późnych godzinach popołudniowych. Tylko paru gapiów przyszło zobaczyć ten moment. Nikt z nich jednak nie pozostał, aby obejrzeć proces wznoszenia wielkiego namiotu czy stawiania mniejszych baraków mieszkalnych. Trochę przed północą na plac cyrkowy przyczłapał jakiś pijany gość, pytając bełkotliwie, kiedy będzie mógł zobaczyć jakiegoś klauna. Wyproszono go stanowczo, zapraszając jednocześnie na dzień następny, na godzinę osiemnastą. Wówczas to miał się rozpocząć wielki i niepowtarzalny show, jaki Złota Obręcz da na Diamencie. Uspokojony tym wyjaśnieniem pijaczyna zasnął gdzieś w pobliskim rowie.

Władze cyrku dotrzywały danej obietnicy i punktualnie o osiemnastej rozpoczęło się przedstawienie. Dwóch zonglerów występujących na samym jego początku wygwizdano i obrzucono stekiem bluźnierstw. Konferansjera, który próbował uspokoić w większości pijaną lub naćpaną widownię, skutecznie uciszyła rzucona butelka po piwie, która z impetem trafiła go w głowę. Mrożący

teoretycznie krew w żyłach popis treserski, polegający na włożeniu obu rąk w przepastną paszczę zębiarza z Mampany, zamiast trwogi wzbudził zwykły śmiech. Wśród coraz głośniejszych gwizdów i przekleństw na arenę poleciały kolejne butelki po piwie i inne śmieci. W jednym końcu widowni wybuchła bójka. Dwie kobiety, zajmujące się podniebną akrobacją, w ogóle nie rozpoczęły swoich popisów. Nikt nie chciał ich oglądać, za to prawie wszyscy jednogłośnie domagali się, aby obie panie zrobiły striptiz. Bójka w końcu widowni zataczała coraz większe kręgi.

Boski Donatelli również nie uratował przedstawienia. Był kompletnie pijany i z trudem utrzymywał równowagę na swoim jednokołowym rowerku. O jakichkolwiek sztuczkach w takiej sytuacji nie mogło być mowy. Na widowni rosła stopniowo wrzawa. Do porządnej już bójki przyłączały się coraz to nowe osoby, a w ruch poszły kastety, noże i wyrwane z ławek deski. Raz dał się zauważyć nawet krótkotrwały, charakterystyczny błysk pistoletu laserowego.

Zaniepokojony tym zamieszaniem dyrektor van der Hervendt wyszedł na arenę zobaczyć, co się dzieje. Potknął się o nieprzytomnego konferansjera i wyłożył się jak długi, co prawdopodobnie uratowało mu życie. W chwili, gdy upadał, cyrkowym namiotem targnęła eksplozja. Charakterystyczne, wysokie wizgi, jakie się po niej rozległy, jednoznacznie sugerowały, że ktoś z walczących wokół areny ludzi odbezpieczył i rzucił wieloodpryskowy granat obronny. Dyrektor cyrku poczuł ostre ukłucie na prawym policzku. Odgłosy wielkiej bijatyki w jednym momencie zastąpione zostały wrzaskami bólu i krzykami agonii. Leżąc ciągle na ziemi z krwawiącym, rozciętym przez odłamek granatu policzkiem, Poul van der Hervendt pomyślał smutno: „To już koniec Złotej Obręczy. Więcej przedstawień nie będzie”.

Na widowni robiło się stopniowo coraz ciszej. Połamane w bójce ławki spływały obficie krwią zabitych i rannych. Kilka przytomnych jeszcze osób próbowało podnieść się chwiejnie na nogi z różnorodnym skutkiem. W jednym końcu widowni spod sterty połamanych desek wygramolił się znajomy pijaczek. Oparł się rękami o balustradę, beknął donośnie i wydarł się na całe gardło:

– No co jest, do kurwy nędzy? Gdzie są te pieprzone klauny?

Poul van der Hervendt powoli wstał, otrzepał brudny, wygnieciony, pamiętający lepsze czasy garnitur i z malującym się na twarzy wyrazem całkowitej rezygnacji klasnął dwukrotnie w dłonie. Rozległa się muzyka. Z czterech głośników działał tylko jeden. W rytm obrzydliwie skocznej melodii na arenę wyszło dwóch pokracznych Tollonitów w śmiesznych strojach i maskach klaunów.

– No dalej, chłopaki! – wrzasnął pijaczek z widowni, a oni rozpoczęli swój artystyczny występ.

Poul van der Hervendt śmiał się z niego do łez. Nigdy by nie przypuszczał, że ci dwaj obcy mogą być aż tak zabawni. Co chwila razem z pijaczkiem bili gromkie brawa. W oddali słychać było wycie policyjnych syren. Kiedy patrolowe wozy lokalnych sił porządkowych hamowały z piskiem opon przed zniszczonym namiotem cyrku Złota Obręcz, przedstawienie trwało w najlepszej.

Nagranie

Khmm. Kykhmm. Hhrryp. Blurp.

Początek nagrania:

Ludzkie ciało jest dziwne. Tak wiele w nim kontrastów. Z jednej strony potężne, silne i wspaniałe, z drugiej małe, słabe i kruche. Raz zaskakująco sprawne i precyzyjne, innym zaś razem niezgrabne i ograniczone. Zawsze zastanawiało mnie to, czy możliwe jest połączenie tych wszystkich przeciwstawnych cech naraz. Okazało się, że tak, a odpowiedź jest prosta – ciało człowieka. Nieodgadniona, wybuchowa mieszanka sprzeczności, skomasowanie niesamowitych możliwości i ich całkowitych braków.

Szkoda, że miałem tak mało czasu na dogłębne zbadanie tego zajmującego tematu, że zabrakło mi kilku wolnych chwil na to, żeby dowiedzieć się, co jeszcze mogę zrobić i czego zrobić nie dam rady. Podejrzewam zresztą, że czasu nie starczyłoby mi nawet wtedy, gdybym miał do dyspozycji całe życie, a to ze zrozumiałych względów nie wchodzi w rachubę. Trudno, nic na to nie poradzę. Niemniej nie mam powodów do narzekania i dalsze biadolenie w takiej sytuacji byłoby z mojej strony całkowicie nie na miejscu. W końcu dowiedziałem się niesamowicie dużo, moje obserwacje starczą na wiele lat studiów, a fakt, że studia te będą niekompletne, ma raczej drugorzędne znaczenie. Nie chciałbym jeszcze przerywać moich badań, ale skoro nie ma innego wyjścia – trudno. Może ktoś inny dowie się tych wszystkich rzeczy, których ja nie zdążyłem. Może jeszcze kiedyś uda mi się poznać odpowiedzi na szereg nurtujących mnie wciąż pytań.

Jedno z nich brzmiało na przykład tak: jak głęboko można wepchnąć palec do otworu nosowego? Miałem do niego całe mnóstwo pytań pomocniczych. Jeżeli wepchnąć oba palce do obu otworów nosowych jednocześnie, to czy w którymś momencie palce te zetkną się ze sobą? A w ogóle to po co ludzie wkładają sobie palce do nosa? Czy to sprawia im przyjemność? Nie wiem. Żałuję, że nie mam wystarczająco dużo czasu, żeby to zbadać. Kilkakrotnie widziałem taki rodzaj ludzkiego zachowania na ulicy, w autobusie albo w kawiarni i wydał mi się on wielce frapujący, tym bardziej że większość ludzi starała się wykonywać tę czynność ukradkiem. Bardzo ciekawe.

Mam nadzieję, że poznam kiedyś rozwiązanie tej zagadki. Innych także. Mam ich całą listę. Sporządziłem ją na samym początku mojej misji i w miarę zdobywania kolejnych doświadczeń i odpowiedzi stopniowo wykreślałem z niej niektóre pozycje. Wykreśliłem ponad sto i myślę, że jest to nie byle jaki powód do dumy. Wiele razy słyszałem opinię, że mam bardzo dociekliwy umysł, i jak widać, osądy te nie były pozbawione racji. Szkoda tylko, że mimo to na mojej liście pozostało drugie tyle niewykreślonych pozycji.

Te szczególnie interesujące zaznaczyłem czerwoną obwódka. Na przykład: po co ludzie pukają się w głowę? W żaden sposób nie potrafię udzielić odpowiedzi na to pytanie. Sam wielokrotnie pukałem się w głowę. Robiłem to różnymi palcami, z różną siłą, pod najróżniejszymi kątami i chyba w każdej z możliwych miejsc. I nic! Jedno, co mogę stwierdzić z całą pewnością, to fakt, że nie sprawia to raczej przyjemności i czynność ta pozbawiona jest znaczących efektów akustycznych. A przecież ludzie robią to na okrągło w tak wielu sytuacjach i miejscach, że nie sposób tu wszystkie wymienić. Jakiś cel muszą w tym mieć, tylko jaki? Niestety, nie zdążyłem się tego dowiedzieć.

Nie dowiedziałem się również, czemu w niektórych momentach lecą ludziom z oczu krople słonej wody i drży im podbródek. Moje analizy wszystkich zaobserwowanych przypadków tego rodzaju zachowania spełzły dokładnie na niczym. Przecież ludzki organizm zna o wiele doskonalsze sposoby utraty zbędnej wody. Wspomnę tu tylko chociażby o oddawaniu moczu, parowaniu potu czy oddychaniu. Są to tak wydajne metody pozbycia się nadmiaru płynów, że wydzielanie kilku kropel przez oczy wydaje mi się całkowicie pozbawione sensu. Chcąc nie chcąc, jedyny poprawny wniosek, jaki mogłem wyciągnąć z moich obserwacji na ten temat, był taki, że oko jest jednocześnie narządem zmysłu i narządem wydalniczym. Jaką w takim razie rolę pełni drgający podbródek? Nie mam pojęcia.

Nie ulega wątpliwości fakt, że ludzkie reakcje, zwłaszcza w kontaktach z innymi osobnikami swojego gatunku, są niesłychanie złożone i ich analiza wymagałaby wielu lat studiów, które i tak nie rozstrzygnęłyby pewnie wszystkich wątpliwości. No bo jak na przykład zinterpretować fakt przestępowania z nogi na nogę? To zachowanie wydaje mi się szczególnie bez sensu. Przecież ludzie mają dwie kończyny dolne! Obie wyglądają tak samo i są tak samo sprawne. Po co więc w czasie, gdy z kimś rozmawiają lub na kogoś czekają, stoją raz na jednej, raz na drugiej nodze zamiast na obu jednocześnie? Rozwiązanie tej zagadki przekracza chyba zdolności mojego pojmowania. Może w przyszłości rozwiążą ją mądrzejsi ode mnie, bo mój dociekliwy umysł z wyjątkiem przy tym wysiada. Przepraszam za to nienaukowe stwierdzenie, ale chyba jest ono dla was w miarę zrozumiałe. Mimo usilnych prób przeciwstawiania się przejąłem do swojego słownika kilka ludzkich zwrotów. Kto z kim przestaje, takim się staje. To też jedno z ludzkich powiedzonek.

Z przykrością muszę stwierdzić, że nie zdążyłem zbadać równie wielkich obszarów innej dziedziny wiedzy. Chodzi mi o fizjologiczne możliwości ludzkiego ciała. Dowiedziałem się wielu rzeczy, ale o wielu wciąż nie mam najmniejszego pojęcia. Na przykład czy żołądek człowieka potrafi wszystko strawić. Podejrzewam, że tak, choć są to tylko moje podejrzenia. Jadłem w ramach eksperymentów różne owoce, warzywa, mięso, kartkę papieru, klej biurowy i pastę do zębów oraz piłem wodę, kefir, sok z gnijących ogórków, zwanych przez ludzi korniszonami, oraz czysty etanol. Nic mi się nie stało. Po etanolu co prawda rozmywał mi się obraz i miałem kłopoty z utrzymaniem równowagi, ale po pewnym czasie wszystko wróciło do normy. Na podstawie wyników tych doświadczeń sądzę, że człowiek jest wszystkożerny i wszystkopiorny, choć jeszcze raz podkreślam, że problem ten wymaga dokładniejszej analizy. Z powodu braku czasu moja jest bardzo powierzchowna.

Nie wiem także, do czego są potrzebne człowiekowi palce u nóg. U rąk rozumiem – długie, giętkie, bardzo sprawne. Zwłaszcza kciuk ze swoją zdolnością przeciwstawiania i obwodzenia. Palce rąk są chwytne, precyzyjne, w zależności od potrzeb silne lub delikatne. A palce u nóg? Małe, grube, ledwo można nimi poruszać, a na dodatek często jeszcze śmierzdzą. Po jaką cholere człowiekowi palce u nóg?

Przepraszam, znowu te nienaukowe określenia. Zdaje się, że wychodzi ze mnie frustracja. Z drugiej jednak strony jak tu można nie być sfrustrowanym, kiedy nie udaje się znaleźć odpowiedzi na takie

proste pytanie? Albo na przykład dlaczego ludzie nie ruszają uszami? To może wydawać się wam bardzo głupie, ale tak jest naprawdę! Oni nie poruszają uszami ani trochę! Jeżeli źle słyszą jakiś dolatujący do nich z oddali dźwięk, to odwracają w jego kierunku głowę, a nawet cały tułów! Bez sensu, prawda? Wydatek energetyczny na skurcz szeregu mięśni, aby obrócić tułów, jest nieporównywalnie większy od analogicznego wydatku, gdyby zastrzyc uszami. Całkowicie nieekonomiczne działanie. Zresztą ludzkie uszy to w ogóle jedna wielka zagadka. Niby podobne do siebie, ale każdy człowiek ma inne, zaś samych przyczyn różnorodności kształtów małżowin usznych nawet nie próbowałem zgłębiać. To nie na moją głowę.

Dobrze! Koniec tej pogawędki! Czas mi się kończy, więc muszę przejść do sedna sprawy. Całą wspomnianą uprzednio listę moich pytań wraz ze wszystkimi odpowiedziami, jakie udało mi się uzyskać, nagrałem na standardowy nośnik informacji. Są na nim również moje wnioski, przypuszczenia i sugestie. Zebrałem wszystkie obserwacje dotyczące ludzkiego ciała oraz międzyludzkich kontaktów i utrwaliłem je na tym nośniku w obawie przed zaprzepaszczeniem wyników przeprowadzonych badań. Umieszczę go w umówionym wcześniej miejscu wraz z płytką dźwiękonośną, którą obecnie nagrywam. Być może to zbędna asekuracja z mojej strony, ale wolę być w ten sposób zabezpieczony.

Jak już wcześniej wspomniałem, moje studia nad człowiekiem są bardzo powierzchowne. Jest to gatunek całkowicie nieprzewidywalny i nieobliczalny, a w związku z tym, że moje badania wkroczą niebawem na decydujący etap, wzrasta ryzyko zdemaskowania i zakończenia mojej misji fiaskiem. Nie mam żadnej pewności, czy uda mi się powrócić z zadania, które za niecałe pół godziny ziemskiego czasu zamierzam zacząć wykonywać. Stąd właśnie te wszystkie środki ostrożności.

Jesteście pewnie ciekawi, co to za zadanie, prawda? Powiem wam, to żadna tajemnica. Otóż ja, Arson dru Amec III, syn Arsona dru Ameca II, potomek Badaczy Przeszłości i Ras, Altarianin z plazmy i ości, będąc zdrowy na umyśle i w ciele człowieka, udaję się w prawdopodobnie samobójczej misji na spotkanie zwane przez ludzi randką, cokolwiek ta nazwa oznacza.

Koniec nagrania.

Blurp. Blurp.

Rum

Rum z ciężkim westchnieniem usiadł przed komputerem. Wpisał login i hasło, po czym z miną skazańca czekającego na ogłoszenie wyroku nacisnął enter. Chwilę potem ponownie ciężko westchnął. Na ekranie wyświetliło się sto kilkanaście e-maili, z czego ponad połowa miała oznaczenie jako priorytetowe. Zapowiadała się ciężka praca. Pierwszy dzień po urlopie zawsze taki był. Mimo iż spodziewał się takiej sytuacji, i tak poczuł się przytłoczony. Dopiero co minęła ósma rano, a on już stracił zapał do roboty. Powinno być odwrotnie – po tygodniu wolnego liczył na więcej wewnętrznej energii. Nic z tego. Nie chciało mu się dokładnie tak samo jak przed urlopem.

Chyba się wypaliłem, pomyślał Rum, nie mogąc zdobyć się na otwarcie pierwszej wiadomości. Zmierzył gęstą, czarną brodę, zaczesał równie gęste i czarne włosy do tyłu, po czym ciężko westchnął po raz trzeci. Doszedł do wniosku, że bez mocnej kawy nie da rady tego wszystkiego ogarnąć. Poszedł więc do pokoju socjalnego i nastawił czajnik. Do szklanki wsypał dwie czubate łyżki mielonej arabiki. Kompletnie zignorował kawowy ekspres stojący tuż obok. Był hipsterem z przekonania, a nie z powodu mody. Uważał, że latte z odtuszczonego mlekiem, podana w naczyniu niewiele większym od naparstka, dobra jest dla pedałów, a nie dla prawdziwych facetów. Czajnik zabulgotał i brzdęknął, oznajmiając koniec gotowania. Rum zalał kawę, dosypał do niej cukru i zamieszał. Końska dawka kofeiny i glukozy była za gorąca, żeby od razu jej skosztować, więc ze szklanką w ręku skierował się ku wyjściu.

W drzwiach natknął się na ostatnią osobę, którą tego dnia chciałby spotkać w pracy. Katarzyna Mojek była asystentką szefa. Zachowywała się jednak tak, jakby to ona sama szefowała firmie. Wkurzała go każdym przerysowanym gestem, każdym słowem i na każdym kroku. Braki w kompetencjach nadrabiała makijażem i krótkimi spódniczkami, co szefowi wyraźnie się podobało. Rum słyszał kiedyś plotki, że asystentka w pracy zmieniała się w kochankę po pracy. Nie obchodziło go to ani trochę i nawet jeśli nie było prawdą, niczego nie zmieniało w odbiorze jej osoby. Uważał ją za korporacyjną sukę, bez względu na to, czy bywała w łóżku szefa, czy szef bywał w jej.

– O! Pan Cajs! Jednak pan przyszedł do pracy.

– Tak, przyszedłem – odparł Rum. – Miałem nie przychodzić? Ktoś mnie zwolnił podczas urlopu?

– Och nie, nie! Nic z tych rzeczy – sztucznie zaśmiała się Mojek. – Przechodziłam obok stanowiska pańskiej pracy i było ono puste. – Zabrzmiało to jak wyrzut.

– I postanowiła pani mnie poszukać? – Rum był zbyt doświadczony w takich gierkach, żeby przyjmując postawę winnego. – Oto jestem! – dodał, zanim Mojek zdążyła coś odpowiedzieć. – Czym mogę służyć?

Asystentka szefa spojrzała na niego spode łba.

– Mamy napięte terminy. Zbliżają się deadlajny kilku ważnych projektów, a nie wszyscy jeszcze wrócili z urlopów. Proszę zakasać rękawy i ostro wziąć się do pracy! Przerwy na kawę proszę ograniczyć do niezbędnego minimum!

– To jest polecenie szefa czy pani? – Rum był oazą spokoju.

Mojek wręcz przeciwnie – na jej policzkach zagościł rumieniec złości.

– A jakie to ma znaczenie? – Kiedy była zdenerwowana, jej głos podnosił się i stawał piskliwy.

– A takie, że pani polecenia mam w głębokim poważaniu. Nie jest pani moją przełożoną, a pohukiwać i ustawiać po kątach może pani swoje przyjaciółki z palarni. Mnie kawa stymuluje do pracy, natomiast kopczenie śmierdzących trocin – to dopiero jest marnowanie czasu.

Rum nie raz widział, jak asystentka szefa urządziła sobie pogaduchy z koleżankami podczas przerwy na papierosa. W dupie miał czyjeś nałogi, ale w sytuacji, gdy on był poganiany przy robieniu kawy, a owe pogaduchy potrafiły przeciągnąć się do pół godziny, uważał, że ma prawo wbić szpilkę w nadętę ego Katarzyny.

– Udam, że tego nie słyszałam – oznajmiła wyniośle. – Poinformuję też szefa, że jest pan impertynencki.

Rum parsknął śmiechem.

– Widzę, że służy pani praca w korporacji. Poznaje pani i coraz śmieiej używa różnych trudnych słów. Biłbym brawo, ale w jednej ręce trzymam kubek. A jak już będzie pani skarżył się na mnie u szefa, proszę nie zapomnieć powiedzieć, kto stał w drzwiach i uniemożliwił mi powrót na stanowisko pracy. Dodam jeszcze, że niezwłoczny powrót tuż po tym, jak zminimalizowałem w czasie wszystkie czynności związane z zaparzeniem kawy.

W Mojek jakby piorun strzelił. Zbladła, potem znów się zaczerwieniła, z drgającą z wściekłości brodą nabrała głęboko powietrza, ale ostatecznie nie pokusiła się o żadną ripostę. Wreszcie chyba dotarło do niej, że w starciu z Rumem nie miała szans, więc bez słowa ustąpiła miejsca i przepuściła go w prog.

Rum czuł, jak jej nienawistny wzrok pali mu plecy, ale nic sobie z tego nie robił. Lata pracy w korporacji sprawiły, że wykształcił w tym miejscu skórę grubą i niewrażliwą na wysoką temperaturę. Szedł spokojnym krokiem w stronę swego biurka, gdy z boku obok wyłoniła się drobna głowa z krótkimi włosami w kolorze blond.

– Cieszę się, że wróciłeś, Rum – przywitała się Tatiana Jachnikova. – Tylko ty potrafisz ustawić tę pindę w pionie.

Nieco zaciągała z racji ukraińskich korzeni, ale Rumowi to nie przeszkadzało, a nawet trochę się podobało. Lubił Tatianę za jej ambicję. Zwracała się z prośbą o pomoc rzadko i tylko wtedy, gdy napotykała problem dużego kalibru – taki, który zwyczajnie ją przerastał.

– Cześć – zdawkowo odpowiedział na powitanie. Chwilę potem postawił szklankę z kawą na blacie biurka i z kolejnym ciężkim westchnieniem zasiadł na obrotowym fotelu. – Dobra! – pogodził się w duchu z oczekującym go nawalem zadań. – Samo się nie zrobi.

Odpalił pocztę i otworzył pierwszego e-maila. Czas najpierw się dłużył, potem jednak przyspieszył swój bieg. Pogrążony w pracy Rum sporadycznie spoglądał na zegar, a ten, mimo że ignorowany przez człowieka, pracowicie przesuwał wskazówki do przodu.

Gdzieś w połowie listy zaległych wiadomości minęło południe. Ruch i gwar w przestrzeni open spejs nasilił się – nastał czas przeznaczony na lunch. Rum nie lubił tej pory w pracy. Czuł się niezręcznie, patrząc, jak inni konsumują, sam też niezbyt chętnie jadał na ich oczach. Z reguły zakładał wówczas słuchawki wytlumiające hałas i udawał, że słucha muzyki. Izolował się od kolegów

i koleżanek, nie angażował się w pseudotowarzyskie życie w pracy. Jadał zaś ukradkiem, szybko przełykając kęsy jakiejś kanapki między jednym e-mailem a drugim. Naraził się przez to na opinię dziwaka. Miał pełną świadomość, że oceny jego zachowania do pochlebnych nie należały. Nie obchodziło go to.

W czasie przeznaczonym na lunch albo pracował, albo pograżał się w marzeniach i wspomnieniach. W pierwszym przypadku znacząco zwiększał efektywność i dzięki temu potrafił uporać się z przydzielonymi zadaniami dużo wcześniej niż inni. W drugim wracał myślami do kraju, w którym się urodził i wychował, a którego nie było już na mapach. Bujał się nieznacznie w fotelu z półprzymkniętymi oczami, a w jego umyśle pojawiały się obrazy okolic Jiczina i przede wszystkim Żacholecki Las.

Mieszkał w nim od wieków i jakoś sobie radził. Niestraszny mu był jaśnie pan hrabia z jiczińskiego zamku, przetrwał różne zawieruchy, z dwiema światowymi wojnami włącznie, i wszystko szło jako tako aż do rozpadu Czechosłowacji. Niby nic – pokojowy, naturalny proces polityczno-geograficzny, ale od tego momentu wszystko zaczęło się psuć.

Kapitalizm rozkwitł pełną gębą. Skończyła się wymiana dziczyzny czy pędzonego nocą bimbru na inne dobra. Zresztą kary za oba procedery były wysokie, żeby nie powiedzieć okrutne. Rum od dawien dawna miał awersję do pieniędzy, przyszło mu jednak żyć w czasach, w których jeśli ich nie miałeś, byłeś nikim. Bardzo nie chciał tego i odwlekał podjęcie ostatecznej decyzji tak długo, jak tylko mógł, w końcu jednak zarzucił wielowiekową tradycję i przestał być rozbójnikiem. Zaczął zarabiać na życie fizyczną pracą.

Za pierwszą wypłatę upił się do nieprzytomności. Była śmiesznie niska i nieadekwatna do wykonanej pracy, ale to nie ona była główną przyczyną tego upodlenia. Rumowi rozpadła się rodzina.

Jego ukochana Hanka zaczęła spotykać się z leśniczym, ten zaś dzięki rodzinnym koneksjom otrzymał intratne stanowisko w nowo powstałym Ministerstwie Gospodarki Czech. Skusił Hankę wizjami wielkiej polityki i bywaniem na salonach. Oznajmiła mężowi, że była mu wierna przez tyle wieków, że najwyższy czas, aby spróbować czegoś innego, że ma prawo do zdrowego egoizmu i że właśnie z niego korzysta. Wyprowadziła się z Żacholeckiego Lasu do Pragi i Rum tyle ją widział.

Ponadto Cypisek przestał być Cypiskiem. Wieczny maluch znudził się rolą sprytnego urwisa. Sobie tylko wiadomymi sposobami uzyskał dojskie do dilerów różnych medykamentów. Przez rok szprycował się hormonami wzrostu i anabolikami. Urósł dzięki temu, zmężniał i kazał na siebie wołać Cypis, a za użycie zdrobniałej formy imienia najpierw się obrażał, a potem wściekał i groził rękoczynami. Rum coraz bardziej tracił z nim kontakt. Nie potrafił zapobiec temu, żeby syn się nie oddalał. Ostatecznie Cypis uznał, że Żacholecki Las to zadupie i że nie chce być do końca życia wieśniakiem. Spakował kilka ciuchów w plecak i pewnego letniego poranka ruszył w świat.

Rum w dniu pierwszej wypłaty upił się więc głównie z żalu i złości na te wszystkie zmiany. Od wieków żył w prostym schemacie i nic nie przygotowało go na taką rewolucję. Niespecjalnie miał jednak co wybrać – nie było alternatywnych rozwiązań, a jeśli nawet były, to nie potrafił ich dostrzec. Jeżeli chciał przeżyć w nowoczesnym świecie, musiał choć przez pewien czas płynąć z jego prądem. I popłynął.

Znajomy z czasów pędzenia nocą bimbru skontaktował go z pewnym fałszerzem. Skrócił imię do pierwszej sylaby, z drugiej utworzył nazwisko. Z nowymi dokumentami, jako Rum Cajs, porzucił pierwszą mało płatną, nigdzie niezarejestrowaną pracę i zgłosił się do pośredniaka jako bezrobotny.

Otrzymał zasiłek i propozycję kursu podnoszącego zawodowe kwalifikacje. W ten sposób zaczęła się jego znajomość z komputerami. Z natury nie lubił zmian, nie zбочył więc później z raz obranej drogi. Z biegiem lat stał się dobrym informatykiem i świetnym programistą. W końcu zaczął zarabiać konkretne pieniądze i jakość życia poprawiła mu się w znaczny sposób.

Wciąż jednak mimo upływu czasu nie potrafił przyzwycząić się do tego nowego świata. W głębi duszy tęsknił do Żacholeckiego Lasu i do chwil, kiedy mógł jiczińskiego hrabiego postrzelić w tyłek z pistoletu nabijanego żołędziami. Życie było wtedy prostsze i cieszyło go dużo bardziej niż teraz.

Z niewesołych rozmyślań o przeszłości i trudnościach z adaptacją do terażniejszości wyrwało go brzęczenie komórki. Rum rzadko dostawał wiadomości. Nie prowadził rozbudowanych relacji towarzyskich, lista kontaktów zapisanych w jego telefonie ograniczała się raptem do kilkunastu pozycji. Najczęściej nadawcą okazywał się operator telefonii, który w postaci SMS-a informował o fakturze za usługi lub o nowych promocjach. Tym razem jednak było inaczej – na wyświetlaczu pojawiło się zaproszenie do gabinetu szefa.

Rum był zde gustowany taką formą komunikacji. Uważał, że nie tak powinno się załatwiać tego typu sprawy. Z drugiej strony czego się spodziewał, pracując w takim miejscu? Korporacja przesiąknięta była czelendżami, deadlajnami, kołczingiem, fitbekami i tak dalej. W świecie, gdzie pary zrywały ze sobą za pośrednictwem Facebooka, formy komunikacji międzyludzkiej w postaci SMS-ów były w zasadzie normą. Nie akceptował tego, ale zmienić też niestety nie mógł. Zdjął słuchawki, wylogował się i wyszedł z boks, kierując się w stronę gabinetu szefa.

Wciąż jednak ta korporacyjna suka naskarzyła na mnie, pomyślał niewesoło.

Nie zależało mu na tym, aby być lubiany. Mógł przychodzić do pracy i wykonywać ją w całkowitym milczeniu. Z założenia chciał robić swoje w spokoju, więc innym też dawał spokój. Nie musiał nawet z nikim rozmawiać. Jednak kiedy ktoś się do niego przypieprzał, nie dawał sobie w kaszę dmuchać. Zwłaszcza gdy było to przypieprzanie się o nic, dla zasady, w wykonaniu osoby upojonej swoją rzekomą władzą i pozycją. Zapukał, usłyszał krótkie „Wejść!”, więc wszedł.

– Pan Cajs – przeciągle powiedział Jaromir Plousek. Był prezesem Praha IT Corp od samego początku firmy. Przez lata spał się na coraz większych pensjach i schamiał, traktując wszystkich z góry. Woził dupsko albo wielką terenówką, gdy chciał zrobić wrażenie na potencjalnych klientach, albo corvetta, gdy liczył na przelotny seks z jakąś naiwną stażystką lub studentką. Na Rumie nie robił wrażenia niczym, a już tym bardziej samochodami. Przedłużająca się cisza była nieprzyjemna, ciężka, coś wisiało w powietrzu. Podwładny nie zamierzał jednak niczego ułatwiać szefowi, stał więc w milczeniu i czekał na rozwój wypadków. – Otrzymałem informację, że zachowuje się pan niegrzecznie wobec innych pracowników firmy – powiedział Plousek.

– Po pierwsze, nie niegrzecznie, tylko adekwatnie do postawy rozmówcy. Na agresję reaguję agresją. Po drugie, rozmawiałem dziś tylko z Katarzyną Mojek, więc liczba mnoga użyta w zarzucie jest bezpodstawna. Uważam, że pańskie źródło danych jest niewiarygodne.

Szef spojrział na niego spode łba.

– Wierzę swojej asystentce – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Innymi słowy, nie wierzy pan mnie. – Rum przedstawił to samo, ale ze swojej perspektywy. – Mamy więc dwa przeciwstawne stanowiska. Po pańskiej stronie decyzja, co z tym zrobić.

Widząc, że podwładny nie zamierza być pokorny i spolegliwy, szef zmarszczył czoło i pochylił nieco głowę. Obniżył i zmienił intonację głosu.

– Panie Cajs! – powiedział. – Jest pan w firmie od samego jej początku. Zaryzykuję nawet stwierdzenie, że jej sukces i aktualna pozycja na rynku to w dużej mierze pańska zasługa.

Rum roześmiał się w duchu. Tak, jasne, zaryzykowałeś. Ciekawe tylko czym? Był nieczuły na puste slogany i nieniosące ze sobą żadnych emocji wyświechtane frazesy. Nie poddawał się także technikom manipulacji, zwłaszcza w tak nieudolnym wykonaniu. Pochylenie głowy? Mars na czole? Obniżenie głosu? Nie ze mną te numery. Nie da się starego misia nabrać na sztuczny miód.

Nieświadomy tego, że jego gra przejrzana została na wylot, Plousek kontynuował:

– Dotychczas byłem bardzo zadowolony z pańskiej pracy, ale sam pan rozumie – nie ma ludzi niezastąpionych. Nie mogę tolerować osoby, która antagonizuje zespół. Rum, proszę cię, chłopie! Ogarnij się!

Na moment w gabinecie znów zapanowała nieprzyjemna cisza. Przerwał ją Rum, odbijając piłeczkę.

– Jaromir, chłopie, sam się ogarnij! Nie zrobiłem niczego złego. Potraktowałem nadętą panienkę tak samo, jak ona traktuje mnie. W nosie mam łączące was relacje, apeluję jednak o profesjonalizm w zarządzaniu zasobami ludzkimi. Jeśli przez owe relacje dajesz się napuścić głupiej lasce na dobrego pracownika, to strzelasz sobie w kolano. Jeżeli ktoś antagonizuje zespół, to właśnie ona.

Plousek był wręcz purpurowy na twarzy po tej wypowiedzi.

– Wypraszam sobie insynuacje na temat mojego związku z Katarzyną!

– A wypraszaj sobie, co chcesz! Powiedziałem ci, że mam to w nosie, choć po twojej reakcji widzę, że tak naprawdę to nie są tylko insynuacje.

– Nie będę tolerował... – Plousek zaczął, ale nie dokończył.

Rum zrobił w jego stronę dwa szybkie kroki. Był wielki, z nastroszonymi włosami i brodą oraz z zaciśniętymi pięściami wyglądał naprawdę groźnie.

– W dupie mam twoje problemy z tolerancją. Możemy się rozstać choćby dziś. Z moimi kompetencjami i doświadczeniem przyjmie mnie każda konkurencja, nawet jeśli wystawisz mi wilczy bilet. – Zrobił dwa kolejne kroki i oparł ręce o blat biurka. Szef zdawał się kurczyć pod jego pełnym złości wzrokiem. Pokażny brzuch uniemożliwiał jednak zsuniecie się z fotela i poszukanie bezpiecznego schronienia pod biurkiem. – Wykaż się, Jaromir, zdrowym rozsądkiem i podejmij jakąś decyzję. – Rum nie ustawał w ataku. – Wierzysz pracownikowi, który pomagał ci stworzyć tę firmę, czy pustej lalce, która dla kariery w korporacji rozkłada przed tobą nogi? – Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi. – Wracam do swojego boksu i dalej pracuję. Do końca zmiany masz czas, aby mnie tam odwiedzić. Albo zrobisz to z przeprosinami, albo z wypowiedzeniem.

Stojąc w progu, jeszcze raz gniewnie spojrzął na szefa i oznajmił:

– Masz to zrobić osobiście, nie przez SMS-a!

Celowo trzasnęła drzwiami tak mocno, jak potrafił. Cały open spejs zamarł na chwilę w kompletnej ciszy, zza przegradzających boksy ścianek wychynęły wystraszone głowy.

– Nie ma przerwy w pracy! – zagrzmiał czarnobrody olbrzym. – Do roboty, szczury! Wyścig trwa!

Ignorując wszystkich, niespiesznie podszedł do swojego stanowiska pracy i kolejny raz w tym dniu odpalił komputer. Z boksu obok wychyliła się jasnowłosa głowa.

– Czy mi się zdawało, czy przed chwilą ochrzaniłeś szefa? – zapytała Tatiana.

– No! – odpowiedź była kwintesencją lakoniczności.

– Najpierw asystentka, teraz sam pan i władca całej korporacji... Ty, Rum, to normalnie jesteś jakiś rozbójnik!

Rum tylko ciężko westchnął.

Dżin

– Jesteś beznadziejny! – krzyknęła Ewa do osłupiałego Michała, zbiegając na dół ze schodów. – Mam cię dosyć! – to dobiegło do niego już z przedpokojem. Chwilę później dał się słyszeć głośny huk zatraskiwanych drzwi i zdecydowanie cichsze, szybkie kłapanie sandałów na werandzie. – Między nami wszystko skończone! – Michał usłyszał ostatni wrzask Ewy z ulicy przed domem.

Zaraz po nim zapadła nieprzyjemna, kłująca wręcz w uszy cisza. Nawet gadająca papuga Kiki siedziała bez ruchu w swojej klatce w kącie pokoju, sprawiając wrażenie, że doskonale wie, co się przed momentem wydarzyło i że właśnie teraz lepiej się nie odzywać. Oszołomienie Michała wkrótce minęło, co można było wywnioskować ze słów, które wymknęły mu się nieopatrnie.

– Kurwa mać! – powiedział i natychmiast zamilkł.

Kiki nie raczyła odpowiedzieć. Pograżony w niewesołych myślach chłopak usiadł zwyczajnie na podłodze i opierając się plecami o ścianę, wpatrywał w czubki butów. Zastanawiał się, o co w tym wszystkim chodzi, i nie bardzo mógł dojść do jakichś konkretnych wniosków. Nie miał bladego pojęcia, dlaczego w kontaktach damsko-męskich, odkąd pamiętał, okazywał się ostatnią ofertą. Od zawsze miał w tej dziedzinie olbrzymiego pecha i wszystko wskazywało na to, że nie zamierza go on opuścić. Prędzej czy później robił lub mówił coś, co w wyniku fatalnych zbiegów okoliczności bezpowrotnie przerywało wszystkie dotychczasowe związki.

Tak jak z Ewą... Poszło o głupią płytę kompaktową. To była jej ulubiona, ale jemu niezbyt się podobała. Udawał, że jest nią wprost zachwycony. Słuchali jej praktycznie zawsze, aż do momentu, gdy zepsuł się odtwarzacz Ewy. To była bardzo przyjemna dla Michała chwila, bo wreszcie mógł побыć ze swoją dziewczyną bez drażniącej uszy muzyki w tle. Widząc jednak jej niespecjalną minę, postanowił poświęcić się w imię wyższych celów i zaoferował, że zanieśnie zepsuty sprzęt grający do punktu napraw. I zaniósł, w jak najlepszej wierze. Tylko że wcześniej zapomniał wyjąć tę cholerną płytę ze środka. Odtwarzacz został naprawiony. Natomiast pracownik serwisu, co było łatwe do przewidzenia, nie miał bladego pojęcia o jakiegokolwiek płycie.

Na nic zdały się przeprosiny, prośby o wybaczenie i zapewnienia odkupienia krążka z muzyką. Ewa była nieugięta i argumenty typu „każdemu może się zdarzyć” w ogóle do niej nie przemawiały. Straciła swą świętą płytę, a przez jego brak odpowiedzialności i niefrasobliwość pozbawiona została możliwości słuchania boskiej muzyki. I koniec! Paromiesięczne katowanie się w imię wyższych celów poszło na marne.

– Cholera! – Michał odezwał się po raz drugi od momentu wyjścia Ewy.

Tym razem ciężar gatunkowy wypowiedzi był dużo mniejszy w porównaniu z poprzednim. Zaraz potem znów zamilkł. Przypomniały mu się jego poprzednie dziewczyny. Iwona, która zerwała z nim, bo nie kochał opery tak mocno, jak powinien. Ania, która nie mogła pojąć, jak komuś może podobać się

piłka nożna, której był wielkim miłośnikiem. I Monika. Miała fioła na punkcie zdrowej żywności i nie mogła patrzeć, jak jej chłopak zajada się pizzą albo frytkami. Zawsze było to małe, cholerne coś!

W każdym związku starał się, jak mógł. Na krótki czas polubił operę, chociaż czasami żołądek aż skręcał się mu od zawrota głowy, a zęby cierpły przy niektórych partiach wokalnych tenorów. Potem przestał chodzić na mecze, oglądać je w telewizji, a nawet w ogóle mówić o futbolu. Jeszcze później wyrzucił z jadłospisu ukochaną pizzę z owocami morza. Wszystko to zdało się psu na budę. Zawsze powiedział lub zrobił coś, co chociaż całkiem przypadkowo, to jednak rujnowało mu zupełnie życie uczuciowe.

Siedząc na podłodze i gapiąc się na własne stopy, stwierdził, że jest zły. Po części na siebie, po trochu na Ewę, a także na inne byłe dziewczyny. I na cały świat w ogóle! Zimna ściana, o którą się opierał, nie była w stanie schłodzić wrzących w nim uczuć.

– Gówno! – przemówił po raz trzeci.

Kiki poruszyła się w swojej klatce. Sądząc, że Michał zaprasza ją do konwersacji, przekrzywiła mały lebek i zaskrzeczała w odpowiedzi:

– Brawo! Brawo! Brawo!

Sytuacja była co najmniej komiczna, ale chłopak nie roześmiał się. „Brawo” stanowiło ulubione słowo papugi. Znała ich jeszcze kilka, ale to jedno powtarzała najczęściej. Nie widząc żadnej reakcji ze strony swego pana, ptak poszerzył nieco wypowiedź:

– Brawo! Mik-kau. Mik-kau.

Ostatnie słowa były nieudaną próbą wypowiedzenia imienia Michał. W chwili obecnej, najprawdopodobniej w związku z niewesołym nastrojem chłopaka, zabrzmiały raczej jak złośliwe przewisko. Można było odnieść wrażenie, że papuga naśmiewa się ze swego właściciela. To jeszcze bardziej zdołowało Michała. Z kwaśną miną spojrzął na gadającego ptaka i równie kwaśnym głosem mruknął do niego:

– Dzięki!

Najwyraźniej zachęcona tym papuga wrzasnęła najpierw coś całkowicie niezrozumiałego, zagwizdała przeciągle, po czym już zupełnie poprawnie zaskrzeczała:

– Gówno! Mik-kau! Gówno!

– Masz rację... – westchnął chłopak, nie zauważając, że ptak użył właśnie zupełnie nowego słowa.

Podniósł się ociężale z podłogi i przeciągnął. Kręcąc z rezygnacją głową, wyszedł z pokoju i skierował się do kuchni, gdzie w kącie stał zgrabny, elegancki barek. Zamierzał zrobić sobie drinka. Może nawet dwa, a jeżeli zajdzie taka potrzeba, to odpowiednio więcej. Zdawał sobie sprawę z faktu, że alkohol w żaden sposób nie rozwiąże problemów, ale wiedział też, że podwyższy jego aktualnie podle samopoczucie. Dzięki niemu wszystkie kłopoty miały szansę choć trochę zblaknąć i na krótko odsunąć się na bok. Zresztą i tak nie zamierzał rozwiązywać ich dzisiaj.

Otworzył barek. Rząd butelek o najróżniejszych kształtach wypełnionych kolorową zawartością był miły dla oka. Michał rzadko tu zaglądał, mimo to dbał, aby miejsce nie świeciło pustkami. Barek był głównie na pokaz, miał robić odpowiednie wrażenie na ewentualnych gościach. Nie przepadał za czystym alkoholem, więc zanim zdecydował się na wybór jakiejś konkretnej butelki, podszedł do lodówki i zajrzał do jej wnętrza. Poszukiwania czegoś odpowiedniego do rozcieńczenia zakończyły się

znalezieniem na najniższej półce plastikowej butelki. W środku był tonik. To ostatecznie rozwiązało kwestię tego, jaki ma przyrządzić drink. Bez wahania sięgnął po gin.

Pogrążony w niewesołych rozmyślaniach, nie zauważył, że zawartość butelki była mętna. Odkręcił zakrętkę i przechylił ją nad szklanką. Ku jego zdziwieniu zamiast cieczy wypłynął z niej dym. Chłopak odruchowo zrobił dwa kroki w tył. Z rozszerzonymi z kompletnej zaskoczenia oczami obserwował, jak ciemnoszara z początku chmura nabiera powoli kolorów i kształtów. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa i ugięły się pod ciężarem reszty ciała. Nie mogąc wykrztusić nawet słowa, z impetem usiadł na kuchennym krześle, które mocno przeciążone, zaskrzypiało ostrzegawczo.

Ponad jego głową, tuż pod sufitem, mętny opar z butelki uformował się w prawdziwego dżina. Unosząca się nad nim postać miała fikuśny turban z klejnotem lśniącem nad środkiem czoła, muskularne ramiona obejmowały równie mocno umięśnioną klatkę piersiową, a zwężający się stopniowo tułów nikał gdzieś w szklanym naczyniu. Michał wręcz osłupiał. Jego dziecinne fantazje o posiadaniu spełniającego wszystkie zachcianki dobrego duszka dawno już poszły w zapomnienie, a to, co właśnie widział, nie mieściło mu się po prostu w głowie.

– Ja pierdzielę! – tylko tyle zdołał z siebie wykrztusić.

Papuga w pokoju obok darła się jak oszalała, ale jej pan w ogóle tego nie słyszał. Jak urzeczony wpatrywał się w unoszącą się pod sufitem eteryczną postać. Jego zaskoczenie stopniowo mijało, dlatego też zamiast podskoczyć z wrażenia, jedynie wzdrygnął się nieprzyjemnie, gdy usłyszał tubalny głos.

– Jestem Wielkim Dżinem z butelki z ginem – powiedział duch. – Mogę spełnić jedno twoje życzenie.

Dopiero po dłuższej chwili Michał zdobył się na to, żeby zaoponować.

– Zaraz, zaraz! – powiedział. – Czy aby czasem tacy jak ty nie spełniają trzech życzeń?

Dżin roześmiał się tak głośno, że aż zadzwoniły szyby w oknach. Wystraszona hałasem Kiki zamilkła i skuliła się w kącie klatki.

– Trzy życzenia spełniają złote rybki, młody człowieku. Ja spełniam tylko jedno.

Po krótkim milczeniu chłopak zapytał, czy jeżeli poprosi o spełnienie drugiego życzenia, to ściągnie na siebie jakąś klątwę albo na przykład zerwie czar wiążący ducha z butelką.

– Czyś ty zgłupiał, młody człowieku? – Dżin nie potrafił ukryć swego zaskoczenia. – Jaki znów czar? Dłaczego miałbym opuszczać moją przytulną butelkę? To mój dom i nie zamierzam się z niego wynosić. Przystań zadawać głupie pytania i powiedz w końcu, jakie masz życzenie!

Michał zastanawiał się przez dobrych kilka minut, obserwując spod oka górującą nad nim, coraz bardziej niecierpliwą postać.

– Pospiesz się z łaski swojej! – zrzędził dżin. – Tu na zewnątrz jest cholernie zimno! Ile mam tu jeszcze marznąć?

Ponaglany Michał podjął wreszcie decyzję. Wziął głęboki oddech i czując, jak mocno wali mu serce, oznajmił:

– Chcę poznać dziewczynę, która będzie mnie kochać takim, jakim jestem, i nie zerwie ze mną z byle powodu!

– Załatwione! – zgodził się dżin i pospiesznie zniknął wewnątrz butelki.

Chłopakowi nie pozostawało nic innego, jak zamknąć drzwi do jego mieszkania. Wzruszył lekko ramionami i ciągle nie mogąc uwierzyć w to, czego był przed momentem świadkiem, zamknął zakrętkę.

Następnego dnia przed sąsiednią posesją zajęchały dwa wielkie wozy ciężarowe. Ubrani w niebieskie kombinezony robotnicy zaczęli wносить do środka meble, najprzeróżniejsze pudła, skrzynie i pakunki. Okazały dom stał pusty ponad rok, czekając, aż ktoś go kupi. Najwyraźniej w końcu znalazł się nabywca.

Zaciekawiony głośną krzątanią Michał wyszedł na werandę i usiadł na schodach. Kiki, którą wyniósł wraz z klatką na świeże powietrze, była wprost wniebowzięta. Skakała bez chwili przerwy z jednego drążka na drugi i bujała się na wszystkim, na czym tylko mogła. Co chwila wrzeszczała też swoje ulubione „Brawo! Brawo!”, a raz, na szczęście niezbyt głośno i mało wyraźnie, krzyknęła „Gówno!”. Jej wokalne popisy nie pozostały bez echa. Gadatliwy ptak przyciągnął czyjąś uwagę. Tym kimś była osoba nadzorująca pracę odzianych w niebieskie kombinezony robotników. Prawie bez chwili przerwy wydawała polecenia co, gdzie i w jakiej kolejności przenieść i ustawić. W pewnym jednak momencie usłyszała wrzaski Kiki. Przeszła na skos oddzielający domy trawnik i zaciekawiona podeszła do stojącej na poręczy niewysokiej balustrady klatki.

Michał zaniemówił. Biała podkoszulka wciągnięta w krótkie džinsowe spodenki, opalone na brąz nogi, burza kręconych blond włosów oraz intensywnie niebieskie oczy tworzyły zapierający dech w piersiach zestaw. W życiu nie widział piękniejszej dziewczyny! Jak urzeczony patrzył na ucieleśnienie własnych marzeń, a serce biło mu jak szalone. Całe szczęście, że siedział na schodach, bo jej głos z pewnością zwałiby go z nóg.

Rozmawiali przez prawie pół godziny. Dowiedział się, że ma na imię Beata i że jej rodzice kupili dom obok za okazną cenę. Oprócz tego, że będą sąsiadami, okazało się też, że dziewczyna od października rozpoczyna studia na tym samym wydziale, co on. Zbieg okoliczności był wprost nieprawdopodobny. Gdyby ktoś z boku obserwował rozmawiających młodych ludzi, z pewnością zauważyłby, że Beata jest oczarowana w równej mierze papugą Kiki, co jej właścicielem.

Dopiero gdy dziewczyna wróciła do nadzorowania robotników, serce Michała wróciło do normalnego rytmu. Oszołomienie natomiast nie opuszczało go jeszcze długi czas. Sam nie wiedział, jak to się stało, ale mimo iż widzieli się pierwszy raz, zdołał namówić nową sąsiadkę na wyjście do kina w przyszłym tygodniu. Nigdy nie podejrzewał siebie o to, że potrafi dokonać czegoś podobnego. Ponadto zaoferował jej ewentualną pomoc, najpierw przy urządzaniu się, a później w zapoznaniu się z uczelnią. Obie propozycje przyjęte zostały przez Beatę z najpiękniejszym uśmiechem wdzięczności, jakim kiedykolwiek został obdarzony.

Znajomość z Beatą była dla Michała źródłem nieskończonej wzniosłych i radosnych doznań. Jego tłumione dotąd wzburzone uczucia znalazły wreszcie ujście i wyrwały się na wolność. Miał kompletnego bzika na punkcie dziewczyny. Nie potrafił przestać o niej myśleć, marzyć i śnić. Był szczęśliwy jak nigdy dotąd, na wszystko padał jednak pewien złowróżbny cień. Była nim świadomość, że nie zawdzięcza tego własnej inteligencji, dowcipowi i urokowi osobistemu. Nie zasłużył też na to sprawnością fizyczną, czytaniem i szerokimi horyzontami. Dostał prezent od Wielkiego Dżina z butelki z ginem. Fakt ten mącił jego idyllę i nie pozwalał spokojnie spać.

W końcu nadszedł dzień, w którym nie mógł już dłużej tego wytrzymać i postanowił powiedzieć całą prawdę swojej ukochanej. Zaprosił ją do kuchni i wśród dochodzących z pokoju obok wrzasków

niezadowolonej z braku towarzystwa Kiki opowiedział o przyczynach i naturze ich związku. Pokazał jej nawet magiczną butelkę. Czuł się strasznie niezręcznie z tego powodu, ale był zbyt uczciwy, aby zdobyć się na dalsze milczenie w tak ważnej kwestii. Chciał żyć w zgodzie zarówno z Beatą, jak i z samym sobą. Nawet wówczas, gdyby miało to oznaczać, że od tego momentu będzie żyć bez niej.

Zaskoczona, wręcz zaszokowana tymi rewelacjami dziewczyna poprosiła o szklankę czegoś zimnego do picia. Lodówka była jednak tego dnia pusta. Przejęty Michał zaoferował, że da jej chwilę na ochłonięcie po niecodziennych w końcu nowinach, a sam pobiegł do pobliskiego sklepu. Niecałe dziesięć minut później podał Beacie tonik, nie zauważając jej tajemniczej miny i nikłego uśmiešku błakającego się w kącikach ust.

Rozmawiali do późna w nocy. Doszli do wniosku, że z dżinem czy bez jest im ze sobą bardzo dobrze i że nie będą się rozstawać. Michał nie wiedział nawet, kiedy zgodził się z teorią Beaty, że interwencja nadprzyrodzonej istoty, zamieszkującej niepozorną butelkę, ograniczyła się jedynie do zetknięcia ich ze sobą. Dalej sprawy potoczyły się już własnym torem bez niczyjej pomocy. Teraz mógł być w pełni szczęśliwy i żyć u boku najwspanialszej dziewczyny na świecie.

Nigdy nie dowiedział się, co było przyczyną tajemniczego uśmiechu Beaty, który widniał na jej twarzy krótko po jego powrocie ze sklepu. Nie miał bladego pojęcia o tym, że gdy pobiegł po tonik, jego ukochana odkręciła magiczną butelkę. Pozostał w słodkiej nieświadomości co do treści życzenia wypowiedzianego i spełnionego wkrótce potem przez jej niezwyklego mieszkańca. Beata, która widziała rozterkę targającą duszą Michała, poprosiła dżina o to, aby jej chłopak pozbył się wszelkich wątpliwości i pokochał ją tak bardzo, jak ona kochała jego.

Spokój grabarza

Był szary, jesienny poranek. Drobnym deszczyk siąpił od pół godziny, mocząc wszystko niespiesznie, ale systematycznie. W podmuchach niewielkiego wiatru z boku na bok przewalały się opadłe z drzew mokre liście. Cmentarną aleją szła zgarbiona postać. Przerzucony przez bark szpadel kołysał się w rytmie powolnego człapania. Wokół głowy idącego co jakiś czas unosiła się siwa chmura dymu, a skręcony byle jak gruby papieros zwisał niedbale z kąta ust. Watowana kufajka nasiąkła deszczem i w górnej części wyraźnie ściemniała.

Patrząc z boku, nietrudno było się domyślić, kim był specyficzny spacerowicz. Tylko ktoś mało rozgarnięty nie zorientowałby się, że ma do czynienia z grabarzem. Jakby na potwierdzenie tego faktu idący zanucił pod nosem fragment piosenki z repertuaru Elektrycznych Gitar:

– Spokój grabarza, wszystko będzie dobrze. Następnym proszę... – Wyciągnięte ostatnie słowo zakończył atak suchego kaszlu.

Ani podczas śpiewu, ani podczas kaszlu pozycja papierosa w kącie ust nie uległa zmianie. Jego koniuszek rozjarzył się, a chwilę potem w chłodnym, jesiennym powietrzu rozeszła się kolejna chmura dymu. Grabarz szedł dalej, nie rozglądając się na boki. Dobrze znał cmentarz i wiedział, gdzie jest parcela, do której zmierzał.

Pięć minut później dotarł na miejsce. Przez moment przyglądał się prostokątowi pożółkłej trawy, po czym podwinął nieco rękawy kufajki i głuchym stęknieniem wbił szpadel w ziemię. Kopał zawzięcie przez ponad godzinę z krótkimi przerwami na odpalenie kolejnego własnoręcznie skręconego papierosa lub na otarcie czoła ze zmieszanego z deszczem potu. Robota była ciężka, ale wgrzyzał się szpadlem w ziemię z ponurą zawziętością.

Co jakiś czas w grymasie złości mimowolnie unosił wargi, odsłaniając pożółkłe kły, a wówczas w jego gardle rodziło się basowe warknięcie. W porę jednak powstrzymywał się, aby nie przerodziło się we wrzask wściekłości. Ciszę cmentarnego poranka zakłócały więc jedynie odgłosy wbijanego w ziemię szpadla i ledwie słyszalne, głuche pomruki. Wkrótce grób był gotowy.

Grabarz oparł się na stylisku szpadla i zadowolony z efektów pracy znów cicho zanucił, tym razem własną przeróbkę popularnej niegdyś piosenki:

– Już mi niosą trumnę z welonem... I powiozą mnie trumną na cmentarz...

Podrapał się po skołunionej głowie i spojrział na zegarek. Zapięty na włochatym przegubie wostok pokazywał dziewiątą trzydzieści.

– No to za chwilę się zacznie – westchnął grabarz, ponownie odsłaniając pożółkłe kły, tym razem w złowieszczym uśmiechu.

W kieszeni kufajki rozległo się natarczywe dryń, dryń. Potężna łapa wyluskała śmiesznie mały na jej tle aparat, ubrudzony ziemią kciuk odblokował połączenie:

– Halo! – rozległ się niski, zachrypnięty głos. – No, jestem. No, przecież kopię. Tam, gdzie miałem. Jak to w innym miejscu? Dobra, czekam.

Ktoś stojący z boku mógłby z krótkiej rozmowy wywnioskować, że grabarz pomylił parcele i wykopał grób na niewłaściwej. Byłby to powód do złości – niepotrzebny wysiłek musiałby być za chwilę powtórzony w nowym miejscu, a efekty dotychczasowej pracy zniwelowane. Komuś normalnemu taka perspektywa z pewnością popsulałaby humor. Stąd płynął wniosek, że grabarz do normalnych nie należał, bo wręcz tryskał humorem. Złośliwy uśmiech nie zniknął z jego oblicza. Zacierając co chwila wielkie łapska, podśpiewywał sobie radośnie tym razem przebój Ich Troje:

– Wstań, powiedz: nie jesteś sam. I nigdy więcej już nikt nie powie: sępie miłości, nie kochasz...

Niecały kwadrans później rozległo się echo pospiesznych kroków. Nadchodził zarządca komunalnego cmentarza. Był dużo niższy od podwładnego i znacznie szczuplejszy. Sprawiał też wrażenie bardzo nerwowej osoby. Wykonywał wiele szybkich, często w połowie urywanych ruchów, które przywodziły na myśl osobę chorą na ADHD. W złości marszczyli mały nos i co chwila nerwowo rozglądał się na boki. W ślad za ruchami głowy falowały jego uszy. W porównaniu z resztą ciała zarządca cmentarza uszy miał nieproporcjonalnie duże.

– No i coś ty zrobił, gamoniu jeden? – zapytał nieco piskliwym głosem.

– Wykopalem grób. – Jego podwładny był wręcz oazą spokoju.

– Ale gdzie?

– No przecież tu! – Grabarz wskazał ręką świeży dół w ziemi.

– A miałeś to zrobić gdzie indziej! – Niewiele brakowało, żeby zarządca zaczął podskakiwać ze złości.

– Nie, nie! Na pewno się nie pomyliłem!

– A właśnie że się pomyliłeś, tępaku! Dziś mamy tylko jeden pogrzeb, i to z pewnością nie na tej parceli.

Grabarz uśmiechnął się złowieszczo i oznajmił:

– Pogrzeby będą dziś dwa, z czego jeden z nich odbędzie się nieoficjalnie.

– Co takiego? – Słyszac rewelację sprzed chwili, zarządca cmentarza osłupiał.

Moment, w którym wbrew swojej nerwowej naturze zamarł w bezruchu, okazał się jego ostatnim. Grabarz niespodziewanie szybko uniośł szpadel i z całej siły uderzył nim wielkouchego szefa w głowę. Siła ciosu był olbrzymia. Zarządca komunalnego cmentarza fiknął w powietrzu salto, po czym zwałił się do wykopanego dopiero co grobu. Zaległ w nim na plecach z krótkimi nogami uniesionymi w górę.

Grabarz obficie splunął na jego martwe ciało. Żółta, przesycona nikotyną flegma pacnęła na jedno z wielkich uszu.

– Nu, zając! – warknął pod adresem denata. – Mówiłem, że ja kiedyś ci w końcu pokażę!

Jesienny deszczyk siąpił niewzruszony wydarzeniami, powoli, ale systematycznie mocząc grudy ziemi zwalane szpadlem do dołu. Pół godziny później grabarz przydeptał butem ostatnią nierówność i do wbitego w ziemię kołka doczepił małą tabliczkę informacyjną. Widniał na niej numer parceli oraz informacja, że została opłacona na następnych dziesięć lat. Zadowolony z efektów pracy zarzucił szpadel na bark, odpalił kolejnego papierosa i poczłapał w powrotem. W przemoczonej kufajce, w kłębach siwego dymu, szedł niespiesznie i nucił pod nosem:

– Spokój grabarza, wszystko będzie dobrze...

Przekleństwo Elzy

Elza z charakterystycznym trzaskiem otworzyła puszkę coca-coli. Uniosła ją i z przyjemnością upiła dwa pierwsze łyki. Powoli błogość z jej twarzy zniknęła, zastąpiła ją złość.

– Kulwa, znowu! – niewyraźnie zakląła, nie mogąc oderwać od ust przymarzniętej puszki.

Pogięte bajki II: Spokój grabarza

ISBN: 978-83-8147-514-3

© Marcin Pełka i Wydawnictwo Novae Res 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Redakcja: Karolina Chrzanowska

Korekta: Katarzyna Kusojeć

Okładka: Krystian Żelazo



Wydawnictwo Novae Res należy do grupy wydawniczej Zaczytani.

Zaczytani sp. z o.o. sp. k.

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: kontakt@wydawnictwo-amare.pl

<http://wydawnictwo-amare.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Na zlecenie Woblink

woblink.com

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.



